

PISMA
M. MAETERLINCKA.

SERYA PIERWSZA.

UTWORY DRAMATYCZNE:

NAUKOWO-ETYCZNE

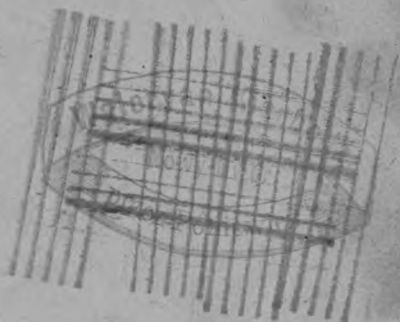
MADROSI

PRZEZNACZENIE

WARSZAWA
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

—
1903





Se. VI. N^o. 1.

g. Kierbothiana



P I S M A
MAURYCEGO
MAETERLINCKA.

MĄDROŚĆ
i
PRZEZNACZENIE



WARSZAWA.
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego
Pasaż Miodowa-Długa № 23.

—
1903.

MAURYCY MAETERLINCK.

MĄDROŚĆ
i
PRZEZNACZENIE

przekład R. Centnerszwerowej.



WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.
Pasaż Miodowa-Długa № 23.

—
1903.

17. 10. 1907. 2096

A. 6716

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Января 1903 г.



Debit A 766

P, 331/53/95 Filozofia 4

I.

W książce tej często będzie mowa o mądrości, fatalizmie, sprawiedliwości, miłości i szczęściu. Mówienie o niełatwo dostrzegalnym szczęściu wobec tylu oczywistych, niezaprzeczonych nieszczęść, o idealnej może sprawiedliwości w królestwie, nazbyt niestety, namacalnej niesprawiedliwości oraz o głębi uczucia kryjące go się prawie niedostrzeżenie na tle wyraźnej nienawiści albo obojętności—sprawia poniekąd wrażenie ironii. Zupełnie niewczesnem wyda się też dowolne szperanie w najgłębszych tajnikach serc ludzkich, w celu domacania się w nich źródeł ufności i pogody umysłu, powodów uśmiechu i rozpromienienia, przedmiotów ukochania, przyczyn wdzięczności i zachwyty. Większość bowiem tej ludzkości, w której imieniu pozwalamy sobie przemawiać, nietylko nie jest w stanie długo napawać się duchowemi uciechami, ani sięgać do skarb-

nicy głębokich, ale tak trudnych do zdobycia, ukojeń, zalecanych przez pogodzonego z losem myśliciela, ale niema nawet czasu ani hartu na wychylenie do dna czary nieszczęść i udręczeń życia.

Zarzucono moralistom, pomiędzy innymi Epiktetowi, że wyłącznie zajmował się mędrkami. Nie można nazwać tego zarzutu niesłusznym; każdy stawiany zarzut ma swoją zasadę. W gruncie rzeczy, — gdyby się miało odwagę słuchania tylko najprostszego, najbliższego, najbardziej naglącego głosu sumienia, jedynym bezsprzecznym obowiązkiem byłoby osładzanie dokoła siebie, w możliwie największym promieniu, możliwie największej ilości cierpień. Należałoby dozorować chorych, opiekować się biednymi, pocieszać strapionych, zakładać wzorowe fabryki, leczyć, uprawiać rolę, albo przynajmniej wyteńczyć całą swoją energję — za przykładem uczonych, pracujących w laboratorjach — w kierunku wydzierania naturze najgłówniejszych, najniezbędniejszych jej tajników. Jednakże świat, na którym żyliby, w pewnej epoce wyłącznie ludzie, starający się wzajemnie sobie dopomagać, nie wytrwałby długo w tem dziele miłosierdzia, gdyby nikt nie poświęcał niezbędnych chwil wolnych, na zajmowanie się czem innem. Jedynie dzięki garstce nieużytecznych napozór

ludzi, istnieć będzie zawsze pewna liczba osobników bezsprzecznie użytecznych. Najlepsza część dobra, dokonywanego dokoła nas w dobie współczesnej, zrodziła się naprzód w umyśle jednej z tych jednostek, które zaniedbały może niejeden bezpośredni i niecierpiący zwłoki obowiązek, aby móżdżek bardziej skupić się w samych sobie, rozważyć i przemówić. Czy znaczy to, że postęp ich był najlepszy, na jaki zdobyć się mogli? Któż odważyłby się odpowiedzieć na to pytanie?.. W oczach istoty zwyczajnie uczciwej — jaką być należy — rzeczą najważniejszą do zrobienia jest pełnienie najbliższych i najprostszych obowiązków; a jednak nie byłoby wcale pożądanem, aby cały świat miał zawsze i wyłącznie na względzie li tylko obowiązki najbliższe. Po wsze czasy istniały osobniki, które miały zupełne prawo do wmawiania sobie, że czynią zadość zadaniom chwili bieżącej, jeżeli myślą o obowiązkach, jakie ich jutro czekać będą. Większość myślicieli zapewnia chętnie, że jednostki te nie myliły się. Myśliciel powinien być pewnym wielu rzeczy i wpajać swoją wiarę w otoczenie. Co prawda — powiedzmy mimochodem — rzeczywista mądrość tkwi nieraz w pojęciach wprost przeciwnych dowodzeniom najmądrzych. Niema to jednak nic do rzeczy, — mo-

że bowiem nie dostrzeglibyśmy owych mądrych pojęć, gdyby prawdy, które okazały się później fałszywemi, nie skierowały naszej uwagi na właściwe tory—w ten sposób więc mędrzec spełnił swoją powinność.

II.

Nędza jest obecnie taką samą chorobą ludzkości, jak choroba jest klęską, dotykającą pojedynczego człowieka. Mamy lekarzy chorób, powinni by też istnieć leczący nędzę ludzką. Czy jednak wobec tego, że stan chorobowy jest niestety bardzo rozpowszechniony, nie należy interesować się zdrowiem? i czy wykładający np. anatomję, czyli naukę fizyczną, najściślej odpowiadającą etyce, powinien jedynie zajmować się zniekształceniami, jakim ulega ciało człowieka wskutek mniej lub więcej ogólnych braków? — Musi on brać za punkt wyjścia ciało zdrowe i normalne, tak samo jak dla moralisty, usiłującego obejmować okiem duszy szersze widnokreśli po za chwilą obecną, powinna być pierwowzorem istota szczęśliwa, albo przynajmniej taka, która ma wszelkie do szczęścia dane, z wyjątkiem tylko dostatecznej świadomości.

Jakkolwiek otacza nas ze wszech stron niesprawiedliwość, przemawianie jednak od czasu do czasu w ten sposób, jakgdyby

już jej na świecie nie było, nie zasłuży na zarzut obojętności ani okrucieństwa, w przeciwnym bowiem razie obracalibyśmy się bez końca w zaczarowanym jej kole.

Trzeba przecież, aby pewne osobniki pozwalały sobie myśleć, mówić i działać tak, jak gdyby wszyscy ludzie byli szczęśliwi, inaczej bowiem, w jakież sposób umieliby oni odnaleźć szczęście, miłość i piękno w dniu, w którym los otworzyłby przed nimi na oścież wrota publicznych ogrodów ziemi obiecanej? Następuje się, co prawda, uwaga, że przede wszystkim wypada zająć się sprawami „najpilniejszymi.“ — Mądrość jednak niezawsze nakazuje nam czynić to, raczej kieruje nas często ku sprawom „najważniejszym.“ Jeżeli np. morze lub sąsiednia rzeka zerwie tamę ochronną, i woda wskutek tego zaleje siedzibę holenderskiego wieśniaka, — najpilniejszą dla niego sprawą będzie ratowanie bydła, paszy oraz sprzętów domowych — a przecież postąpi on najmądrzej, o ile stanie na szczycie tamy do walki z rozszalałym żywiołem, dłoń w dłoń z resztą mieszkańców zagrożonej okolicy.

Ludzkość robiła dotychczas wrażenie chorej, rzucającej się na swem łożu, aby znaleźć jaknajwygodniejszą pozycję; pomimo to jednakże jedyne prawdziwe słowa pociechy, jakimi starano się ją ukoić, spłynęły z ust

tych, którzy przemawiali do niej w ten sposób, jakgdyby nigdy nie cierpiała. Cała ludzkość bowiem tak samo stworzona jest do szczęścia, jak stanem naturalnym pojedynczego człowieka jest zdrowie; a kiedy mówimy mu o jego cierpieniach, nawet będących jednym z ogniw wielkiego łańcucha powszechnej i stałej nędzy, słowa nasze mają pozór wyrazów przypadkowych i podyktowanych potrzebą chwili.

Bynajmniej nie będzie niewłaściwością zwracanie się do niej w takiej formie, jakgdyby znajdowała się ona zawsze w przededniu wielkiego szczęścia lub odślonięcia ważnych prawd. Instynkt przepowiada jej w rzeczy samej możliwość podobnego jutra, chociażby nawet nie miała go ona doczekać. Powinniśmy wierzyć, że nieco więcej myśli, odwagi, miłości, zaciekawienia i zapału wystarczy kiedyś może, do otworzenia przed nami wrót prawdy i szczęścia. Nie jest to rzeczą zupełnie nieprawdopodobną. Możemy mieć nadzieję, że przyjdzie chwila, kiedy wszyscy ludzie będą szczęśliwi i mądrzy; a gdyby dzień taki nigdy nawet nie miał nastąpić, wiara w podobne jutro nie byłaby żadną zbrodnią.

W każdym razie należy mówić nieszczęśliwym o szczęściu, aby dać im pojęcie o niem. Są oni tak skłonni do wmawiania sobie, że

szczęście jest czemś nadzwyczajnem i prawie niedościgłem! Ale gdyby wszyscy ci, którzy mogą uważać się za szczęśliwych, szczerze spowiadali się z przyczyn swojego zadowolenia, świat przekonałby się, że jedyna różnica pomiędzy radością i smutkiem, polega na przyjmowaniu istniejącego stanu rzeczy z pogodnym uśmiechem—zamiast ponurego i niechętnego poddania mu się; na szerokim i harmonijnem pojmowaniu świata zjawisk—zamiast ciasnego i surowego ich tłumaczenia.

Dałyby się wówczas słyszeć głosy, wołające: „A więc to ma być już wszystko? Ależ w takim razie i my posiadamy w sercach naszych pierwiastki takiego szczęścia!“ Rozumie się, że je posiadacie. Po za wielkimi klęskami fizycznymi—posiada je cały świat. Nie lekceważcie jednak tego szczęścia. Nie istnieje żadne inne. Najszczęśliwszym z ludzi jest ten, kto najlepiej swego szczęścia jest świadom; a ten, kto je zna najlepiej, najlepiej również zrozumie, że zadowolenie i rozpacz w blizkiem żyją sąsiedztwie, dzieli je zaś tylko myśl podniosła, niezmordowana, ludzka i śmiała.

O tej właśnie myśli zbawiennie jest mówić możliwie najczęściej, nie w celu narzucenia innym naszego świata pojęć, ale w imię zbudzenia w sercach naszych słucha-

czów—pragnienia posiadania odrębnych, własnych ideałów, różnych dla każdego pojedynczego osobnika. Twój nie odpowiada mojemu; chociaż zachwalałbyś mi go najwymowniej, nie poruszy on ukrytych strun mojego życia. Muszę zdobyć dla siebie samodzielnie i niezależnie własny świat wyobrażeń. A jednak, mówiąc wciąż o twoim, dopomożesz mi do stworzenia mojego. To, co ciebie zasmuca, mnie doda otuchy, to zaś, co ciebie pociesza, może przygnębi mnie,—ale cóżto szkodzi?—piękno twoich krzepiących ducha marzeń ozłoci blaskiem swym moje zgnębienie, zaś wielkość twójego smutku przyćmi moją radość, o ile godną jest ona twójego smutku. Główne zadanie polega przedewszystkiem na przygotowaniu i oczyszczaniu dla duszy naszej takich wyżyn, na których mogłaby objawić się jej ta idea, podobnie jak kapłani dawnych obrządków oczyszczali i uprzątałi z kolców i cierni szczyt góry, na której otrzymać mieli święty ogień z nieba.

Nie jesteśmy przecież pewni, czy jutro nie zabrzmi dla nas z Marsa niezawodne hasło szczęścia w postaci odsłonięcia nam ostatecznych, nieomylnych pewników, dotyczących ustroju i celu wszechświata. Ale hasło to o tyle tylko będzie miało dla nas znaczenie, wówczas tylko dokona pewnych zmian na lepsze w naszym świecie pojęć

moralnych, o ile żylibyśmy oddawna w oczekiwaniu i pragnieniu poprawy. Każdy z nas korzystać będzie z dobrodziejstw tego hasła, zawsze niezmiennego — jedynie w stosunku do stopnia oczyszczenia, przygotowania, uświadomienia i wyzwolenia duszy swojej, do której spłynąć ma nowa prawda. Cała etyka, cały sposób pojmowania sprawiedliwości i szczęścia, powinny być tylko przygotowaniem i oczekiwaniem, najszersze zakreślającym kręgi, najbardziej wypróbowanym i pełnym najgorętszego upragnienia.

Najszcześliwszą będzie niewątpliwie ta chwila, kiedy zdobędziemy nareszcie prawdę, niezachwiane, zasadnicze pewniki naukowe; tymczasem zaś może przyświecać nam w życiu ważniejsza jeszcze prawda — prawda naszej duszy i naszego charakteru. Istnieją mędrcy, którzy nam dowiedli, że takie życie jest możliwe nawet wobec największych klęsk materialnych.

III.

Czy daremną jest pracą mówienie o moralności, sprawiedliwości, szczęściu oraz o wszystkim, co ma z tem związek—przed rozstrzygającą chwilą poznania prawdy, która może zburzyć cały gmach naszych wierzeń. Żyjemy tylko w tymczasowym mroku, wiele zaś spraw inaczej może odbywa

się w ciemni, a zupełnie inaczej w jasnym świetle dnia.

A przecież główne przejawy naszego życia fizycznego i moralnego mają miejsce, równie musowo i zupełnie, wówczas, kiedy wiedza nasza wyraźne rzuca na nie światło, jak i wtedy, gdy są niezrozumiałą dla nas zagadką. Zanim jednak znajdziemy rozwiązanie tej zagadki, musimy żyć, a właśnie żyjąc możliwie najszczęśliwiej i najpodniosłej, żyć będziemy najpotężniej, poświęcimy się z największą odwagą, niezawistością i przenikliwością—dociekaniu prawdy. Cokolwiekby się potem stać miało, nie będzie straconym czas, użyty przez człowieka na badanie samego siebie. Niezależnie od tego, jak wypadnie nam może w przyszłości zapatrywać się na ten świat, którego stanowimy cząstkę,—więcej będzie daleko w duszy ludzkiej uczuć, namiętności, tajemnic nieodstłoniętych i niedających się odsłonić, aniżeli gwiazd, związanych z ziemią lub tajników, rozjaśnionych światłem wiedzy.

Zdobyć nieodpartą i potężną świadomości podniesie niewątpliwie człowieka,—niezmienny kierunek polotu nada mu jednak zawsze jego dusza. Można twierdzić z całą pewnością, że im potężniejsza i bardziej umacniająca ducha będzie świadomość powszechna, tem goręcej ukochamy i poświę-

cimy się zagadnieniom sprawiedliwości, etyki, szczęścia i miłości, które tak zawsze pociągały urokiem swoim wyobraźnię myśliciela.

Należy żyć tak, jak gdybyśmy byli w przededniu wielkiego odkrycia i przygotowywać się do przyjęcia go możliwie najzupełniej, najgoręcej, do otworzenia przed niem najgłębszych tajników naszej duszy. A najlepszym sposobem godnego przyjęcia objawienia—w jakiejbądź ukaże się nam ono postaci—będzie życie w nadziei, że ukaże nam się ono jako prawda najwznioślejsza, najdoskonalsza, najbardziej uszlachetniająca i tak szerokie obejmująca widnokreśli, jak tylko wyobraźnia nasza jest w stanie ją sobie wymarzyć. Nigdy nie potrafimy nadać jej dość majestatu, piękna ani rozległości. Niewątpliwie, prześcignie ona najpiękniejsze nasze nadzieje, — o ile bowiem nie urzeczywistniłaby ich, lub nawet najzupełniejszy zadałaby im kłam, już przez to samo, że da nam pewniki,—obdarzy nas czemś większem, wyższem, zgodniejszym z naturą ludzką, aniżeli to, czegośmy się spodziewali. Najpiękniejszą, najbardziej godną uwielbienia będzie dla człowieka zasadnicza prawda wszechświata, chociażby odkrycie jej miało zburzyć wszystkie obecne jego ołtarze. Przypuściwszy nawet, że poznanie jej roz-

proszy najnędniejsze pyłki naszych nadziei, pozostanie nam w każdym razie nasze przygotowanie się do przyjęcia cudu;—i cud ten spłynie do naszej duszy mniej lub więcej szeroką falą—zależnie od rozległości i głębi łożyska, jakie wyłobiło w niej oczekiwanie.

IV.

Czy powinniśmy się uważać koniecznie za lepszych niż otaczający nas wszechświat? Pomimo wszelkich naszych rozumowań, rozum nasz pozostanie zawsze słabym tylko promykiem natury, nieskończenie drobną cząstką tej całości, do której sądzenia rościmy sobie prawo; — a czyż promień musi koniecznie starać się zmienić światło, z którego jest zrodzony, aby mózdz pełnić swoją powinność?

Szczyt naszego bytu, z którego wyżyn chcemy usprawiedliwić lub potępić całość kształt życia, jest oczywiście tak drobną tylko nierównością, że jedynie własne nasze oko jest w stanie dostrzedz ją na bezgranicznym obszarze życia. Mądrość nakazuje nam myśleć i działać tak, jakgdyby wszystko, co dotyka ludzkość, było nieodzowne. Przed niedawnym jeszcze czasem—że przytoczę jedno chociażby z tych zagadnień, jakie rozwiązać musi instynkt mieszkańców naszej planety — otóż niedawno jeszcze

powzięto zamiar zadania myślicielom europejskim pytania, czy należałoby uważać za szczęście, czy też za klęskę, aby energiczna, wytrwała i potężna rasa, wydająca się nam, Aryjczykom, niższą sercem i duchem (zapewnie dzięki zbyt ślepo przyjętym na wiarę przesądom)—słowem rasa żydowska, miała zaginać lub zyskać przewagę. — Pewien jestem, że zapytany myśliciel może odpowiedzieć — bez narażenia się na uzasadniony zarzut nagannej obojętności czy rezygnacji: „Jakkolwiek się stanie, stanie się szczęśliwie.“ Często zdarza nam się czynić zarzuty pewnym istniejącym zjawiskom; czy jednak cały rozum ludzki zdobył się dotychczas na coś pożyteczniejszego nad odnajdywanie wyższych racyj bytu tego, co uważane było przez nas za błędy natury? Całą podporę i pomoc zarówno w życiu fizycznym jak i moralnym zawdzięczamy pewnemu rodzajowi powolnego i stopniowego usprawiedliwiania nieznanej siły, która wydawała nam się zrazu nieubłagana. Jeżeli rasa, odpowiadająca zupełnie naszemu ideałowi, ginie, znaczy to, że ideał nasz nie był bezwzględnie zgodny z ideałem istotnym, któryni — jak to już powiedziałem — jest najwyższa prawda wszechświata.

Z doświadczenia naszego wyłoniły się już cudowne marzenia, wspaniałe chęci, wznio-

słe pomysły oraz wielkie poczucie miłości, piękna i sprawiedliwości. Niektóre z tych marzeń urzeczywistniły się już w oczach naszych w życiu praktycznem. Jeżeli istnieją w naszej wyobraźni ideały szersze, bardziej kojące i krzepiące ducha, ale niezdolne do wyjścia zwycięzko z ogniowej próby rzeczywistości—tej nieznannej i tajemniczej potęgi życia,—znaczy to, że powinny one zmienić się, ale bynajmniej nie stać się mniej pięknymi, ani mniej szerokimi, ani mniejszą niosącemi pociechę. Zanim jednak objawi nam się rzeczywistość, zbawiennem może będzie żywienie ideału, który wydaje nam się piękniejszym od wszelkiej rzeczywistości. Gdy zaś poznamy nareszcie prawdę, musimy się starać, aby idealny płomień, rozdmuchiwany dotychczas przez nasze dążenia, posłużył wyłącznie do rzucenia wyraźnego światła na trwalsze, ale mniej odpowiadające naszym chęciom—piękno potężnej siły, druzgoczącej cały gmach naszych wspaniałych rojeń.

Nie sędzę, aby podobny pogląd mógł zasłużyć na zarzut służalczego poddania się, zamaskowanego fatalizmu albo też biernego optymizmu.

Mędrzec traci może niejednokrotnie część wytrwałego, wyjątkowego i ślepego zapału, który dopomógł wielu osobnikom do stwo-

rzenia rzeczy prawie nadludzkich — właśnie wskutek tego, że jednostki owe nie posiadały całej równowagi ludzkiego rozumu. Nie ulega jednak pomimo to wątpliwości, że żadna istota uczciwa niepowinna szukać źródła energii, dobrych chęci, marzeń i ulud w sferze, niższej od poziomu idealnych rojeń naszych najwznieściejszych chwil. Prawdziwem spełnieniem obowiązków życia duszy — jest wznieszenie jej na najwyższe szczyty własnych naszych, przez nas samych zdobytych prawd. A jeżeli nawet w życiu codziennem i praktycznem wolno nieraz wchodzić w układy z okolicznościami; jeżeli niezawsze słusznie jest i rozumnie doprowadzać zasadę do ostateczności — jak Saint-Just, naprzykład, który, w swoim dążeniu do sprawiedliwości piękna i szczęścia powszechnego, posuwał się aż do skazywania na ścięcie — z całą dobrą wiarą — tysięcy ofiar; w życiu duchowem obowiązkiem naszym jest docieranie zawsze do najdalszych, ostatecznych krańców myśli. A zresztą świadomość, że praca nasza jest tylko tymczasowa, dokonywana w przededniu objawienia się prawdy, — zdolna jest osłabić jedynie zapał tych, którym i tak niestarczyłoby na długo wytrwałości.

Myśl, która sięga coraz wyżej, zachęca, pozornie zniechęcając. Ludziom, patrzącym z wyżyn i wielbiącym już naprzód tę siłę,

która zniweczy całą ich działalność, wydaje się rzeczą zupełnie naturalną, że, przewidyjąc, jaki los czeka wyniki ich pracy, dokładają pomimo to wszelkich możliwych starań w celu podniesienia tego, co słusznie nosi nazwę rozumu, sprawiedliwości i piękna życia na ziemi, tego, co stanowi instynkt naszej planety. Wiedzą oni dobrze, że dokonywanie ulepszeń w tej dziedzinie równa się w gruncie rzeczy tylko odkrywaniu nowych prawd, rozumieniu ich i szanowaniu.

Wierzą oni przedewszystkiem w „ideę wszechświata.“ Przekonani są, że wszelkie dążenie ku lepszemu zbliża ich do ukrytej woli życia, ale uczą się jednocześnie czerpać z porażki, jaka dotyka najszlachetniejsze ich wysiłki, z oporu, jaki stawia im świat, — nową podniecię do zapalu, podziwu i nadziei!

Jeżeli zdarzyło się wam wchodzić nad wieczorem na wysoką górę, zauważyliście zapewne, że drzewa, domy, dzwonnica kościoła, łąki, winnice, droga a nawet rzeka—stopniowo malały i nikły wreszcie w cieniu, zasnuwającym całą dolinę. Ale drobne światełka, migocące na tle najciemniejszych nocy i zdradzające obecność siedzib ludzkich, nie bledną w miarę zbliżania się naszego do

szczytu. Wprost przeciwnie, wspinając się coraz wyżej, odnajdujemy coraz większą ilość świecących punktów, rozrzuconych wśród uśpionych u naszych stóp wiosek. Najślabsze nawet światełko jest może jedyną rzeczą, nie tracącą nie na swojej wartości wobec bezmiaru. To samo dzieje się z naszymi światłami moralnemi, gdy rozpatrujemy życie z wyżyn, wznoszących się nieco po nad zwykły poziom. Rozpatrywanie takie powinno uczyć nas wyzbywania się wszystkich naszych niskich namiętności, nie wolno mu jednak osłabiać lub zniechęcać najskromniejszego nawet dążenia naszego do prawdy, miłości i sprawiedliwości.

Zkąd powstała zasada, którą w ten sposób formułuję? Sam nie umiałbym nic o tem powiedzieć. Zdaje mi się ona ludzką i potrzebną, — oto wszystko. Wytłomaczyłbym ją jedynie z punktu widzenia uczucia a taki punkt widzenia najmniej nieraz winien być lekceważony. — I gdybym stanął kiedyś na wyżynie, z której prawo to nie wydawałoby mi się już potrzebne, usłuchałbym głosu tajemnego instynktu, który nie pozwoliłby mi stanąć i który zmusiłby mnie do wspinania się jeszcze wyżej, dopóki bym znów nie przekonał się o całej jego użyteczności.

V.

Po tym wstępie ogólnym, pomówimy bardziej szczegółowo o wpływie, jaki może mieć mądrość na przeznaczenie. Ponieważ nadarza się właśnie sposobność, nie od rzeczy będzie może uprzedzić czytelnika, że nie znajdzie on w książce niniejszej żadnych ścisłych prawideł. Składa się ona z szeregu rozmyślań, wiążących się w mniejszym lub większym porządku z dwiema lub trzema kwestyami. Nie wmawia ona sobie wcale, że uda się jej przekonać kogokolwiek, nie zamierza niczego dowieść. Zresztą, książki nie mają wcale takiego znaczenia w życiu, jakie przypisuje im łaskawie większość ludzi, którzy je piszą lub czytają. Wystarczyłoby pojmowanie ich w takim duchu, jak to czynił jeden z moich przyjaciół, któremu czytano pewnego dnia opis ostatnich chwil Antonjusza - Piusa. Cesarz ten może być uważany — sprawiedliwiej jeszcze niż Marek Aureljusz za najlepszego i najdoskonalszego z ludzi na ziemi, gdyż przy całym rozumie, głębi, dobroci, słowem przy wszystkich cnotach, jakiemi odznaczał się przybrany jego syn, posiadał jeszcze w charakterze swoim pewną męskość, wyższy stopień energii, praktyczności, pogody umy-

słu i dobrej woli, która czyniła mu bliższymi jeszcze prawdy codziennego życia.

Otóż Antonjusz - Pius, spoczywając na łożu, oczekiwał śmierci; wzrok jego przysłaśniały mimowolne łzy, a członki okrywał pot śmiertelny. W tej samej chwili wszedł do pokoju dowódzca straży pałacowej, aby wedle przyjętego zwyczaju — otrzymać od niego hasło. „Aequanimitas,“ równowaga duszy, odpowiedział cesarz, odwracając głowę w stronę wiecznego mroku. — „Pięknie jest kochać i wielbić te słowa!“ rzekł mój przyjaciel — ale nierównie piękniej jeszcze umieć poświęcić czas — jaki moglibyśmy zużytkować na podziwianie ich — pierwszemu z brzegu, drobnemu, pożytecznemu dziełu, jakich moc niezliczoną nastrocza traf pragnieniom naszego serca. Musielibyśmy jednak dokonać tego—bez zwrócenia czyjejkolwiek na poświęcenie nasze uwagi, nie spostrzegając go nawet i samemu nie zdając sobie z niego sprawy.

VI.

„Przeznaczenie ich chciało prawdopodobnie, aby byli oni ciemiężeni przez ludzi, lub przez wypadki, wszędzie, gdziekolwiek osiada“ — powiada pewien autor, mówiąc o bohaterach swojej książki. Jest to udział większości ludzi. Losowi temu podlegają

również wszyscy ci, którzy nie nauczyli się oddzielać zewnętrznej swojej doli od przeznaczenia moralnego. Podobni oni są do małego, błędnego strumyka, na jaki patrzyłem pewnego rana ze szczytu pagórka. Szamoczący się, chwiejny, niepewny, rwący się co chwilę w głębi ponurej doliny, szukał drogi do wielkiego jeziora, drzemiącego po za lasem w ciszy porannej. Tutaj znie-
walała go do czterech długich zakrętów skała bazaltowa, nieco dalej znów — wielkie, splecione korzenie starego drzewa zmieniały jego koryto, a jeszcze dalej — samo już wspomnienie, istniejącej niegdyś, przeszkody — zmuszało go do cofania się i oddalało na nieokreślenie długą metę od celu i szczęścia, czemu starał się przeciwdziałać, wrąc i kłębiąc się—wszelkie jednak wysiłki jego były nadaremne. W innym zato kierunku, prawie prostopadle do szalejącego, nieszczęsnego, bezcelowego strumyka, jakaś siła, wyższa od ślepych sił, wykreśliła — w samym środku okolicy, pomiędzy massami stoczonych kamieni, po przez gęstwinę lasu—plan długiego kanału, który toczył spokojnie, równomiernie, bez troski, swoje zieleniejące fale, wyłonił z głębin innego, ukrytego na widnokręgu, źródła—i wiódł je ku tej samej jasnej i nieruchomej tafli jeziora.

U stóp moich miałem wyraźny obraz dwóch wielkich przeznaczeń, będących udziałem człowieka.

VII.

Obok istot, dla których ludzie i wypadki są zawsze ciemieżcami, żyją inne osobniki, posiadające rodzaj siły wewnętrznej, która pokonywa nietylko ludzi, ale nawet, spotykane na drodze życia, przygody. Jednostki te świadome są swej siły, polegającej zresztą jedynie na poznaniu samego siebie, które umiało przekroczyć granice zwykłej ludzkiej samowiedzy.

Tylko w zakresie samopoznania naszego czujemy się panami, niezależnymi od trafu, jesteśmy szczęśliwi i silni. Zresztą, są to rzeczy tak często powtarzane, że zatrzymujemy się nad niemi, jedynie chcąc ustalić nasz punkt wyjścia.—Każda istota doskonali się—tylko w miarę zbogacania swojej samowiedzy, samowiedza jej zaś rośnie wraz z jej doskonaleniem się. Zachodzi tu cudowna wzajemność: równie jak miłość nigdy niesyta jest miłości, tak samo wszelkie samopoznanie nie zna granic moralnego wzrastania, każde zaś wzrastanie moralne niesyte jest samowiedzy.

VIII.

Ale to poczucie swojej jaźni—w zwykłym tego słowa znaczeniu — ogranicza się zbyt

chętnie na znajomości własnych wad i zalet. Może ona jednak obejmować tajniki nierównie większego znaczenia i siły. Znać siebie samego — nie znaczy jedynie znać siebie w stanie biernym, mniej lub więcej w czasie teraźniejszym czy przeszłym; — przeciwnie, cała potęga istot, o których mówię, polega na tem, że przewidują one przyszłe swoje myśli i czyny, że przeczuwają, w jaki sposób ukształtuje się przyszłe ich życie. Świadomość swojej wewnętrznej istoty równa się dla najwyżej stojących jednostek poznaniu—oczywiście do pewnego tylko stopnia — swojej gwiazdy, swojego przeznaczenia. Ludzie tacy przewidują swoją przyszłość, ponieważ w nich samych tkwi już pewna część tej przyszłości. Mają wiarę w siebie, wiedzą bowiem już dzisiaj, w jaki sposób dusza ich oddziaływać będzie na zewnętrzne wydarzenia. Fakty same przez się nie mają smaku, zabarwienia i zapachu,—jak woda, zaczerpnięta ze źródła. Stają się pięknymi lub smutnymi, nabierają słodczy lub goryczy; działają ożywczo lub trująco — zależnie od ustroju duszy, która je przyjmuje i wchłania. Tysiące przygód, w których kiełkują wyraźnie ziarna heroizmu, zdarza się bezustannie naszym blizkim, nie rodząc jednak żadnego z ich strony czynu bohaterskiego.—A jednak, Chrystus spotyka

na swojej drodze gromadkę dzieci, cudzołożnicę i samarytanę — i ludzkość wznosi się po trzykroć na boskie wyżyny.

IX.

Należałoby mieć prawo do twierdzenia, że ludzie doznają tylko tego, czego chcą doznawać. W dość słabym, co prawda, stopniu wpływać możemy na pewną liczbę faktów zewnętrznych; — natomiast wszechmocną jest nasza potęga, dotycząca odbicia się tych faktów w nas samych, czyli oddziaływanie nasze na stronę duchową, która jest promienną i nieśmiertelną cząstką każdego wydarzenia. Istnieją tysiące ludzi, nie będących w stanie powołać do życia duchowego pierwiastka, jaki tkwi w każdej miłości, w każdym nieszczęściu, w każdym nawet spotkaniu—ludzie tacy są jako piaski lotne. — Istnieją inni, dla których ta strona nieśmiertelna góruje nad wszystkim; podobni są oni do wysp na morzu, znaleźli bowiem stały punkt oparcia, z którego kierują duchowym swoim losem a los ten stanowi właśnie prawdziwe przeznaczenie. Na życie większości ludzi rzucają ponury cień lub jasne światło zewnętrzne przygody i trafy, co się jednak tyczy mniejszości, o której mówię, to jedynie życie ich duszy nadaje właściwy wyraz i barwę okoliczno-

ściom i wydarzeniom, jakie spotykają na swojej drodze.

Jeżeli kochasz, to nie miłość sama przez się stanowi część twojego losu, ale poznanie twojej własnej jaźni, jaką odnalazłeś na dnie tej miłości, która ma przekształcić twoje życie. Jeżeli zdradzono cię;—nie idzie głównie o sam fakt zdrady, ale o przebaczenie, jakim odpowiedziała na nią twoja dusza, oraz o mniej lub więcej zupełny, wznioślejszy lub bardziej poziomy, dokonany po głębszej lub krótszej rozwadze — rodzaj tego przebaczenia, które skieruje twoje istnienie ku spokojniejszej i jaśniejszej stronie losu, dzięki czemu poznasz lepiej samego siebie, aniżeli gdyby dochowano ci wiary. O ile jednak zdrada nie spotęgowała prostoty, pełni wiary i głębi miłości, zdradzono cię zupełnie niepotrzebnie i możesz sobie powiedzieć, że nic nie zaszło.

X.

Nie zapominajmy, że jaźń nasza nadaje właściwe piętno wszystkiemu, co nas spotyka. Każda przygoda życia objawia się duszy naszej w zabarwieniu, zależnem od naszych myśli. Żadna pobudka zewnętrzna nie zagrzała do heroicznego czynu—człowieka, który nie był od wielu lat już cichym bohaterem. Wspinajcie się na szczyty, albo

też schodźcie na dół do wiosek; idźcie na koniec świata, lub krążcie dokoła domu; — zawsze i wszędzie odnajdziecie na drogach traflu własną waszą istotę. Jeżeli Judasz wyjdzie dzisiaj wieczorem, pójdzie do Judasza i znajdzie okazję zdradzenia, ale jeśli Sokrates otworzy drzwi, znajdzie uśpio-nego Sokratesa — a tem samem sposobność postępowania jak mędrzec. Przygody krążą dokoła nas, niby pszczoły w chwili rojenia — dokoła ula. Czekają one, aby myśl przewodnia wyłoniła się z naszej duszy; gdy zaś zrodzi się ona nareszcie, skupiają się dokoła niej. Kłamcie — a gromadzić się będą dokoła was kłamstwa; kochajcie, a wasze przygody życiowe darzyć was będą miłością. Zdaje się, jakgdyby wszystko czekało tylko na wewnętrzne hasło — i jeśli dusza nasza bliższą się staje ideału mądrości ku wieczorowi, rozumnieje również nieszczęście, postawione przez nią z rana na czatach.

XI.

Wielkie przełomy nie odbywają się nigdy w duszy, która niczem nie przyczyniła się do ich wywołania; a przecież w najbliższym wypadku życiowym tkwi zarodek wielkiego duchowego przewrotu. Ale wydarzenia te są niewolnikami sprawiedliwości i każdą istotę zasłużony spotyka udział. Dola nasza

ściśle zależna jest od stron, jakie odnajdujemy w szczęśliwych lub nieszczęśliwych wypadkach—najmniej spodziewane kaprysy losu przybierają w końcu zawsze kształt i barwę naszych myśli. Szat swych, broni i stroju zapożycza los od własnego naszego życia duchowego. Gdyby Sokrates i Tersytes stracili jedynych swoich synów w jednym dniu—nieszczęście Sokratesa nie byłoby podobnem do nieszczęścia Tersytesa. Śmierć nawet, niezmienna podług nas, inne ma obyczaje, inne roni łzy, inaczej się słowem zachowuje w domu ludzi dobrych, a inaczej w domu złych. Rzecz można, że nieszczęście i szczęście oczyszczają się, zanim mają zapukać do drzwi mędrca — i że, odwrotnie, stają się one bardziej poziomemi, wchodząc do duszy człowieka przeciętnego.

XII.

W miarę potęgowania się naszego rozumu unikamy pewnej liczby ślepych przeznaczeń. W każdej istocie tkwi pragnienie mądrości, która mogłaby dać nam świadomość wielu nieprzeczuwanych trafów życiowych. Zaś to, czego stalibyśmy się świadomi, przestałoby odgrywać rolę wrogich potęg. Cierpienia, które dusza nasza przeistoczyła w słodycz, pobłażanie lub cierpliwy uśmiech — nie odzyska już dla nas pierwot-

mędrcom ukazać się chociażby przez chwilę na scenie. Boi się on wzniosłej duszy, przed którą wypadki same chylą czoło, a zbrodnia, dokonana w obecności mędrca, inny ma zupełnie charakter, aniżeli zbrodnia, spełniona w obliczu tych, co nie poznali jeszcze głębin własnej jaźni. Gdyby Edyp świadom był niektórych pewników, jakie zdobyć może każdy myśliciel, gdyby własna dusza stanowiła dlań taką samą, dostępną w każdej chwili, ucieczkę, jaką Marek Aureljusz, naprzykład, umiał sobie w niej zbudować, — cóż mógłby zdziałać los i co schwytałby w swoje sidła oprócz czystych promieni światła, jakimi wzniosła dusza, uszlachetniona w ogniu nieszczęścia, rozjaśnia wszystko naokół?

Gdzież mamy mędrca w Edypie? Czy jest nim Tyrezjusz? Zna on przyszłość, nie zna jednak prawdy ludzkiej. Obcą mu jest mądrość, tuląca opiekuńczem skrzydłem nieszczęście, aby natchnąć je swoją siłą. Nie przyda się na nic uczonemu jego wiedza, jeżeli nie jest on obdarzony potęgą miłości, prawdziwym bowiem mędrcom jest nie ten, kto wszystko widzi, ale ten, kto, sięgając wzrokiem jaknajdalej, najgoręcej kocha ludzi. Widzieć, nie kochając, równa się patrzeniu w ciemności.

ściśle zależna jest od stron, jakie odnajdujemy w szczęśliwych lub nieszczęśliwych wypadkach—najmniej spodziewane kaprysy losu przybierają w końcu zawsze kształt i barwę naszych myśli. Szat swych, broni i stroju zapożyczają los od własnego naszego życia duchowego. Gdyby Sokrates i Tersytes stracili jedynych swoich synów w jednym dniu—nieszczęście Sokratesa nie byłoby podobnem do nieszczęścia Tersytesa. Śmierć nawet, niezmienna podług nas, inne ma obyczaję, inne roni łzy, inaczej się słowem zachowuje w domu ludzi dobrych, a inaczej w domu złych. Rzecz można, że nieszczęście i szczęście oczyszczają się, zanim mają zapukać do drzwi mędrca — i że, odwrotnie, stają się one bardziej poziomemi, wchodząc do duszy człowieka przeciętnego.

XII.

W miarę potęgowania się naszego rozumu unikamy pewnej liczby ślepych przeznaczeń. W każdej istocie tkwi pragnienie mądrości, która mogłaby dać nam świadomość wielu nieprzeczuwanych trafów życiowych. Zaś to, czego stalibyśmy się świadomi, przestałoby odgrywać rolę wrogich potęg. Cierpienia, które dusza nasza przeistoczyła w słodycz, pobłażanie lub cierpliwy uśmiech — nie odzyska już dla nas pierwot-

mędrcomi ukazać się chociażby przez chwilę na scenie. Boi się on wzniosłej duszy, przed którą wypadki same chylą czoło, a zbrodnia, dokonana w obecności mędrca, inny ma zupełnie charakter, aniżeli zbrodnia, spełniona w obliczu tych, co nie poznali jeszcze głębin własnej jaźni. Gdyby Edyp świadom był niektórych pewników, jakie zdobyć może każdy myśliciel, gdyby własna dusza stanowiła dlań taką samą, dostępną w każdej chwili, ucieczkę, jaką Marek Aureljusz, naprzykład, umiał sobie w niej zbudować, — cóż mógłby zdziałać los i co schwytałby w swoje sidła oprócz czystych promieni światła, jakimi wzniosła dusza, uszlachetniona w ogniu nieszczęścia, rozjaśnia wszystko naokół?

Gdzież mamy mędrca w Edypie? Czy jest nim Tyrezjusz? Zna on przyszłość, nie zna jednak prawdy ludzkiej. Obcą mu jest mądrość, tuląca opiekuńczem skrzydłem nieszczęście, aby natchnąć je swoją siłą. Nie przyda się na nic uczonemu jego wiedza, jeżeli nie jest on obdarzony potęgą miłości, prawdziwym bowiem mędrcom jest nie ten, kto wszystko widzi, ale ten, kto, sięgając wzrokiem jaknajdalej, najgoręcej kocha ludzi. Widzieć, nie kochając, równa się patrzeniu w ciemności.

XIV.

Utrzymują powszechnie, że wszystkie wielkie tragedye polegają li tylko na walce człowieka z fatalizmem; ja zaś sędzę wprost przeciwnie, że nie istnieje ani jedna tragedia, w której w samej rzeczy fatalizm odgrywałby decydującą rolę. Przebiegam je wszystkie myślą, ale nie znajduję ani jednej, której bohater występowałby do walki z samem tylko przeznaczeniem. W gruncie rzeczy nie uzbiera się on przeciwko losowi, ale występuje jako wróg mądrości. Prawdziwe miano fatalizmu nadać można tylko pewnym nieszczęściom zewnętrznym, jak np. chorobie, nieszczęśliwym wypadkom, gwałtownej śmierci osób ukochanych i t. p. — nie istnieje jednak „fatalizm wewnętrzny“. Wola mądrości posiada moc wyrównywania wszystkiego, co nie rani śmiertelnie naszego ciała. Często nawet udaje jej się wkroczyć zwycięzko w dziedzinę fatalizmów zewnętrznych. Gromadzić, co prawda, musimy cierpliwie w sobie potężny skarb, jeżeli chcemy, aby ta wola znalazła potrzebne siły w uroczystej i stanowczej chwili.

XV.

Kamienna postać losu rzuca olbrzymi cień na dolinę, zdając się zalewać ją poto-

kami mroku; ale cień ten nader wyraźne ma kontury dla ludzi, patrzących nań z wyżyn. Rodzimy się w nim — to prawda, wielu jednak jednostkom dano jest przekroczyć jego granice. A jeżeli słabość naszej woli lub ułomności nasze więżą nas w krainie mroku, to samo już pragnienie stargania tych pęt, sama myśl o tem, nie jest pozbawioną pewnego znaczenia.

Możliwą jest rzeczą, że los prześladuje wyraźniej tego lub owego z nas, bądź na mocy dziedziczności, bądź też wskutek innych, bardziej jeszcze nieubłaganych, głębszych i mniej jeszcze znanych praw. Ale nawet wówczas, gdy skłania on nas do postępków, na jakie nigdy nie bylibyśmy się zdobyli, gdyby nie był spętał naszych rąk, wówczas nawet od nas zależy tylko — z chwilą, gdy nieszczęście stało się już faktem dokonanym — nie pozwolić mu wyrzeć wpływu na stan naszej duszy. Największy nawet cios, raniący serce, pełne najlepszych chęci, nie może przeszkodzić, aby wskutek przebytych właśnie nieszczęść, nie trysnęło z serca tego źródło światła. Nie może on również przeciwdziałać, aby w duszy człowieka każde z przejść okrutnych nie przerodziło się w myśli, uczucia, słowem w skarby nietykalne. Nieszczęśliwe wypadki, największą nawet obdarzone ze-

wnętrzną potęgą stają bezsilne wobec milczącej straży, broniącej na progu duszy dostępu do jej wnętrza. A jeśli otworzą się przed nimi podwoje ukrytej świątyni, wchodzą one do niej tylko w postaci dobroczynnego gościa, odświeżającego zatechłą atmosferę, potęgującego światło, rozlewającego dokoła pogodę i rozjaśniającego widnokrąg.

XVI.

Raz jeszcze pytam, jaka byłaby rola losu, gdyby pomylił się on co do duszy i gdyby zastawił na Epikura, Marka Aureliusza lub Antonjusza Piusa sidła, w jakie wplątał Edypa? Przypuszczam już nawet, że mógłby zniewolić Antonjusza—Piusa, np. do zamordowania ojca oraz do znieprawienia łoża matki — wskutek tej samej zawsze nieświadomości. Ale czy udałoby mu się zburzyć równowagę duszy szlachetnego władzcy? Czy wynik tych wszystkich przejsć nie byłby zgodny z rozwiązaniem wszystkich dramatów, dotykających mędrców — to znaczy, czy nie zrodziłyby one wielkiego bólu, ale zarazem i wielkiej jasności, wyłonionej z cierpienia i zwyciężającej już na poły jego mroki?

Antonjusz byłby płakał, jak płaczą wszyscy ludzie, ale najobfitsze nawet łzy nie

gaszą żadnego, z promieni duszy, w której dłonie jasno—potężne, własne, niezapożyczone światło.

Od cierpienia do rozpaczcy długa wiedzie droga, której nie przebiegała nigdy stopa mędrca. Na szczycie moralnym, na którym stanął Antonjusz — Pius, co wskazuje wyraźnie jego życie, myśli szybujące coraz wyżej i, uszlachetniające się wciąż, uczucia złocą promieniami swojemi łzę każdą. Otworzyłby on nieszczęściu najjaśniejszą, najczystsza stronę swojej duszy a nieszczęście przybiera—jak woda—kształt naczynia, w którym zostaje zawarte. Antonjusz byłby zniósł z poddaniem straszny cios—mówimy zazwyczaj. Bez wątpienia; nie zapominajmy jednak, że wyraz ten zbyt często oznacza stan i postępek wzniosłej duszy. Pierwszy lepszy łatwo sobie wyobraża, że znosi nieszczęście z rezygnacją. Niestety! nie poddanie się samo przez się koi, oczyszcza i podnosi naszą duszę, ale myśli i cnoty, w imię których zdobywamy się na rezygnację. Mamy tu wymowny przykład, jak mądrość wynagradza wiernych swoich wyznawców w stosunku do ich zasług.

Istnieją ideały niedostępne i nietykalne. Wystarczy, aby myśl pewna wzniosła się nieco po nad zwykły poziom próżności, obojętności i egoizmu — a wnet stanie się

ona tarczą, chroniącą od wielu pocisków tego, kto ją żywi w swoim sercu. Dlatego więc — niezależnie od uśmiechów czy przesładowań losu — najszcześniejszym będzie zawsze człowiek, który najgoręcej ukochał najwznioślejszy ideał. Gdyby fatalizm był chciał, stałby się Antonjusz—Pius kazirodcą i ojcobójcą, pomimo to jednak jego życie duchowe nietylko nieostałoby unicestwione, jak życie Edypa, ale naodwrot, przebyte klęski umocniłyby je jeszcze. Los zmuszony byłby do sromotnej ucieczki, do pozostawienia w pobliżu pałacu cesarskiego swoich starganych sieci i strzaskanego oręża; zarówno bowiem, jak tryumfalny wjazd konsulów i dyktatorów mógł mieć miejsce tylko w Rzymie,—los mógłby święcić prawdziwy tryumf w takim jedynie razie, gdyby wkroczył zwycięzko do duszy ludzkiej.

XVII.

Gdzież mamy fatalizm w Hamlecie, Królu Learze oraz Macbecie? Czy nie tkwi on w nierozsądku starego króla, w niskim poziomie wyobraźni młodego księcia lub w szczycie chorobliwych pragnień wodza z Cawdoru? Nie mówmy ani o nim, ani też o ojcu Kordelii, którego nazbyt oczywista nieświadomość nie ulega przecież kwestyi, ale czy można nazwać mędrcom myśliciela—Hamleta?

Czy rozpatruje on zbrodnie Elzynoru z dość wyniosłych szczytów? Dostrzega on je z wyżyn, na jakich stanął rozum jego; czy jednak szczyty pewnych uczuć: najwyższa dobroć, wiara, wyrozumiałość i miłość — nie górują w świetlanym łańcuchu wyżyn mądrości nad szczytami rozumu? Jakie byłyby dalsze jego losy, gdyby zapatrywał się on naprzykład na zbrodnie Elzynorskie z wzniesłego punktu widzenia Marka Aureliusza lub Fenelona? A przedewszystkiem, czyż nie zdarza się często, że występki — wobec ciężącego na nim wzroku potężnej duszy, — zatrzymuje się w ślepym swoim pochodzie — podobnie jak pszczoły przerywają swą pracę, gdy promień światła dziennego przedostanie się do uli?

W każdym razie przeznaczenie rzeczywiste, jakiemu ulegli Klaudyusz i Gertruda — zdajemy się bowiem na wolę losu tylko źle czyniąc — a więc przeznaczenie wewnętrzne kroczyłyby dalej swoją drogą w duszy winowajców; czy mogłyby jednak pokonać ją, czy śmiałyby przekroczyć promienną i nieubłaganą zaporę, jaką stanowiłaby stale na progu pałacu sama obecność jednego z tych mędrców? O ile losy ludzi przeciętnych związane są pomimo woli z losem, napotkanego na ich drodze, mędrca — o tyle na przeznaczenie mędrca rzadko wpływają losy,

nżej od niego stojących, istot. W dziedzi-
nie fatalizmu—tak samo jak na ziemi—rze-
ki nie płyną wstecz i nie powracają do
swoich źródeł. Nawiązując jednak przerwa-
ny wątek rozumowania, zapytam jeszcze,
czy wyobrażacie sobie, aby potężna i wznio-
sła dusza — jaką jest dusza Chrystusa —
znalazłszy się na miejscu Hamleta, w Elzy-
norze, nie powstrzymała biegu tragicznych
wydarzeń i nie przeszkodziła czterem koń-
cowym zgonom? Czy wydaje się wam to
możliwem? Czy najzręczniejsza dokonana zbro-
dnia nie przypomina do pewnego stopnia,
w obliczu głębokiej mądrości, widowisk,
urządzanych w zimowe wieczory dla ma-
łych dzieci i nieznoszących światła dzienne-
go, które odsłoniłoby całą ich miernotę
i kłamliwość? Czy wyobrażacie sobie Chry-
stusa, albo nawet spotkanego może przez
was w życiu mędrca — wśród dobrowolnych
mroków Elzynoru? Cóż innego kieruje Ham-
letem, jeżeli nie błędne pojęcie, że zemsta
jest jedynym jego obowiązkiem? Czy istot-
nie jednak potrzebne są nadludzkie wysił-
ki, aby zrozumieć, że zemsta nie może być
nigdy obowiązkiem? Powtarzam: Hamlet
myśli dużo, nie jest jednak bynajmniej
mędrce. Nie zdaje się podejrzewać, w czem
tkwi Achillesowa pięta przeznaczenia, które
niezawsze daje się zwalczyć lotnemi myśla-

mi; umie on bowiem podobnej broni przeciwstawiać myśli jeszcze wyżej szybujące. Czy istniał jednak kiedykolwiek los, który nie uląkłby się myśli cichych, prostych, dobrych i uczciwych? Jedyńy sposób ujarzmienia losu polega na dokonywaniu czynów wprost przeciwnych czynom złym, do których spełniania chciałby on nas zmusić. Niemanieuniknionego dramatu. Nieszczęścia Elzynoru dlatego tylko przychodzą do skutku, że dusze wszystkich nie chcą przejrzeć; żywa zaś dusza zmusza wszystkie inne do otwarczenia oczu. W jakiej księdze przeznaczeń—o ile fatalizm nie tkwił w nędznem zaślepieniu Hamleta—zapisane było, że Laertes, Ofelja, Gertruta, Hamlet i Klaudjusz muszą umrzeć? Czy jednak zaślepienie to było rzeczą nieuniknioną? Nie przypisujmy winy losowi tam, gdzie uświadomienie mogłoby wytrącić zabójczym potęgom oręż z ręki. Zakres jego działania jest i tak aż nadto rozległy. Odnajduję królestwo jego w kamieniu, walącym mi się na głowę, w burzy, strzaskującej maszt okrętu, w epidemii, porywającej mi wszystkich moich blizkich i ukochanych. Nie opanowuje on jednak nigdy duszy człowieka, który go nie wzywał. Hamlet jest nieszczęśliwy ponieważ mroki ponure przysłaniają jego umysł, i to zaślepienie właśnie stanowi trwałą podwa-

podwalinę jego nieszczęścia. Niema na świecie siły, której uległość wobec ludzi, mających odwagę rządzenia nią, — byłaby większą, niż uległość fatalizmu. Horacy nawet mógłby rządzić nim do ostatka, nie posiada jednak potrzebnej energii do wydostania się po za obręb mroku, jaki otaczał jego przyjaciela. Wystarczyłoby, aby jedna dusza zdobyła się na odwagę wygłoszenia prawdy w Elzynorze—a cała jego historia nie byłaby jednym pasmem łez, nienawiści i ohydy. Ślepy, złośliwy traf, który staje się giętką trzcina w rękach mądrości, jest nieugiętą kolumną spiżową wobec ciemnoty. Raz jeszcze powtarzam, że wszystko tutaj zależało nie od woli przeznaczenia, ale od mądrości najmędrszego, Hamlet bowiem był najmędrszy, tem samem więc stał się punktem środkowym Elzynorskiego dramatu—a mądrość Hamleta zależna była jedynie od niego samego.

XVIII.

Jeżeli nie ufacie tragedjom wymyślonym, rozważcie ten lub ów wielki dramat prawdziwej historii—a przekonanie się, że przeznaczenie i człowiek w takim samym i tam pozostają do siebie stosunku, jednakie mają obyczaje, tak samo są niecierpliwi, ulegli lub oporni. Przekonacie się również, że ra

czynniejszą stroną tego, czemu podoba się nam nadawać miano „fatalizmu“, jest siła, nadana mu przez ludzi. Jest ona potężna, co prawda, ale rzadko można uważać ją za niezwyciężoną. Nie wyłania się ona, w danym momencie, z niezmiernych, niedostępnych i nieublaganych głębin. Składa się na nią energia, pragnienia, myśli, bóle, namiętności naszych braci — a powinniśmy byli znać dobrze te namiętności, ponieważ są one podobne do naszych.

W najniezwykleszych nawet chwilach, w najbardziej zagadkowym nawet i najbardziej nieprzewidzianem nieszczęściu, nie stajemy nigdy do walki z ukrytym lub całkowicie nieznanym wrogiem. Nie rozszerzamy dowolnie sfery klęsk nieuniknionych. Ludzie prawdziwie silni wiedzą dobrze, że nie wszystkie moce, stające w poprzek ich zamiarom, są im znane, a przecież walczą tak samo mężnie z potęgami, których są świadomi, jak gdyby nie istniały po za nimi żadne inne;—to też często udaje im się odnosić zwycięztwo. Zapewnimy sobie i w szczególny sposób utrwalimy bezpieczeństwo, spokój i szczęście—w dniu, w którym nieświadomość nasza i obojętność przestaną nadawać miano fatalizmu temu, co energia nasza i uświadomienie powinnyby raczej uważać za rzeczy naturalne i ludzkie.

XIX.

Weźcie pod uwagę dzieje pamiętnej ofiary losu: Ludwika XVI-go. Nigdy, zdaje się, fatalizm nie prześladował bardziej zawzięcie człowieka dobrego, uczciwego, niewinnego, łagodnego i cnotliwego. Rozpatrzmy jednak bliżej, co złożyło się na cały jad tego fatalizmu? czy nie stworzyły go słabości, wahania, pewna nieszczerłość, niekonsekwencya, próżność i zaślepienie ofiary? Jeżeli prawdą jest, że rodzaj, z góry postanowionych, wyroków, rządzi wszelkimi okolicznościami życia, — musiałyby one przedewszystkiem tkwić w naszym charakterze; a czyż człowiek, obdarzony dobrami chęciami, nie powinien z największą łatwością urabiać swojego charakteru? Czy większość ludzi nie zmienia się zasadniczo? Czy, mając lat trzydzieści, jesteś takim samym, jakim byłeś w dwudziestym roku życia? Stałeś się lepszym lub gorszym — zależnie od tego, czy widziałeś częściej tryumf kłamstwa, nienawiści, nieprawości i niegodziwości, aniżeli prawdy, miłości i dobra. Dostrzegałeś zaś zwycięstwo nienawiści albo miłości, prawdy lub kłamstwa—zależnie od wznioślejszego lub bardziej poziomego pojęcia, jakie wytworzyłeś sobie stopniowo o szczęściu i celu życia; na ukształtowanie się bowiem tych po-

jęć wpływać się zdaje istota naszych tajemnych pragnień. Jeżeli wzrok twój wyteżony będzie w kierunku zła, — dostrzeżesz wszędzie zwycięstwo złego; o ile jednak nauczyłeś się szukać we wszystkim prostoty, szczerości i prawdy, dojrzysz na dnie każdego przejawu — potężne i ciche zwycięstwo ukochanych przez ciebie cnót!

XX.

W każdym razie nie sądźmy Ludwika XVI-go z naszego punktu widzenia. Postawmy się na jego miejscu, podzielmy jego wahania, zdziwienie, nieświadomość i trudności wobec których się znalazł. Zbyt łatwo jest przewidywać, jak należałoby właściwie postąpić, kiedy się już zna wszystkie poczynione kroki. I nasze pomyłki, wątpliwości, naszą nieznajomość, ciężącego na nas, obowiązku — sądzić należy, jedynie starając się odnaleźć ślady ostatnich naszych kroków na piasku drobnej wyniosłości, z której szczytu sililiśmy się odsłonić przyszłość.

Czy wiemy lepiej—aniżeli Ludwik XVI — co wypada nam czynić w obecnej chwili? Czego należy się wyrzec i czego bronić? Czy ostrożniej—niż on—lawirowalibyśmy pomiędzy zasadami rozumu ludzkiego i prawami zbiegu okoliczności? Czy sumienne wahanie się niema często wszelkich cech

obowiązku? Przykład nieszczęśliwego króla daje nam jednak jedną ważną wskazówkę: znalazłszy się wobec wielkiej, szlachetnej wątpliwości, należy zawsze idąc wprost, śmiało naprzód—wybiegać po za obręb tego, co wydaje nam się rozsądnem, sprawiedliwem i możliwe do urzeczywistnienia. Najjaśniejsze, najbardziej postępowe, oraz najbardziej niezależne podług nas pojęcie, jakie tworzymy, sobie o obowiązku, sprawiedliwości i prawdzie, nie posiada zalet tych w tym stopniu, w jakim—naturalną kolejną rzeczą—posiadać je będzie za kilka lat lub za kilka stuleci. Mądrość więc polega na możliwie szybkim docieraniu do szczytów naszego przewidywania, naszych nadziei. Gdyby Ludwik XVI postępował był w ten sposób, w jaki, znalazłszy się na jego miejscu, działalibyśmy, wiedząc już dzisiaj, co należało uczynić, to znaczy, gdyby był śmiało zrzekł się wszelkich przesądów monarchicznych, przyjął uczciwie nowe prawdy i pojęcie wyższej sprawiedliwości, jakie wyrosły w jego oczach, podziwialibyśmy jego genjusz. Otóż, prawdopodobną jest rzeczą, że Ludwikowi XVI, który nie był ani złym, ani głupim człowiekiem, mogło ukazać się właściwe jego stanowisko — na jedną chociażby chwilę—w takim samym świetle, w jakim widziałby je bezstronny filozof. W każdym

azie nie jest to ani psychologicznie, ani historycznie niemożliwe. — Wiemy często bardzo dobrze, gdy idzie o najgłębsze nasze wątpliwości, gdzie jest punkt stały i niezaprzeczony ideał obowiązku, zdaje nam się jednak, że wielka bardzo przestrzeń, którą nieprzezornie byłoby odrazu przeskoczyć, oddziela ten nazbyt samotny i promienny szczyt od wymagań chwili obecnej.

A jednak, czyż nie przekonywa nas cała historia ludzkości, całe własne nasze doświadczenie, że największa słusność tkwi w najwyższym zawsze ideale i że w końcu zmuszeni jesteśmy zdobyć go przemocą, straciwszy dużo drogocennego czasu przy wspinaniu się na pośrednie wyniosłości? Coż stanowi zasadniczy rys mędrca, wielkiego człowieka, jeżeli nie odwaga, z jaką samotny, uprzedzając wszystkich innych, dotarł na dziewicze wyżyny, dostrzegalne mniej lub więcej wyraźnie dla wszystkich ludzi?

XXI.

Nie chcę bynajmniej dowieść, że Ludwik XVI powinien być mędrcom, jakkolwiek posiadanie genialnego umysłu jest poniekąd obowiązkiem człowieka, dzierżącego w dłoni losy olbrzymiego zastępu ludzi. Nie wmawiam też sobie wcale, że najlepsi

z nas byliby uniknęli jego błędów a tem samem jego nieszczęść. Bynajmniej; jedno nie ulega jednakże wątpliwości, że żadne z tych nieszczęść nie wyływało ze źródła nadludzkiego, nie było nadnaturalnie i zbyt tajemniczo nieuniknione. Nie spadały one z obcego nam świata; nie były zesłane przez jakąś potworną, niepojętą i kapryśną potęgę. Stworzyło je pojęcie zapoznawanej sprawiedliwości, które nagle zbudziło się do życia, jakkolwiek nigdy nie drzemało w umysłach ludzkich. A czy istnieje jednak coś bardziej uspakajającego, coś bliższego nam i głębiej ludzkiego niż idea sprawiedliwości? Z punktu widzenia bezpieczeństwa osoby Ludwika XVI-go żałować można, że idea ta wyłoniła się podczas jego właśnie panowania; stanowi to jedyny zarzut, jaki mógł on uczynić losowi,—większość zaś zarzutów, czynionych przez nas przeznaczeniu, taką samą zazwyczaj ma wartość.

Po za tem—słusznem i uzasadnionem będzie przypuszczenie, że jeden jedyny przejaw energii, bezwzględnej szczeroci, bezstronnego i szlachetnie przewidującego rozumu—mógł był nadać inny kierunek biegowi wypadków. Gdyby ucieczka do Varennes—która była przecież aktem obłudy i karygodnej słabości—miała charakter mniej dziecinnie śmieszny, mniej nieroztropny, słowem, gdy-

by zorganizował ją człowiek, przywykły do życia rzeczywistego, — nie można chyba wątpić, że Ludwik XVI nie byłby został świętym. Co skłoniło go do powierzenia przygotowań i kierunku nieszczęsnej podróży — człowiekowi głupiemu, niezręcznemu i ambitnemu, jakim był do Fersen? Czy kierowało nim w danym wypadku nieznanne bóstwo czy też ślepe ustępowanie Maryi Antoninie? Czy potężna, tajemnicza siła — czy też lekkomyślność, obojętność, nieświadomość, niezrozumiałość, pełna apatii — a zarazem zuchwalstwa — ufność w swoją gwiazdę, jaka cechuje często w niebezpieczeństwie ludzi słabych i lekkomyślnych — kazała mu wysuwać na każdym postojach głowę z karety, narażając go oczywiście na możliwość zostania poznanym trzy lub cztery razy? A czy w chwili stanowczej, podczas tej ponurej, rozstrzygającej nocy, jednej z tych nocy historycznych, kiedy fatalizm powinien był stać, jak opoka, na straży wypadków, — czy wówczas nawet kroki Nemezys nie były chwiejne i drżące jak kroki dziecka, próbującego po raz pierwszy sił swoich i niewiedzącego, o co się wnet potknie: o biały kamień na lewo, czy o kępkę trawy na prawo? Gdyby, w tragicznej chwili zatrzymania podróży karety na tle ciemnej nocy, odpowiedział na groźny okrzyk: „w imieniu naro-

du“!... wydarty z piersi młodzieńczej (młodego Drouet'a)—był stanowczy rozkaz królewski, energiczne smagnięcie batem i śmiałe popędzenie naprzód, co koń wyskoczy,—nie byłoby zapewne na świecie ani mnie, ani ci bie, historia bowiem świata zupełnie inaczej byłaby się ukształtowała. A czy później wobec zmieszanego, wahającego się mera, który—w postawie pełnej szacunku—czekał, zdaje się, tylko na władczy rozkaz, aby otworzyć wszystkie wrota; w oberży; w sklepie p. Sauce, zacnego korzennika; za przybyciem de Goguelat'a i de Choiseul'a, otoczonych huzarami, gońcami zbawienia;—słowem, czy dziesiątki razy na losy króla i jego rodziny nie mógł wpłynąć rozstrzygająco jeden wyraz: „tak“, lub „nie“, jeden krok śmiały, jeden ruch, jedno spojrzenie? Postawmy dziesięciu, dobrze nam znanych, ludzi na miejscu króla Francyi, a z całą pewnością przewidzieć będziemy w stanie wynik nocy, przebytej w podobnych warunkach przez każdego z nich. Prawdziwie haniebna to była dla fatalizmu noc, która zdradziła całą jego chwiejność. Czy uwydatniła się kiedykolwiek w sposób wyraźniejszy pospolita marność, brak stanowczości tej wielkiej siły tajemniczej, której potęgę, ciężącą na życiu naszym, odczuwamy w chwilach zbyt wielkiego poddania się? Czy ukazała się nam

ona kiedykolwiek bardziej ogołoconą z pożyczanych, świetnych i kłamliwych szat, czy przechodziła — wyraźniej niż wtedy — po sto razy, cała skąpana we łzach, od życia do śmierci i od śmierci do życia, aby w końcu — niby przerażona kobieta — rzucić się w objęcia nieszczęśliwej istoty, nieco bardziej jeszcze niż ona chwiejnej, i zebrać do rana zapewnienia bytu, jaki znaleźć może jedynie w środowisku ludzkiego rozumu i woli?

XXII.

Jednakże nie jest to jeszcze wszystko. Dobrze jest zapatrywać się w podobny sposób na rzeczy, obniżać znaczenie fatalizmu, traktować go jak zbłąkaną, słabą kobietę, którą należy przygarnąć, aby nią kierować. Uzbraja nas taki pogląd — w oczekiwaniu niebezpiecznej chwili — w ufność, odwagę, przedsiębiorczość, bez których nie moglibyśmy dokonać nic pożytecznego: nie znaczy to jednak, aby nie istniało nic innego, aby należało jedynie liczyć na własny rozum i wolę. Rozum i wola powinny — niby zwycięzcy żołnierze — przyzwyczajać się żyć kosztem wszystkiego, co wypowieda im walkę. Muszą nauczyć się czerpać soki ze światła nieznanego, który nad nimi góruje. Przekroczyć zbyt ciasne ramy szczęścia ludzi, nie spełniających żadnego w życiu posłannictwa

oraz wyjść po za zakres czynów pospolitych można jedynie, stąpając z pewnem, samodzielnie wyrobionem, uświadomieniem—po znanej ścieżce, nie przestając jednocześnie myśleć o dziewiczej jeszcze przestrzeni, wśród której ona się wije.

Przywykajmy do postępowania w ten sposób, jak gdyby wszystko było nam podległe, ale starajmy się jednocześnie żywić w duszy naszej przeświadczenie o konieczności poddania się wielkim siłom, jakie napotkamy na naszej drodze. Ręka powinna wierzyć, że przewidzieliśmy wszystko; na dnie jednak serca naszego tkwić musi stale tajemne, niezwalzone, nietykalne pojęcie, że wszystko, co jest wielkie, jest prawie zawsze nieprzewidziane. Te siły nieprzewidziane, nieznane, dokonywają czynów, na jakie nie śmielibyśmy zdobyć się; wówczas jednak tylko wyciągają one do nas pomocną dłoń, kiedy znajdują w głębi serc naszych poświęcone im ołtarze. Przyjrzyjcie się, jaki udział umieją powierzać losowi — w najniezwyklejszych swoich czynach — ludzie, najsilniejszą obdarzeni wolą, jak naprzykład Napoleon? Istoty, pozbawione szlachetnych nadziei, podtrzymują wszelkiemi siłami wiarę w traf, pielęgnując ją jak wątłe dziecko; inni znów oddają mu w posiadanie bezbrzeżne przestrzenie, jakich istota ludzka nie

ma siły jeszcze zmierzyć, nie tracą go tam jednak ani na chwilę z oczu.

XXIII.

Z chwilami straszliwych przewrotów historycznych dzieje się to samo, co z burzą na morzu. Ludzie zbiegają się z głębi równin, tłumnie gromadzą się na wybrzeżu, wdrapują się na szczyty urwistych skał, oczekują czegoś, przypatrując się bałwanom z gorączkową i dziecinną zarazem ciekawością. Oto nadbiega właśnie trzy razy większy, groźniejszy i bardziej rozwścieczony od innych. Zbliża się jak potwór o przejrzystych muskułach. Kłębi się i rozlewa już na widnokręgu, niosąc, zda się, nagłe i rozstrzygające wyjaśnienie. Droga jego tak głęboką, ciemną znaczy się bruzdą, że odsłoni ona chyba jedną z tajemnic oceanu; tymczasem... za chwilę znów toczą się--jedna za drugą--jasne i niezgłębione fale, jakgdyby nie było wcale ryku wiatru i, zasnutego ciężką chmurą, nieba. Żadna żywa istota, kamień nawet nie wyłonił się z głębin bezbrzeżnego morza.

Gdyby cośkolwiek mogło zniechęcić mędrca, --który nie staje się nim, dopóki niespodziana przyczyna zamiast odstraszyć go, nje oświeci jego zdumienia i nie podwoi je-

go ciekawości—znalazłyby się w tej samej rewolucyi francuzkiej niejedne, nieskończenie bardziej jeszcze tragiczne, niewytłomaczone i, przytłaczające ogromem swego nieszczęście, losy, niż los Ludwika XVI-go. Mam na myśli Żyryndystów, a zwłaszcza wspaniałego Vergniaud'a. Dzisiaj nawet, kiedy znane nam są jego dzieje i wiemy, co czekało go w przyszłości, kiedy odgadujemy poniekąd, jakie były bezwiedne dążenia i cel ostateczny wyjątkowego stulecia — nie mogliśmy prawdopodobnie działać mądrzej i szlachetniej niż on. Trudno byłoby w każdym razie, aby człowiek, rzucony wolą trafu w sam wir niedającego się już stłumić, dramatu, wykazał szerszy umysł i wznioślejszy charakter. Piękny cień bez zmazy, wzniosła, nieustraszona postać, nieznająca uprzedzeń, błędów ani słabości, istota, jaką roimy sobie czasem na dnie serca, o jakiej marzymy całą potęgą najszlachetniejszych naszych sił, naszej mądrości i całego naszego ukochania, — pragnęłaby móż zasiąść obok niego na opustoszałych już ławkach Konwentu, „nad któremi zdawał się unosić cień śmierci“, aby myśleć, mówić i działać jak on. Człowiek ten umiał dostrzedz wiekuisty i nieomylny ideał, świecący dlań jasno po nad całą grozą tragicznego momentu, nie zatracił uczuć ludzkości i wyro-

zumiałości podczas okropnych dni, kiedy obie te cnoty zdawały się być największemi nieprzyjaciółkami ideału sprawiedliwości, dla którego wszystko poświęcił.—On to właśnie „w chwili wielkiego, i szlachetnego zwątpienia“ wybiegł wprost, śmiało, naprzód—po za obręb tego, co wydało mu się rozsądnem, sprawiedliwem i możliwem do przeprowadzenia.

Gwałtowna, ale spodziewana śmierć, przecięła pasmo jego życia, zanim zdążył przebiec połowę drogi, jakgdyby chcąc nas pouczyć, że często, w dziwnych zapasach człowieka z losem, nie idzie o uratowanie życia naszego ciała, ale o zapewnienie trwałego bytu naszym najszlachetniejszym uczuciom i najwznioślejszym naszym ideom.

Jaką będą miały wartość najwznioślejsze moje myśli, jeżeli mnie samego już nie będzie? — mówią niektórzy; cóż pozostawię po sobie, jeżeli dla uratowania własnego życia, muszę wyrwać przemocą z mojego serca i z mojego umysłu to, co najgoręcej ukochałem? odpowiadają im inni. I czy do wyboru pomiędzy temi dwoma właśnie pojęciami, nie sprowadza się prawie zawsze cała etyka, cnota i całe bohaterstwo człowieka?

XXIV.

Ale ostatecznie czem-że jest ta mądrość, o której w ten sposób mówimy? Nie pro-

bujmy ściśle jej określać, w zbyt ciasne bowiem wtłoczylibyśmy ją ramy. Ktokolwiek pokusiłby się o zdefiniowanie jej, czyniłby wrażenie człowieka, który, chcąc zbadać istotę światła, zgasiłby naprzód to światło i oczywiście znalazłby tylko opalony knot oraz garstkę popiołu. „Mądrym słowem, powiedzianem dziecku—mówi Joubert—jest takie słowo, które dziecię zawsze zrozumie, jakkolwiek mu się go nigdy nie objaśnia“. Przyjmijmy je więc tak, jak przyjmują je dzieci i pozwólmy mu wzrastać wraz z nami. Powiedzmy o mądrości to, co siostra Hadewijcka, tajemnicza nieprzyjaciółka Ruijsbroeck'a, mówi o Miłości: „Najgłębsza jej otchłań — najpiękniejszą jest jej postacią“. Mądrość nie powinna mieć określonych kształtów; piękno jej musi być równie zmienne, jak piękno płomieni. Nie jest ona nieruchomą boginią, wiecznie rozpartą na swym tronie. Minerwa towarzyszy nam, wznosi się i zstępuje, płacze i cieszy się wraz z nami. Wówczas tylko jesteś prawdziwie mądrym, jeżeli mądrość twoja przeistacza się wciąż, od lat twoich dziecinnych aż do śmierci. Im piękniejsze i głębsze jest pojęcie twoje o mądrości, tem mędrszym sam jesteś; a każdy szczebel, na który weszliśmy, pnać się coraz wyżej, aby zdobyć mądrość, odsłania oczom duszy naszej

nieskończone obszary, których mądrość ta nigdy nie będzie w stanie przebyć.

XXV.

Być mądrym, znaczy—posiadać samowiedzę; z chwilą jednak, gdy prawie już zgłębiliśmy jaźń naszą, spostrzegamy się, że prawdziwa mądrość jest rzeczą znacznie głębszą jeszcze od samopoznania. Rozszerzenie się granic wewnętrznego uświadomienia o tyle jest pożądane, o ile odsłania coraz wyższe szczyty nieświadomości; i na tych właśnie szczytach, świeżo odkrytej nieświadomości, ukryte są źródła najczystszej mądrości. Dziedziczymy wszyscy jednakowo obszerny zasób nieświadomości, ale jedna część tej dziedziny mieści się poniżej, druga zaś powyżej zwykłego uświadomienia. Większość nie przekracza pierwszej strefy, ci zaś, którzy wielbią mądrość, nie zaznają spokoju, dopóki nie odkryją nowych dróg, wiodących do drugiej. O ile pokochałem i posiadałem najzupełniejszą,—jaką człowiek osiąść może — miłości tej świadomość, kochaniu mojemu przyświecać będzie nieświadomość innej zupełnie natury, niż nieświadomość, rzucająca cień na zwykłą miłość. Tą drugą miłością kochają tylko zwierzęta, pierwsza na boskie wznosi się wyżyny, ale ten tylko wyraźnie ją odczuwa, kto zatra-

cił poczucie pierwszej. Nie przekraczamy nigdy obrębu nieświadomości, ale możemy doskonalić wciąż jakość nieświadomości, w jakiej jesteśmy pogrążeni.

XXVI.

Być mądrym—nie znaczy hołdować wyłącznie rozumowi, mądrość nie polega też wyłącznie na przyzwyczajaniu rozumu do łatwego zwalczania podszeptów poziomego instynktu. Zwycięstwa te byłyby zupełnie jałowe, gdyby nie pouczały jednocześnie rozumu o konieczności ulegania instynktowi innego rodzaju, mianowicie instynktowi duszy. Ubiegać się o codzienne odnoszenie podobnych tryumfów należy jedynie z tego względu, że pozwalają one na coraz swobodniejsze przejawianie się coraz bardziej boskiego instynktu. Cel ich nie leży w nich samych. Służą one tylko do torowania drogi przeznaczeniu naszej duszy, którym jest dążenie do doskonałości i światła.

XXVII.

Rozum otwiera wrota mądrości, nie jest jednakże najżywszej mądrości siedliskiem. Rozum zamyka drzwi przed złym losem, mądrość zaś otwiera na widnokregu inne podwoje losom przyjaznym. Rozum broni się, zakazuje, cofa, ruguje, obala; mądrość — staje

do walki, nakazuje, idzie naprzód, potęguje, podnosi i stwarza. Mądrość jest raczej pewnem pożądanem duszy naszej, aniżeli wytworem rozumu. Szybuje ona po nad rozumem, to też cechą prawdziwego mędrca jest dokonywanie tysiąca czynów, nieuznawanych przez rozum, albo też uznawanych przezeń po upływie dłuższego dopiero przeciągu czasu. Tak np. mądrość pouczyła pewnego dnia rozum, że należy płacić dobrem za złe i kochać swoich nieprzyjaciół. Rozum, doskonaląc się wciąż, stanął nareszcie na najwyższym, dostępnym sobie szczycie, i dnia tego uznał słuszność nakazu mądrości. Ale mądrość nie poprzestała na tem — i samotna dalsze jeszcze czyni wciąż poszukiwania.

XXVIII.

Gdyby mądrość ulegała wyłącznie głosowi rozumu i gdyby zwycięztwa jej, odnoszone stale nad podszeptami instynktu, były dla niej wystarczające — byłaby ona zawsze jedną i niezmienną. Istniałby tylko jeden rodzaj mądrości i człowiek mógłby ją całą osiąść, ponieważ rozum niejednokrotnie już dotarł do swoich krańców.

Otóż, — o ile istnieje nawet kilka stałych momentów mądrości—niema jednak nic bardziej zmiennego nad atmosferę, jaka otacza

ją u Sokratesa i Chrystusa, u Arystyda i Marka Aureliusza, u Fenelona i Jean Paul'a. Nie masz chyba rzeczy, która uległaby bardziej zasadniczemu przekształceniu, aniżeli jedno i to samo wydarzenie, które porwane zostałyby, jednego i tego samego dnia, przez żywe źródła mądrości ludzi; gdyby zaś wpadło ono w stojącą wodę ich rozumu, pozostałoby bez żadnej zmiany tem, czem jest samo przez się. Wyobraźcie sobie, że Chrystus i Sokrates spotykają cudzołożnicę; — rozum ich odpowie na tę przygodę w jednakowy mniej więcej sposób, mądrość ich zaś podyktuje im — po za słowami i myślami — kroki, do różnych należące światów. Różnice te wywołuje sama żywotność mądrości. Mędrcy wszyscy jeden wspólny mają punkt wyjścia; jest nim próg rozumu. Drogi ich zaczynają rozchodzić się jednak w miarę tego, jak zwycięztwa rozumu wyzbywają się resztek wahania, to znaczy od chwili, kiedy wkraczają one swobodnie w dziedzinę wyższej nieświadomości.

XXIX.

Wielka zachodzi różnica pomiędzy powiedzeniem: „To jest rozsądne a słowami“: — „to jest mądre“. Czynny rozumne nie są z konieczności czynami mądrymi, zaś to, co jest bardzo mądre, nigdy prawie

nie bywa rozsądnem w oczach zbyt zimnego rozumu. Rozum, naprzykład, rodzi sprawiedliwość, mądrość zaś płodzi dobroć, która — wedle uwagi starego Plutarcha, „sięga daleko dalej niż sprawiedliwość“. Czy bohaterstwo zależy od rozumu czy od mądrości? Rzec można, że mądrość jest w gruncie rzeczy tylko poczuciem nieskończoności, zastosowaniem do naszego życia moralnego. Rozum także posiada, co prawda, poczucie nieskończoności, ale poczucie to polega tylko na martwym stwierdzeniu. Wyłączną prawie winą jest rozumu, że nie wywiera on żadnego wpływu na życie; mądrość zaś zasługuje na swoje miano—zależnie od czynnej przewagi, jaką zdobywa nieskończoność nad wszystkimi jej krokami.

Rozum nie obejmuje miłości, której tak pełna jest mądrość; — a najwyższa mądrość nie różni się wcale od najczyściejszego pierwiastku miłości. Miłość więc jest najbardziej boską postacią nieskończoności—a zarazem—dzięki swojej zapewne boskości—najgłębiej ludzką. Czy nie możnaby powiedzieć, że mądrość jest zwycięstwem, odnoszonym przez rozum boski nad rozumem ludzkim?

XXX.

Nie jest się nigdy zbyt rozumnym, — ale mądrość jedynie ma prawo odwoływać się

do rozumu. Nie jest mędrceem ten, którego rozum nie nauczył się być posłusznym pierwszemu wezwaniu miłości. Na czem polegałaby cała działalność Chrystusa, wszystkich bohaterów, gdyby rozum ich nie nauczył się ulegać? Azaliż czyn bohaterski nie przekracza zawsze granic rozumu? a jednak, któż poważyłby się powiedzieć, że bohater nie jest mędrszym od ludzi, siedzących ze założonemi rękami jedynie dlatego, że tak nakazuje im czynić rozum? Musimy raz jeszcze powtórzyć, że nie rozum, ale miłość powinna być naczyniem, w którym hodujemy prawdziwą mądrość. Rozum stanowi có prawda, korzeń mądrości, mądrość nie jest jednakże rozumu kwiatem. Nie idzie tu bowiem — że użyję innej przenośni — o mądrość wyrozumowaną, która jest wnuczką miłości, ale o odmienną zupełnie mądrość, która jest jej ukochaną siostrą.

Rozum i miłość walczą zrazu gwałtownie w doskonalącej się duszy, ale mądrość jest córą pokoju, który w końcu zawartym zostaje pomiędzy miłością i rozumem. Pokój ten zaś tem jest głębszy, im więcej praw ustąpił rozum miłości.

XXXI.

Mądrość jest światłem miłości, a światło to zasilane jest przez miłość. Im głębszą jest

miłość, tem jest ona zarazem mędrszą; a im wyżej sięga mądrość, tem bliższą staje się miłości. Kochajcie—a staniecie się mądrymi; stańcie się mędrkami—a będziecie musieli kochać. Człowiek kocha prawdziwie wówczas, kiedy staje się lepszym; a stać się lepszym, znaczy stać się mędrszym. Niema istoty na świecie, która nie doskonaliłaby pewnej strony swej duszy—z chwilą, kiedy pokocha inną istotę, nawet wówczas, kiedy wchodzi w grę miłość pospolita; a ci, którzy nie przestają kochać — kochają nieprzerwanie, ponieważ nieustannie się doskonala. Miłość zasila mądrość — a mądrość zasila miłość; stanowi to jedno koło świetlne, w którego środku ludzie kochający bratają się z ludźmi mądrymi. Miłość i mądrość są nierozłączne; w raju Swedenborg'a małżonka jest jedynie: „ukochaniem mądrości mędrca“.

XXXII.

„Nasz rozum — powiada Fenelon — tkwi li-tylko w naszych jasnych pojęciach“. Mądrość zaś nasza — moglibyśmy dodać,—czyli to, co jest najlepszego w naszej duszy i w naszym charakterze, polega przede-wszystkiem na ideach naszych, niezupełnie jeszcze wyjaśnionych. Gdybyśmy pozwolili, aby w życiu kierowały nami wyłącznie po-

jęcia jasne, stalibyśmy się wkrótce ludźmi, mało zasługującymi na miłość i szacunek.

W gruncie rzeczy niema nic mniej jasnego, aniżeli przyczyny, na zasadzie których przekonywamy się, że należy być dobrym, sprawiedliwym, wspaniałomyślnym — oraz żywić w każdej sprawie najszlachetniejsze uczucia i myśli, na jakie moglibyśmy się zdobyć. Na szczęście, im więcej zyskaliśmy jasnych pojęć, tem więcej uczymy się szanować te, które nie są jeszcze zupełnie wyjaśnione. Należy starać się osiąść możliwie najwięcej najjaśniejszych pojęć, aby powołać do życia wduszy swej jaknajwiększy zastęp idei niejasnych jeszcze. Pierwsze zdają się nieraz kierować naszym życiem zewnętrznem, nie ulega jednak wątpliwości, że drugie przewodniczą życiu naszemu duchowemu, a życie widoczne, jawne—ulega zawsze w końcu życiu duchowemu, ukrytemu. Od liczby, jakości i potęgi naszych pojęć jasnych zależy liczba, jakość oraz potęga naszych idei mglistych; a niezmiernie jest prawdopodobne, że większość prawd ostatecznych, których z takim zapalem szukamy, czeka cierpliwie swojej godziny w pośród gromady naszych pojęć niejasnych. Ważną jest rzeczą skrócenie tego oczekiwania. Piękna, jasna idea, jaką powołujemy w sobie do życia, zawsze zbudzi z kolei

piękną ideę mglistą, a kiedy ta idea mglista zyska, w miarę starzenia się, jasność, — czyż bowiem zupełna jasność nie jest zazwyczaj oznaką znużenia się idei? — zbudzi ona znów inne pojęcie mgliste, piękniejsze i wznioślejsze, aniżeli była ona sama w epoce swojej mglistości; i kto wie może, idąc tak wciąż po omacku wzdłuż uszpionych szeregów, jedna z nich, wytrwała i niczem niezrażona, dotknie małą, niewidzialną prawie dłonią wielkiej, ostatecznej prawdy.

XXXIII.

Idee jasne, idee mgliste, serce, umysł, wola, rozum, dusza—w gruncie rzeczy są to wszystko wyrazy, określające mniej więcej jedno i to samo — mianowicie duchowe skarby osobnika. Dusza jest bezsprzecznie najpiękniejszym tylko dążeniem naszego umysłu—a dążenie do bóstwa jest z kolei najpiękniejszym może pragnieniem naszej duszy. Wszystko to jednak tak mało jeszcze jest wyjaśnione, że można w najlepszym razie pokusić się o zaprowadzenie pewnego rozgraniczenia ciemności za pomocą grubych kresek, często czarniejszych jeszcze od płaszczyzn, przez nie dzielonych. Poznać siebie samego—to może jedyny, zasługujący na uznanie ideał, jaki nam pozostaje; a jednak, czy istotnie zależy to poznanie li tyl-

ko od rozumu, od którego, na pierwszy rzut oka, wyłącznie zdaje się zależeć? Czyż człowiekiem najlepszym, najsprawiedliwszym, najbardziej miłującym prawdę — słowem najmoralniejszym—nie powinien byłby być ten, kto zdawałby sobie najdokładniej sprawę ze stanowiska swego we wszechświecie? Któż jednak szczerze uwierzyć może, że zdołał tego dokonać i czy pierwiastki najbardziej pozytywnej etyki nie tkwią w pewnego rodzaju tajemniczej nieświadomości? Najpiękniejsze dążenia naszego umysłu chwilowo w nim tylko goszczą, my zaś sądzimy mylnie, że plon zebrany został na drodze dlatego, że przez nią przechodzi. Najściślejszy rozum przekracza wciąż obręb własnej dziedziny — nawet wówczas, kiedy dziedzinę tę bada.

A przecież — dzięki inteligencji naszej zaczynamy uszlachetniać te dążenia, reszta nie zależy już wyłącznie od nas; ale i ona wprawioną zostaje w ruch tylko wówczas, kiedy inteligencya nadała jej impuls. Rozum, który jest starszym synem naszej inteligencji, powinien zasiadać na progu naszego życia moralnego, po uprzednim otwarciu podziemnych podwoi, po za którymi drzemią uwięzione—żywe i nieświadome siły naszego bytu. Czeka on z płonąca jasno lampą w dłoni;—a sama już jego obecność czyni próg ten niedostępnym dla wszystkiego, co

nie jest jeszcze zgodne z naturą tego światła. Nieco dalej, w sferze, do której nie przedostają się już jego promienie, toczy się w dalszym ciągu życie w mroku. Zamiast jednak niepokoić się brakiem światła, cieszy się on naodwrot z tego. Wie dobrze, że w oczach bóstwa, do którego dąży, wszystko, co nie przekroczyło świetlanego kręgu: marzenie, myśl, czyn nawet—nie może nic dodać ani ująć idealnej istocie, nad jakiej stworzeniem pracuje. Obowiązkiem jego płomienia jest świecić możliwie jasno, możliwie najszersze rozjaśniać kręgi—i nie opuszczać swego stanowiska. Nie waha się on, dopóki w grę wchodzi tylko niskie instynkty i mroki.

Zdarza się jednak, że, wśród grona budzących się więźniów, powstają i zbliżają się do otwartych podwoi siły, potężniejsze od niego samego. Rozsiewają one naokół światło bardziej niematerialne, bardziej niepełne i niezrozumiałe, niż płomień jasny i stały, jaki podtrzymuje jego ręka. Są to potęgi miłości, niepojętego dobra oraz inne, bardziej jeszcze tajemnicze i nieskończone, domagające się wyzwolenia z pęt niewoli. Co czynić? Jeżeli rozum zasiadł na progu, nie uzyskawszy prawa zajęcia tego miejsca, — ponieważ nie miał jeszcze odwagi uświadomienia sobie, że nie jest sam na świecie — mięsza się, lęka i zamyka podwoje; a je-

śli nawet decyduje się ponownie je otworzyć,—znajduje już tylko garść lotnych popiołów u podnóża ciemnych stopni. O ile jednak siła jego nie słabnie — dzięki temu, że wszystko, czego nie mógł poznać, pouczyło go przynajmniej, że żadne światło, nie jest niebezpieczne, że w życiu rozumu wolno narażać sam rozum nawet na jaśniejsze jeszcze światło—niepojęte wymiany zachodzą na progu. Krople nieznanego oleju pomieszają się z olejem mądrość ludzkiej a po przejściu białych mieszanek obcej krainy, światło rozumu, na wieki już przeistoczone, świecić będzie jeszcze wyżej i—potężniejsze, czystsze — rozjaśni przejścia pomiędzy kolumnami rozszerzonego portyku.

XXXIV.

Opuśćmy teraz osamotnioną mądrość i powróćmy do tej, która zstępuje do grobu wraz z wielką gromadą przeznaczeń ludzkich. Czy można utrzymywać, że los mędrca nigdy nie brata się z losem człowieka złego lub z losem duszy opętanej? Przeciwnie; wszystkie istnienia krzyżują się wciąż wzajemnie — a nitki złote okręcają się około włókien konopnych w tkaninie większości przygód. Bywają nieszczęścia mniej piorunujące i napozór mniej straszne, niż losy Edypa i księcia z Ezynoru; ciosy, nie unikające oka sprawiedliwości, miłości i prawdy.

Ci, którzy mówią o korzyściach, wynikających z mądrości, są wtedy najmędrsi, kiedy przyznają szczerze — bez goryczy i bez pychy — że mądrość nie darzy wiernych swoich wyznawców niczem prawie, czego nie mogliby lekceważyć ludzie ciemni lub źli. Zdarza się niejednokrotnie, że zbliżenie się mędrca nieznacznych tylko dokonywa zmian w dostrzegalnych dla człowieka przejawach — może dla tego, że przyszedł on zbyt późno, że odszedł zbyt szybko i nie zdążył zetknąć się prawdziwie z życiem innej istoty — a może i z tego powodu, że musiał walczyć z siłami, gromadzonemi przez zbyt wielką liczbę istot w ciągu zbyt długiego czasu. Nie stwarza on cudów zewnętrznych, ocala tylko to, co daje się jeszcze uratować na zasadzie zwykłych praw życia — i może on sam nawet wciągniętym zostaje także w wielki, nieubłagany wir. Ale wówczas nawet, kiedy ginie, może sobie powiedzieć, że nie był — jak to się prawie zawsze zdarza — w ciągu wielu tygodni, może wielu lat nawet przed katastrofą, bezradnym i zroczonym świadkiem upadku swojej duszy. A zresztą zrozumieć musimy, że zbawić kogoś w pojęciu bytu, na który się składa życie podwójne: życie duszy i ciała, nie znaczy to koniecznie wy-

drzeć go z objęć śmierci lub uchronić od nieszczęść zewnętrznych — ale znaczy: uczynić go szczęśliwszym przez uczynienie lepszym. Cały więc wpływ ogranicza się na ocaleniu moralnem, które zazwyczaj bywa lekceważone, podobnie jak wszystko, co sięga wyżyn bytu.

Czyż dobry łotr nie został ocalonym nietylko w pojęciu chrześcijańskim, ale i w najszczytniejszem pojęciu tego wyrazu? A przecież czekała go za chwilę śmierć, umarł jednak wiekuiście szczęśliwy, ponieważ zaznał miłości w ostatniej godzinie życia—a nieskończenie mądra istota umiała mu wskazać, że dusza jego nie była nieużytecznym chwastem, że i ona była dobra i nie przeszła przez świat niepostrzeżenie...

XXXV.

W miarę jak zstępujemy ze stopni życia, zapuszczamy się coraz bardziej w głąb tajników coraz większej liczby nędz i słabości. Dostrzegamy, jak wiele dusz żyje zaledwie życiem połowicznym dlatego, że zdaje im się, iż są nieużyteczne, że nikt nie zwrócił na nie nigdy uwagi i że nie posiadają w sobie nic takiego, co pozwoliłoby je kochać. Czy jednak nie wybija dla prawdziwego mędrca godzina, w której narazie przejrzy, zrozumie i pokocha każdą

istniejącą duszę za to jedynie, że posiada ona tajemniczy dar bytu? Czy nie nadebodzi chwila, kiedy dostrzega on same siły, prawdy i cnoty na dnie wszystkich słabości, kłamstw i występków? Jasna i błogosławiona godzina, w której złość staje się już tylko dobrocią, pozbawioną kierownika, zdrada — prawością, zbłąkaną na drodze do szczęścia, a nienawiść — miłością, otwierającą trwożnie wrota swojej mogiły.

W takiej chwili historia dobrego łotra staje się, niepostrzeżenie dla nas, historią wszystkich tych, którzy znajdują się w pobliżu człowieka sprawiedliwego; a szczęście prawdziwe, tkwiące w duszy najnędniejszej istoty, ocalonej w ten sposób przez spojrzenie, słowo lub milczenie — zapomni, zanim noc zapadnie, jak ongi w duszy Sokratesa — że czara śmiertelna została wychylona przed zachodem słońca.

XXXVI.

A zresztą życie wewnętrzne nie jest może tem, czem je sobie wyobrażamy. Tyle jest rodzajów życia wewnętrznego, ile odmian życia zewnętrznego. Najniżsi dostają się do tej cichej krainy na równi z najwyższymi; niezawsze wiodą do niej wrota inteligencji. Zdarza się często, że ten, kto wie wszystko, daremnie kołace do tych wrót, odpowiada

mu zaś z po za nich człowiek zupełnie ciemny. Zapewne, że najpiękniejszym i najtrwalszym staje się życie wewnętrzne wówczas, gdy poznanie znosi powoli wszystkie cegiełki na budowę jego gmachu, tworząc je z najjaśniejszych pierwiastków naszej duszy. Mędrcom jest ten, kto uczy się zasilać życie duchowe wszystkim, co trafi zsyła mu co godzinę; ten, dla którego rozczarowanie i zdrada są tylko płomieniem, oczyszczającym bardziej jeszcze mądrość jego; ten, kto zmusza zło nawet do zasilania płomieni jego miłości; ten, kto przywykł w cierpieniu swoim dostrzegać jedynie światło, jakie sieje ono w jego sercu i kto nie widzi nigdy cienia, jaki rzuca ono na swoich twórców. Mędrszym jeszcze jest ten, dla którego cierpienia i radości są nietylko czynnikami, potęgującymi świadomość, ale odsłaniającymi mu zarazem tę wielką prawdę, że istnieje coś wyższego jeszcze po nad poznanie. Wtedy dopiero staje człowiek na wyżynie moralnej, z kąd góruje nareszcie nad płomieniami, rzucającymi jasne światło na życie.

Jest to jednak udział małej garstki wybranych: i można żyć szczęśliwym na mniej jarzącej nizinie, na której kołyszą się przyciemnione podłoża tych płomieni. Są istnienia bardziej jeszcze ciemne, mające

też pewien rodzaj moralnej ucieczki. Istnieje bezwiedne życie wewnętrzne. Istnieją dusze bierne lub pozbawione inteligencji, które nigdy nie natrafią na ścieżkę, wiodącą w głąb własnej ich istoty, które nigdy nie dojrzą skarbów, jakimi darzy ich ta zaciszna kryjówka, a które jednak zachowują się w niej zupełnie tak samo, jakgdyby inteligencja ich złożyła wszystkie nagromadzone w niej skarby. Istnieją osobniki, które, nie zdając sobie z tego sprawy, że dobro jest jedyną stałą gwiazdą najwyższego uświadomienia, pragną jednak tylko dobra, nie wiedząc, dlaczego go pragną. Otóż wszelkie życie wewnętrzne zapoczątkowuje się nietyle w miarę budzenia się inteligencji, ile w miarę tego, jak dusza staje się lepszą. Dziwną dość jest to rzeczą, że niepodobna osiągnąć życia wewnętrznego w złem. Życia wewnętrznego nie posiada żadna istota, nieobdarzona pewną szlachetnością duszy. Jakkolwiek zna siebie samą, chociażby nawet wiedziała dlaczego nie jest dobrą—nie będzie jednak miała ani tej siły, ani tej ucieczki, jaką posiada każdy człowiek, mogący bez obawy zagłębić się w swoim sercu. Na życie wewnętrzne składa się jedynie pewne szczęście duszy — dusza zaś stanie się wówczas tylko szczęśliwą, kiedy może ukochać w sobie samej coś czystego. Zdarza się, że myli się ona w wyborze,

ale nawet wówczas, kiedy się myli, będzie szczęśliwszą, aniżeli dusza, której nie nastęrczyła się jeszcze okazać dokonania wyboru.

XXXVII.

To też zbawić istotę — znaczy wpłynąć już nawet, aby osłabło nieco jej umiłowanie zła, — w ten sposób bowiem pomaga jej się do założenia na dnie duszy fundamentów pod budowę gmachu, który oprze się wszelkim pociskom losu.

Mniejsza o to, czy gmach ten jest pomnikiem poznania czy miłości; miłość bowiem jest, szukajacem jeszcze siebie samego po omacku samopoznaniem prawdziwa zaś samowiedza jest miłością, która odnalazła swoją istotę w pełni światła. W najgłębszym właśnie zakątku swej kryjówki roznieca dusza tajemne światło ogniska swojej radości. Radość duszy, która rozprasza smutek, wlokący się za złymi losami — zarówno jak płomień materyalny, który niszczy zarodki chorób, panujących na ziemi — nie jest podobna do innych radości. Nie rodzi jej ani szczęście zewnętrzne, ani zadowolenie miłości własnej. Bowiem po za uciechami miłości własnej, które słabną w miarę doskonalenia się duszy, istnieją rozkosze czystej miłości, wzrastające w miarę jej uszlachetniania się. Nie, rozkoszy tej nie rodzi pycha; i nie czu-

je się dusza szczęśliwą dla tego, że może zachwycać się własnem pięknem. Dusza, która zdobyła pewną znajomość samej siebie, ma prawo wiedzieć, że jest piękna; wszystko jednak, czem z bogaca ona zbyt dowolnie poczucie swojej piękności, zawdzięcza może zapoznaniu miłości.

Pierwszym jednak obowiązkiem rozjaśniających się mroków jest nakaz uszanowania nieświadomości, która nie chce jeszcze odstąpić kryjących ją szat.

Rozkosz zaś, o której mówię, nie odbiera miłości tego, co nadaje świadomości.

Przeciwnie, w jej środowisku właśnie ma miejsce wymiana, nie zachodząca w żadnej innej sferze, mianowicie: miłość zasila samowiedzę, samowiedza zaś potęguje miłość. Pnący się na wyżyny umysł zaznaje takich uciech, o jakich pojęcia nie ma szczęśliwe ciało; ale doskonalącej się duszy dostępne są takie rozkosze, jakich niezawsze zaznaje podnoszący się rozum. Co prawda, podnoszący się rozum i doskonaląca się dusza pracują zazwyczaj wspólnie nad wzmocnieniem wewnętrznego gmachu; zdarza się jednak, że pracują one oddzielnie, i że nic nie spaja dwóch, budowanych przez nie, murów.

Gdyby coś podobnego miało zdarzyć się i gdyby najbardziej ukochana przezemnie na świecie istota, zapytała mnie, jaki ma

uczynić wybór, i która ucieczka jest pewniejsza, słodsza i głębsza, poradziłbym jej, aby otworzyła swemu przeznaczeniu świątynię doskonalącej się duszy.

XXXVIII.

A więc mędrzec nie będzie nigdy cierpiał? Żadna burza nie zamąci jasnego nieba jego życia? Nikt nie zastawi na niego zasadzki? Żona i przyjaciele nigdy go nie zdradzą? To, co uważał za szlachetne, nie okaże się niegodnem?

Ani ojciec jego, ani matka, ani synowie, ani bracia nie umrą jak inni ludzie? Wszystkich dróg, któremi cierpienie zstępuje do naszej duszy, strzedz będą aniołowie? A czy Chrystus nie płakał nad grobem Łazarza? A Marek Aureliusz nie cierpiał z powodu swojego syna Komodusa, w którym przejawiał się już potwór, i swojej żony Farstyny, którą kochał, nie będąc przez nią kochanym? A Emiljusz-Paweł, równie mądry jak Tymoleon, czyż nie jęczał pod żelazną dłońą przeznaczenia, które mu porwało starszego syna na pięć dni przed tryumfalnym wjazdem do Rzymu, w trzy dni zaś później drugiego? Gdzież więc jest to ucieczka, którą mądrość zapewnia szczęściu? Czy wypada wykreślić wszystko, co było powiedziane i zaliczyć mądrość do szeregu mrzonek, jakich

chwyta się dusza ludzka, próbując usprawiedliwić w oczach rozumu dążenia, które z ogniowej próby doświadczeń wychodzą prawie zawsze jako niezgodne z rozsądkiem?

XXXIX.

W rzeczy samej i mędrzec cierpi także. Cierpi on — a cierpienie jego jest jednym z pierwiastków jego mądrości. Cierpi nawet może więcej, niż każdy inny człowiek, ponieważ jest człowiekiem bardziej całkowitym. Cierpi więcej, ponieważ im mniej człowiek czuje się samotnym, tem więcej cierpi; im zaś się jest mędrszym, tem mniej się zdaje, że się jest samotnym. Cierpieć będzie jego ciało, serce i umysł, ponieważ istnieją strony ciała, serca i umysłu, których żadna mądrość tego świata nie może obronić przed szponami losu. To też nie cierpienia należy unikać, ale zniechęcenia i więzów, jakie przynosi ono temu, kto poddaje mu się, jako panu i władcy zamiast przyjmować go jak wysłańca potężniejszej istoty, którą zakręt drogi ukrywa jeszcze przed naszym wzrokiem. Zapewne, że i mędrca — zarówno jak jego sąsiada — zbudzą gwałtowne uderzenia, któremi natrętny poseł przypuszczać będzie szturm do murów jego siedziby. Zmuszą one mędrca do przekroczenia progu domu i rozmówienia się z napastnikiem. Ale, mówiąc

z nim, niejednokrotnie podniesie wzrok ponad jego ramię, aby dojrzeć w kurzawie widnokregu wielką ideę, którą nieproszony gość może wyprzedza. W gruncie rzeczy, kiedy myślimy w chwilach szczęścia o ciosach, jakich kto, wie, czy nie gotuje nam los, wydają nam się one mało znaczącymi. Przyznaję, że kiedy nieszczęście stanie się faktem dokonanym, rozmiary jego olbrzymieją— a jednak nie ulega wątpliwości, że gdyby chciało ono zgasić w nas płonące stale, ognisko zapału, musiałoby mu się udać znieprawić w głębi naszego serca wszystko, co kochamy, podziwiamy i wielbimy. A jakaż obca potęga jest w stanie spodlić uczucie, lub myśl, jeżeli nie strącamy ich sami z wysokich piedestałów, na których je postawiliśmy? Czy istnieje—po za bólami fizycznymi—cierpienie, które moglibyśmy odczuć inaczej niż za pośrednictwem myśli? Któż dostarcza myślom naszym oręża, w który zbrojne napadają one na nas lub podają nam dłoń pomocną? Cierpimy mniej z powodu samego cierpienia, olbrzymio zaś z winy sposobu, w jaki przyjmujemy dotykający nas cios.

„Był on nieszczęśliwy z własnej swojej winy — powiada Anatole France, mówiąc o jednym z tych ludzi, którzy nigdy nie patrzą przez ramię brutalnego posła — był on nie-

szcześliwy z własnej swojej winy, wszystkie bowiem prawdziwe ciosy są wewnętrzne i spowodowane przez nas samych. Mylnie sądzymy, że przychodzą one z zewnątrz; w istocie bowiem tworzymy je w naszym wnętrzu z własnej naszej substancji“.

XL.

Potęga czynna danego wydarzenia tkwi li tylko w sposobie, w jaki się na nie zapatrujemy. Zestawcie dziesięciu ludzi, którzyby jak Emiliusz-Paweł utracili obu synów w najrozkoszniejszej chwili swego życia— a będziecie mieli dziesięć zupełnie niepodobnych do siebie cierpień. Nieszczęście zstępuje w nas, ale czyni z nami to, co mu nakazujemy czynić. Sieje ono, burzy, zbiera— zależnie od rozkazu, jaki znalazło wypisany na naszym progu! Gdyby dwaj synowie mego sąsiada, który jest złowiekem przeciętnym, zginęli w tej samej właśnie chwili, kiedy bogactwo ich ojca ziściło wszelkie jego pragnienia, wszystko zapadłoby w gruzy, wieczna noc okryłaby jego życie, bez nadziei wskrzeszenia najdrobniejszej choćby iskierki— a nieszczęście, samo nieledwie wyczerpane, pozostawiłoby po sobie tylko garść szarego popiołu. Nie miałbym potrzeby odwiedzania mego sąsiada, wiem na-przód, jak dalece poziome byłyby wyniki

jego cierpienia, które zawsze darzy nas tem, co dusza nasza przypisywała mu w dniach szczęścia.

XLI.

Ale to samo nieszczęście dotknęło. Emiliusza-Pawła. Rzym przerażony czeka, rczbrzmiewając jeszcze tryumfalnymi okrzykami. Co też nastąpi? Czy bogowie wyzywają mędrca i w jaki sposób stawi im mędrzec czoło? Co uczynił bohater ten z cierpienia, albo też co cierpienie uczyniło z tego bohatera? W takich właśnie chwilach zdaje się ludzkość pojmować, że los próbuje raz jeszcze siły swego ramienia, że nastąpi pewna dlań zmiana, jeżeli pięści jego nie uda się zdruzgotać tego, na co się zamierzyła. To też przyjrzyjcie się, z jakim niepokojem szuka on w takich razach, w oczach swoich przywódców, hasła przeciwko niewidzialnej sile.

Ale Emiliusz Paweł zbliża się w otoczeniu zwołanego przezeń narodu rzymskiego. Jest poważny i w takie przemawia słowa: „Nie lękałem się nigdy tego, co ludzie wyrządzić mi mogą, ale z rzeczy boskich obawiałem się zawsze krańcowej niestałości losu i niewyczerpanej różnolitości jego ciósów, szczególnie podczas tej wojny, kiedy sprzyjał on — niby wiatr pomyślny — wszyst-

kim moim przedsięwzięciom. Oczekiwałem w istocie nieustannie, że zburzy on moje szczęście i ściągnie pioruny na moją głowę.

Tak, w jeden dzień udało mi się przepłynąć morze Jońskie, z Brindisi do Korsyry; potem z Korsyry przybyłem w ciągu pięciu dni do Delfów, gdzie złożyłem ofiarę Apolinowi. Po upływie następnych pięciu dni dotarłem na czele mojego wojska do Macedonii, gdzie uświęconym zwyczajem dokonałem obrządku oczyszczenia armii.

W tej samej chwili rozpocząłem działania wojenne i w piętnaście dni zakończyłem wojnę najślawniejszym zwycięstwem. — To nadzwyczajne sprzyjanie losu wzbudzało we mnie uzasadnioną nieufność względem dalszych jego kroków. Żadne nie zagrażało mi niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciół, to też, nie mając potrzeby lękania się ich, obawiałem się niestałości bogini podczas powrotnej drogi, kiedy wiozłem olbrzymią armię, uwieczoną liściem wawrzynu, nieprzebrane łupy i wziętych do niewoli królów. Przybywszy szczęśliwie do was, i widząc rozbrzmiewające weselem miasto, mieszkańców jego ucztujących i składających dziękczynne ofiary, nie przestawałem jednak lękać się zmienności losu; wiedziałem bowiem dobrze, że nigdy łaski jego nie bywają stałe, i że zawsze zawiść towa-

rzyszy wielkim tryumfom. Dusza moja pełna bolesnego lęku i drżąca o to, co przyszłość gotuje Rzymowi, uwolniła się od swoich obaw w tej dopiero chwili, kiedy straszliwy huragan zdruzgotał własny mój dom, kiedy w te dni uroczyste musiałem własnymi rękami pogrzebać dwóch pełnych nadziei synów, jedynych moich spadkobierców. Teraz nie mi już nie może grozić, i niezachwianą mam wiarę, że wasze szczęście ostanie się — trwale i pewne. Los aż nadto pomścił moje zwycięstwa ciosami, jakie na mnie zesłał. Dał on zarówno w osobie zwycięzcy jak i wleczonego w tryumfie jeńca, uderzający przykład kruchości szczęścia ludzkiego; z tą wszakże różnicą, że zwyciężonemu Perseuszowi pozostały jego dzieci, a Emiliusz - Paweł, zwycięzca, utracił swoich synów“.

XLII.

Oto rzymski sposób przyjmowania największego bólu, jakiego doznać może człowiek w chwili, kiedy najbardziej na ciosy jest wrażliwy, to jest w chwili największego swojego szczęścia. Czy istnieją inne? Tak, istnieje bowiem tyleż sposobów znoszenia nieszczęść, ile jest idei i uczuć szlachetnych na tej ziemi;—a każde z tych uczuć, każda z tych idei trzyma w dłoni różdżkę czaro-

dziejską, zmieniającą na progu strój i oblicze cierpienia. Job powiedziałby: „Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie błogosławione święte imię Jego“. a Marek Aureliusz rzekłby zapewne: „Jeżeli nie jest mi już danem kochać istoty, które nadewszystko kochałem, spotkał mnie cios okrutny zapewne w tym celu, abym się nauczył miłować tych, których dotychczas jeszcze nie miłowałem“.

XLII.

I nie sądzmy, że te słowa pociechy w gruncie rzeczy pustemi są tylko dźwiękami, źle kryjącemi ranę tem boleśniejszą, że ci, w których sercu się ona krwawi, nie chcieliby jej obnażać. Przedewszystkiem lepiej jest pocieszać się pustym chociażby dźwiękiem, aniżeli wcale nie szukać pociechy. Po zatem, jeżeli mamy przypuścić, że wszystko jest ułudą, należy zarazem przyjąć, że ułuda jest jedyną rzeczą dostępną dla duszy; — a w imię jakiej innej mrzonki moglibyśmy rościć sobie prawo do lekceważenia tej ułudy?

Nie ulega wątpliwości, że gdy wiecej ci mędrcy, o których przed chwilą mówiłem, powrócą wieczorem do pustych swych domów i szukać będą przy ognisku rodzinnem miejsc, których nie zajmą już ich dzieci, poznają i oni część cierpienia, jakie owła-

dnęło całkowicie tymi, w których nie rodzi ono ani jednej szlachetnej myśli.

Krzywdą bowiem jest, wyrządzoną wzniosłej myśli, wzniosłemu uczuciu — przypisywanie im zalet, jakich nie posiadają. Istnieją łyzy jawne, których nie mogą one otrzeć, są chwile uroczyste, kiedy mądrość przestaje być pocieszycielką. Ale — powtórzmy po raz ostatni — nie cierpienia, które jest przecież nieuniknione, należy unikać. Idzie o wybranie darów, jakie zsyła na nas cierpienie. Czy uważacie, że wybór ten, niedostrzegalny dla oka, jest w rzeczywistości nader drobną rzeczą, dla tego, że nie posiada mocy usuwania cierpienia, którego przyczynę wciąż mamy przed oczyma? A czyż na wszystkie nasze uciechy moralne, głębsze daleko od wszystkich rozkoszy fizycznych lub umysłowych, nie składają się podobnego rodzaju drobiazgi? Jeżeli zechcemy wyrazić je słowem, okaże się, że uczucie, które prze bohatera do dobrych uczynków, jest istotnie czemś bardzo małym. Czyż nie było np. istotnie rzeczą drobną — pojęcie, jakie wyrobił sobie Katon o obowiązku—zwłaszcza jeżeli porównamy je z nadzwyczajnymi rozterkami państwami oraz z krwawą śmiercią, jaką za sobą pociągnęło? a czy nie jest ona jednak większą, niż same te zamieszki i czy nie góruje nad samą tą śmiercią nawet,

która była jego wynikiem? Czy dzisiaj jeszcze nie okazuje się, że słuszność była po stronie Katona; i czyje życie—dzięki takiemu właśnie pojęciu, jakiego rozum ludzki nie może ważyć na swojej szali, tak zdaje się być ono mu obcem — czyje życie było głębiej, szlachetniej szczęśliwe niż życie Katona?

Wszystko, co uszlachetnia nasze istnienie, wszystko, co szanujemy w nas samych, podobki naszej cnoty oraz sentymentalne granice, jakie człowiek każdy zakreśla swoim wadom a nawet swoim występkom, wydają się w istocie rzeczami małej wagi wówczas, gdy rozum żąda od nas zdania z nich sprawy. Na tem właśnie zasadzają się prawa bytu każdej istoty.

Czy istnieje jednak człowiek, który mógłby żyć, nie wyznając części tych prawd, niepodległych rozumowi? Najnędniejsi nawet stosują w życiu chociaż jedną z nich — a im większą jest liczba takich prawd, wyznawanych przez człowieka, tem mniej jest on nędzny. Ten, kto zabił, powie ci: „Zabijam; to prawda, ale nie kradnę“. Ten, kto ukradł — kradnie, ale nie zdradza; ten zaś, kto zdradził, nie zdradzi swego brata. W ten sposób każdy szuka ucieczki w reszcie pię-

kna moralnego, jaka mu pozostaje. Najbardziejziej upadły z ludzi ma zawsze rodzaj uświęconego zakątka, rodzaj ucieczki w duszy swojej, gdzie odnajduje czyste źródło, z których czerpie siłę, niezbędną do dalszego życia. I tutaj, zarówno jak we wszystkim innym, nie rozum jest pocieszycielem; zatrzymuje się on przed progiem ostatniej ucieczki zdrajcy lub złodzieja tak samo, jak stanął na progu ofiary Antygony, poddania się Hioba oraz miłości Marka-Aureljusza. Zatrzymuje się on, nie-zdaje sobie już sprawy, nie potwierdza niczego — a pomimo to czuje, że gdyby się zbuntował, stanąłby do walki ze światłem, którego jest tylko widzialnym cieniem, odgrywa bowiem pośród tych zjawisk rolę człowieka, który stanąłby w pełnym słońcu. Widzi swój cień, ścielący mu się do stóp, może zmienić jego kształty, wydłużyć go lub skrócić—zależnie od tego, czy nachyla się, czy podnosi; cień ten jednak jest jedyną rzeczą, nad którą góruje, która do niego należy i której może rozkazywać wpośród potoków olśniewających, jakie go otaczają. Takie jest stanowisko naszego rozumu wobec wyższego światła: a cień, jaki w niem on tworzy, nie ma wpływu na nieruchomą tę wspaniałość. Ludzie, tak sobie dalecy, jak Marek-Aureljusz i zdrajca, czerpią z jednego-przecież źródła wodę

mistyczną, zasilającą życie ich duszy; siedliskiem zaś tego źródła nie jest inteligencja.

Dziwnym to jest objawem, że siedlisko całego naszego życia moralnego mieści się po za granicami naszego rozumu; ten bowiem, kto rządziłby się tylko rozumem, byłby najędzniejszym z ludzi. Niema prawie ani jednej cnoty, nie istnieje ani jeden czyn dobry, ani jedna myśl szlachetna, których wszystkie prawie źródła nie tryskałyby z dziedziny, leżącej po za obrębem tego, co można zrozumieć i wytłomaczyć.

A jednak, czy nie dogadzałoby dumie człowieka módz przypisać wszelkie cnoty, całe życie wewnętrzne, wszelką rozkosz—jedynej rzeczy, jaką posiada on rzeczywiście, jedynej, do której może mieć zaufanie: — swojemu rozumowi? Nie mu jednak nie pomogą jego chęci: najdrobniejsze wydarzenie przekona go wkrótce, że nie tutaj należy szukać ucieczki, niezaprzeczoną bowiem prawdą jest, że stanowimy coś innego, niż tylko rozumne istoty.

XLIV.

Jeżeli jednak nie rozum dokonywa wyboru pomiędzy darami, jakie zsyła na nas cierpienie, na kim więc ciąży ten obowiązek? Na życiu naszym dotychczasowem, które ukształtowało naszą duszę. Jeżeli nie żyłem życiem

Emiljusza - Pawła, żadna z myśli, które były mu pociechą w cierpieniu, nie da mi ukojenia, chociażby wszyscy, zebrani razem, mędrcy świata powtarzali mi je bezustannie. Aniołowie, osuszający łzy nasze, przybierają ściśle kształt i oblicze naszych uprzednich słów, myśli, a zwłaszcza czynów naszych, poprzedzających bolesny moment. Kiedy Tomasz Carlyle, który był mędrcem ale człowiekiem chorowitym, utracił, po przeszło czterdziestoletnim wspólnem pożyciu, żonę swoją, Jeannie Welsh, istotę, którą najgoręcej kochał, strapienie jego przybrało z niesłychaną, nieprawdopodobną ścisłością postać minionego życia ich miłości. Było więc ono potężne, wielkie, dręczące — a zarazem kojące wielkością swoich zarzutów, swoich czułości i swoich żalów jak modlitwa lub rozmyślanie na brzegu omroczonego morza. Obraz, łączący w jedną całość dzieje minionych dni naszego życia, odtwarza się z przyjazną lub złowrogą wiernością w strapieniu naszego serca.

Jeżeli wszystkie wspomnienia, jakich dostarcza mi dotychczasowe życie, zupełnie są pozbawione szlachetności oraz jasnych promieni światła, to, gdy nadejdzie chwila, w której wspomnienia przeistaczają się w łzy, łzy te również nie będą miały w sobie nic jasnego ani szlachetnego. Łzy nasze są bezbar-

wne same przez się, zapewne w tym celu, aby mogła się w nich odzwierciadlać przeszłość naszej duszy — a to, co odbijają one, stanowi naszą karę lub nagrodę. Jedno tylko nie przeistacza się nigdy w cierpienie, mianowicie dobro, jakie czyniliśmy.—Wobec utraty ukochanej istoty takie łzy tylko nie przynoszą nam ulgi, jakimi oblewamy wspomnienia chwil, kiedy niedość kochaliśmy. Gdybyśmy byli zawsze mieli tylko pogodny uśmiech dla istoty, której już niema na świecie, obcem byłoby nam wszystko, co poniża cierpienie—i z oczu naszych płynęłyby tak obfite łzy, że zostałyby z nich coś ze słodczy piészczot i cnot, jakich są one wspomnieniem. Wspomnienia bowiem miłości prawdziwej, która jest przejawem cnoty, obejmującej wszystkie inne, wyciska z oczu naszych te same dobroczynne łzy, jakimi oblewamy najpiękniejsze chwile, twórczynie tych wspomnień.

Niema nic sprawiedliwszego nad cierpienie i całe nasze życie—podobnie jak formaczekająca na topienie się spiżu—jest oczekiwaniem wybicia jego godziny, która obdarzy nas sprawiedliwą wedle naszych zasług zapłatą.

XLV.

I tutaj nawet, kędy mieści się najpotężniejszy filar jego tronu, widzimy, do jakie-

go stopnia potęga losu słabnie w duszy tych, którzy stają się lepszymi od samego przeznaczenia; los bowiem pozostał barbarzyńcą i nie stoi na wysokości wszystkich ludzi.—Całej jego broni dostarcza mu życie pospolite, zwykle—i często pociski jego bywają spóźnione. Godzi on jeszcze i teraz na życie nasze wewnętrzne, jak to czynił za czasów Edypa. Wypuszcza strzałę wprost przed siebie, jak ślepy łucznik; ale kiedy musi wznieść się nieco wyżej, aby nie chybić celu, strzały odbijają się i padają bezsilne.

Cierpienia, żale, łzy, bóle i wszystko inne — są to nazwy zbliżone, określające jednak zupełnie różne przejawy. Gdybyśmy starali się zgłębić ducha tych wyrazów zrozumielibyśmy, że oznaczają one tylko skutki naszych błędów; że o ile błędy nasze były szlachetne—istnieją bowiem szlachetne błędy i poziome cnoty — nasze nieszczęście będzie bliższem prawdziwego szczęścia aniżeli szczęście tych, którzy go doznają, pomimo iż nie rozszerzyli zakresu swojej świadomości. Czy sądzicie że Careyle zgodziłby się na zamianę swojego nieszczęścia, które rozkwita — w duszy jego niby kwiat olbrzymi i czuły—na szare, ciasne, nieznające szerokich widnokręgów ani jasnych promieni, szczęście małżeńskie najszcześniejszego z Chelseańskich jego sąsiadów? A czyż ból serdecz-

ny Ernesta Renana, kiedy utracił on siostrę swoją, Henrykę, nie był bardziej zbawiennym dla duszy, niż obojętność tysiąca innych, którzy nie umieli kochać swoich sióstr? Kogo należy żałować: czy tego, kto czasem płacze wieczorami nad brzegiem bezbrzeżnego morza, czy też tego, kto uśmiecha się przez całe życie bez powodu w głębi małej izdebki? Szczęście, nieszczęście... gdybyśmy mogli przedzierzgnąć się na chwilę w dusze bohaterów i zakosztować ich nieszczęścia, iluż z nas powróciłoby bez żalu do ciasnego swego zadowolenia?

A więc w samej rzeczy prawdą jest, że szczęście, czy nieszczęście, nawet płynące z zewnątrz—istnieje jedynie w nas samych? Wszystko, co nas otacza, staje się szatanem lub aniołem — zależnie od stanu naszego serca. Joannie, d'Arc objawiają się święte, Macbet słyszy głosy czarownic—i miałby to być zawsze jeden i ten sam głos? Los, na który tak chętnie się uskarżamy, nie jest może tem, za co go niedawno jeszcze mieliśmy. Posiada on jedynie broń, jaką sami wtrącamy mu do ręki. Nie jest sprawiedliwy ani niesprawiedliwy; nie wydaje on nigdy wyroków. To, co przyjmujemy za siłę wyższą, jest tylko zamaskowanym jej wysłańcem. Rola jego polega na uprzedzaniu nas w pe-

wne dni naszego życia, że wybiła godzina, kiedy sami musimy wydać na siebie wyrok.

XLVI.

Co prawda, istoty drugiej kategorii nie stają się własnymi sędziami. To też dla tego, że nie chcą one wydać na siebie wyroku, wydaje go na nie traf. Podlegają one niezmiennemu prawie losowi; los bowiem może uleść przeistoczeniu dopiero po wyroku, jaki człowiek wydał na samego siebie. Zamiast przeistoczyć przygodę, jaka ich spotkała, przeistaczają się oni sami moralnie przy pierwszym zetknięciu się z każdym wydarzeniem. Przystosowują się niezwłocznie do postaci nieszczęścia, które jest przyczyną ich rozpacz, wybierając najnędniejszą i najpospolitszą jego formę. Wszystko, co ich spotyka, ma pozór zrzędzenia losu. Jeden widzi palec przeznaczenia w zajęciu, jakie obrał, inny — w przyjaźni, jaką zawarł; trzeci — w kochance, do której zbliżył się na drodze życia. W ich pojęciu traf i los są dwoma jednoznaczniemi pojęciami— a traf rzadko bywa losem przyjaznym. Wszystko, czem nie zawładnęła w nas samych potęga naszej duszy, natychmiast wpada w szpony potęgi wrogiej. Wszelka pustka w sercu naszym i umyśle staje się zbiornikiem zgubnych wpływów.

Szekspirowska Ofelja oraz Małgorzata Goethe'go stają się ofiarami losu, ponieważ są to istoty tak wątłe, że każdy krok, gest każdy—staje się w stosunku do nich krokiem przeznaczenia. Gdyby jednak Małgorzata i Ofelja posiadały chociaż odrobinę siły, ożywiającej Sofoklesowską Antygone, czy nie wpłynęłyby one na zmianę nie tylko własnego losu, ale zarazem losu Fausta i Hamleta? A gdyby Murzyn Wenecki nie był poślubił Desdemony, ale zamiast niej pojął za małżonkę Paulinę Corneille'a, czy sądzicie, że—w jednakowych warunkach—przeznaczenie Desdemony śmiałoby zawisnąć przez chwilę nad promienną miłością Pauliny? Czy w ciele ich czy też w ich duszy ukrywał się ponury fatalizm? A jeżeli istotnie zdarza się czasem, że ciało nie może zdobyć się na większą siłę, czy nie może uzbroić się w nią zawsze dusza? Zapamiętajmy dobrze, że dla większości ludzi istnieć mógłby tylko jedyny prawdziwy wyrok losu, który brzmiałby w ten sposób: „Od dnia dzisiejszego dusza twoja przestanie potężnieć i wzrastać“! Czy istnieje jednak los, który miałby prawo odezwać się do nas w te słowa?

XLVII.

A jednak cnota często bywa karaną a sama nawet siła duszy przyspiesza nieraz jej

nieszczęście. Im więcej kochamy, tem większe otwieramy obszary szlachetnemu cierpieniu; mędrzec zaś znajduje upodobanie w rozszerzaniu pięknej tej dziedziny, do której cierpienie wolny ma przystęp.

Tak, musimy przyznać, że los nie przebywa stale w głębi mrocznego swego państwa; potrzebne mu są w pewnych chwilach czystsze ofiary, które chwyta, wyciągając do światła swoje wielkie, lodowate ręce. Wy-mówiłem niedawno imię tragiczne Antygony — i niejednemu przyjdzie zapewne na myśl: „oto — pomimo całej siły jej duszy — ofiara losu, której daremnie szukałeś... Trudno wistocie zaprzeczyć, że Antygona staje się ofiarą zimnego bóstwa dlatego tylko, że dusza jej posiada trzy razy więcej siły, niż dusza innej kobiety. Ginie ona, ponieważ z woli losu znalazła się w takim położeniu, iż zmuszona jest wybierać pomiędzy śmiercią — i tem, cò uważa za najważniejszy obowiązek siostry. Staje nagle na rozdrożu i nie wie, w którą ma iść stronę: śmierci, czy miłości; miłości najczystszej najbardziej bezinteresownej, idzie tu bowiem o miłość dla cienia, którego nigdy nie będzie oglądała na ziemi. I dla czegoż los przyparł ją w ten sposób do zabójczego kąta, jaki tworzą, stykające się z nią, mury śmierci i obowiązku? Jedyne

dla tego, że, szybująca na wyżynach, dusza jej widzi nieprzebyty mur obowiązku, którego nie dostrzega biedna jej siostra, Ismena, nawet wówczas gdy zostaje on jej wskazany. W tej samej chwili, kiedy stają one obie na progu pałacu, jednakowe rozbrzmiewają dokoła ich głosy. Antygona słyszy tylko głos, płynący z wyżyn — i dlatego umiera; Ismena nie podejrzewa nawet, aby mógł istnieć inny jeszcze prócz tego, jaki rozlega się z dołu — i dzięki temu pozostaje przy życiu. Wlećcie w duszę Antygony nieco słabości, jaka cechuje duszę Ofelii i Małgorzaty — a los uważać będzie za daremną pracę przywoływanie śmierci w chwili, gdy córka Edypowa ukaże się pod portykiem pałacu Kreona. Antygona ulega więc potędze losu jedynie dla tego, że silną jest jej dusza.

Ten nieulegający wątpliwości fakt stanowi pociechę sprawiedliwego, bohatera i mędrca. Jedyna władza, jaką rozciąga nad nimi los, polega na pobudzaniu ich do szerzenia dobra. Reszta ludzi podobna jest do miasta o stu otwartych dla losu wrotach, człowiek zaś sprawiedliwy stanowi raczej twierdzę zamkniętą — a jedynem do niej wejściem są wrota światła; podwoje ich otwierają się przed losem wówczas tylko, gdy udaje mu się zmusić miłość, aby do nich zapu-

kała. Z ludźmi zwykłymi czyni los, co chce — a będąc wolnym pragnie on tylko zła — gdy zaś chce roztoczyć władzę swą nad człowiekiem sprawiedliwym, zmuszony jest uciec się do pośrednictwa dobra. Zwykła broń jego, ciemnota, na nic mu się w tym wypadku nie przyda. Nie osiągnie ona sprawiedliwego, którego chroni jego światło — zwyciężyć zaś mogłoby go jedynie światło, jaśniej jeszcze płonące. Los więc musi stać się piękniejszym jeszcze od swej ofiary. Ludzi przeciętnych stawia on na rozdrożu pomiędzy cierpieniem i nieszczęściem innych; bohatera zaś i mędrca udaje mu się porwać w swe szpony jedynie w takim razie, jeśli cierpieniu ich osobistemu przeciwstawi szczęście bliźniego. Na pierwszych naciera za pośrednictwem wszystkiego, co brzydkie, ostatnich udaje mu się osiągnąć wówczas tylko, kiedy broń jego stanowią rzeczy najpiękniejsze na ziemi. Na jednych tysiące ma sposobów; nawet kamienie przydrożne orężem dlań wtedy się stają; drugich ugodzić może jedynem tylko niezłomnem ostrzem — gorejącego miecza poświęcenia i obowiązku. Dzieje Antygony wyczerpują cały zakres władzy losu nad mędrcem. Chrystus, umierający za nas na krzyżu; Kurcjusz, rzucający się w przepaść; Sokrates, który nie zgadza się milczeć;

poświęcająca się przy łożu chorego siostra miłosierdzia oraz skromny przechodzień, ginący w nurtach rzeki, do której wskoczył, chcąc ratować tonącego--wszyscy oni zniewoleni byli do czynienia wyboru i wszyscy w tem samem noszą miejscu chlubną ranę Antygony. Nie ulega wątpliwości, że i światło pełne jest groźnych niebezpieczeństw — a mądrość niebezpieczną jest dla tych, którzy boją się poświęcenia; ale ludzie, niechętnie czyniący z siebie ofiarę w chwili, gdy wybija szczytna dla nich godzina, nie zasługują może wcale na miano mędrców.

XLVIII.

Samo brzmienie wyrazu: „los“, ma w sobie dla wszystkich bez wyjątku coś ponurego, okropnego i zabójczego. Każdy w głębi duszy łączy z nim pojęcie o drodze, wiodącej do śmierci. Najczęściej nawet stanowi on tylko miano, jakie nadajemy ostatniej godzinie życia, która wybić jeszcze nie zdążyła. Jest on wcieleniem przyszłej śmierci oraz cieniem, jaki rzuca ona na życie. „Nikt nie ujdzie swego losu“ mówimy naprzykład, myśląc o śmierci, oczekującej podróznego na zakręcie drogi. Nie wspominamy jednak tego wyrazu, o ile szczęście spotkać ma tego samego wędrowca, albo też, jeśli nawet używa-

my takiego określenia, o innym zupełnie mówimy wówczas bóstwie.

A jednak, czy nie może się zdarzyć, że ten, kto kroczy na drodze życia, napotka szczęście większe od nieszczęścia i ważniejsze aniżeli śmierć? Czy nie może zdarzyć się, że spotka on szczęście, dla nas niedostrzegalnem? czy w ogóle szczęście nie jest mniej wyraźnem od nieszczęścia i czy nie staje się ono coraz mniej widzialnem—w miarę jak wyższych sięga szczytów? Nie umiemy jednak zdać sobie z tego sprawy. Gdy idzie o pospolitą, marną przygodę, zbiega się cała wieś, miasto całe; nikt jednak nie zwróci uwagi na pocałunek, na blask, piękna, który olśnił nasze oczy, lub na promień miłości, który rozżarzył nasze serca. A przecież pocałunek takie same może mieć znaczenie dla rozkoszy jakie ma rana dla cierpienia. Nie jesteśmy sprawiedliwi: szczęścia nie przypisujemy prawie nigdy losowi; śmierci zaś nie łączymy z pojęciem o nim wówczas tylko, kiedy łączymy go z nieszczęściem większem niż sama śmierć nawet.

XLIX.

Gdybym mówił wam o losie Edypa, Joanny 'd'Arc i Agamemnona, nie myślelibyście o życiu tych dwojga ludzi, ale jedynie o ostatnich ścieżkach, jakimi zdążali oni do mo-

giły. Powiedzielibyście sobie, że los ich, nie był szczęsnym, skoro śmierć ich taka była nieszczęśliwa. Zapominacie, że ludziom, którzy jeszcze nie umierają, śmierć nigdy nie wydaje się szczęściem, a jednak oceniamy życie jedynie miarą ostatniej jego godziny. Zdaje się, jakoby śmierć wszystko pochłaniała; i jeżeli przypadkowo nagle śmierć kładzie kres trzydziestoletniemu, szczęśliwemu życiu, — wszystkie lata szczęśliwe utoną w mroku jednej bolesnej godziny.

L.

Niesłusznie czynimy, łącząc w ten sposób los z nieszczęściem lub śmiercią. Kiedy przestaniemy nareszcie przypisywać śmierci większe znaczenie niż życiu, nieszczęściu więcej wagi aniżeli szczęściu? Dlaczego, mówiąc o przeznaczeniu danego osobnika, mamy zawsze wzrok skierowany na łyzy, jakich przyczyną były ostatnie jego chwile, nie uwzględniamy zaś nigdy uśmiechów, które rozjaśniały tak często jego oblicze? Ubolewając nad losem Sokratesa, Dunkana, Joanny d'Arc i tylu innych istot sprawiedliwych na tej zasadzie jedynie, że kres ich życia był nieprzewidziany i okrutny, powiadamy, że mądrość i cnota nie odwracają nieszczęścia. Przedewszystkiem jednak nie jesteśmy ani

mądrzy ani sprawiedliwi, jeżeli żądamy od sprawiedliwości i mądrości czegoś więcej po nad same te cnoty.

A potem, jakim prawem zapominamy wobec śmierci o dziejach całego życia? Na jakiej zasadzie utrzymujecie, że mądrość i cnota Antygony i Sokratesa uczyniły ich nieszczęśliwymi dla tego, że bolesną była ostatnia ich godzina? Czyż śmierć wybitniejsza zajmuje miejsce w życiu niż narodziny? A jednak nie uwzględniacie narodzin, ważąc przeznaczenie mędrca? Szczęśliwymi lub nieszczęśliwymi czynią nas dzieje całego naszego życia, od kolebki aż do mogiły; nie w śmierci — ale w poprzedzających ją dniach i latach — dopatrywać się należy szczęścia lub nieszczęścia jednostki i prawdziwego jej przeznaczenia.

Rozumujemy poniekąd w ten sposób, jak gdyby całe życie mędrca, o którego strasznym zgonie poucza nas historia, upłynęło w przewidywaniu bolesnego końca, jaki gotowała mu jego mądrość. W rzeczywistości zaś — myśl o śmierci daleko mniej niepokoi mędrca niż człowieka złego. Sokrates nie ma potrzeby obawiania się smutnego końca, jak to czyni bardzo naturalnie Makbet. A jeżeli nawet wszystko źle się dla pierwszego kończy, staje się to wbrew wszelkiemu oczekiwaniu i nie umierał on przez całe życie

swoje jak nieszczęsny wódz z Cowdor'u. Często jednakże na dnie duszy naszej tkwi poczucie, że rana, krwawiąca w ciągu kilku godzin, niweczy spokój całego istnienia.

LI.

Nie utrzymuję bynajmniej, że los jest sprawiedliwy, że karze on złych i nagradza dobrych. Czy jakakolwiek dusza mogłaby uważać się za dobrą, gdyby nagroda była zawsze zapewniona? Jesteśmy jednak niesprawiedliwsi znacznie od samego losu, wydając sąd o nim. Widzimy jedynie nieszczęście mędrca, wszyscy bowiem wiemy dobrze, czym jest nieszczęście; szczęścia jego zaś nie dostrzegamy, musielibyśmy bowiem być równie mądrzy jak mędrzec i równie sprawiedliwi jak człowiek sprawiedliwy, którego losy ważymy, aby poznać jego szczęście. Kiedy człowiek o duszy poziomej sili się na ocenienie szczęścia wielkiego mędrca, szczęście to prześlizguje się—jak woda — pomiędzy jego palcami; zaś w dłoni innego, również mądrego, człowieka nabiera ono mocy i blasku złota. Takie tylko szczęście, jakie w stanie jesteśmy zrozumieć może stać się naszym udziałem. Zdarza się często, że nieszczęście mędrca podobne bywa do nieszczęścia innych ludzi, szczęście

jego jednak niema nic wspólnego z pojęciem, jakie ma o niem człowiek, nieobdarzony mądrością.

Daleko więcej istnieje obcych nam zupełnie dziedzin w szczęściu niż w nieszczęściu. Nieszczęście jednakowo silnym przemawia do nas zawsze głosem, szczęście zaś coraz cichszem się staje w miarę swego pogłębienia.

Kładąc na jednej szali nieszczęście, kładziemy jednocześnie na drugiej pojęcie, jakie tworzymy sobie o szczęściu. Dziki położył wódkę, proch i pióra; człowiek cywilizowany—nieco złota i kilka chwil rozkoszy; mędrzec zaś złożył na niej tysiące niedostrzegalnych dla nas rzeczy, może całą swoją duszę i samo nawet, oczyszczone przez siebie, nieszczęście.

LII.

Niema rzeczy sprawiedliwszej od szczęścia, rzeczy, która wierniej odtwarzałaby postać naszej duszy, która wypełniałaby ściślej obszary, jakie otwiera przed niemi mądrość. Nie jednak nie przemawia do nas cichszym niż ono głosem. Anioł cierpienia mówi językiem zrozumiałym dla wszystkich, zna wszystkie wyrazy, anioł szczęścia zaś wówczas tylko usta otwiera, gdy może mówić o szczęściu, jakie dziki człowiek w stanie

jest nawet pojąć. Od wieków już wyszło uieszczęście z okresu niemowlęstwa, rzecz można zaś, że szczęście spoczywa wciąż jeszcze w kolebce.

Niewielka garstka ludzi nauczyła się być szczęśliwą, gdzie są jednak ci, którzy pomyśleli w szczęściu swoim o udzieleniu głosu niememu Archoniolowi, który posiał blaski w ich dusze? Czemu przypisać niesprawiedliwe to milczenie? Czy mówienie o szczęściu nie stanowi poniekąd nauczania go? Czy powtarzanie codzienne jego imienia nie jest wzywaniem go? A wszak jeden z najpiękniejszych obowiązków ludzi szczęśliwych polega na uczeniu innych, jak szczęśliwym być należy. Nie ulega wątpliwości, że można zdobyć naukę szczęścia, którego niesłuchanie łatwo jest być mistrzem, Jeśli traf rzuci was pomiędzy ludzi, którzy błogosławią swoje życie, wkrótce i wy nauczycie się je błogosławić. Uśmiech tak samo jest zaraźliwy jak łzy; a epoki, noszące miano szczęśliwych, są częstokroć tylko dobą, w której znalazło się kilku ludzi, umiających uznać się za szczęśliwych. Zazwyczaj nie samego szczęścia nam braknie, ale znajomości jego uprzedniej. Na nic nam się nie przyda największe szczęście, jeżeli nie wiemy, że jesteśmy szczęśliwi a świadomość najdrobniejszego powodu za-

dowolenia przyczynia się bardziej do błogostanu, aniżeli największe zwycięstwa i powodzenie, które przechodzą niepostrzeżenie przed oczyma naszej duszy.

Zbyt wielu ludzi wyobraża sobie, że szczęście polega na czymś innym, a nie na tem, co oni sami posiadają i dlatego też jednostki szczęśliwe powinny dowieść nam, że nie posiadają nic takiego, czego nie posiadaliby w swoim sercu wszyscy inni ludzie.

Być szczęśliwym, znaczy wyjść z okresu dążenia do szczęścia. Zdałoby się aby, od czasu do czasu, człowiek, któremu sprzyja los w sposób niezwykły, nadludzki, uderzający, człowiek, którego dzieje są przedmiotem ogólnej zazdrości, przemawiał do nas w te proste słowa: posiadam wszystko, czego najgoręcej pragniecie, mam bogactwo, zdrowie, młodość, zyskałem sławę, potęgę i miłość. Dzisiaj mogę się uważać za szczęśliwego, nie na zasadzie darów, jakimi podobało się fortunie mnie obsypać, ale dzięki temu, że dary te nauczyły mnie sięgać wzrokiem wyżej, po nad szczyty szczęścia. Dzięki temu jedynie znalazłem — w cudownych moich podróżach, w moich zwycięstwach, w sile mojej oraz w mojej miłości — spokój i szczęście, jakich szukałem, że pouczyły mnie one, iż nie w nich tkwi źródło prawdziwego szczęścia i spokoju. Nosilem

je w mojej duszy przed temi zwycięztwami; po dokonaniu ich—pozostały w niej one bez zmiany i nie tajno mi, że przy odrobinie mądrości mógłbym osiąść wszystko, co posiadam, nie potrzebując osiągać tyle szczęścia. Wiem, że jestem szczęśliwszy dzisiaj, aniżeli byłem wczera, zrozumiałem bowiem nareszcie, że nie potrzebne mi już jest szczęście do zbawienia mej duszy, ukojenia mojej myśli i oświecenia mego serca.

LIII.

Mędrzec wie o tem—niezależnie od nauk, jakich mogłoby mu udzielić w tym względzie szczęście nadludzkie. Sprawiedliwy wie o tem także, nawet nie będąc równie mądrym jak mędrzec i nie posiadwszy wysokiego stopnia uświadomienia, godną bowiem zaznaczenia jest rzeczą, że czyn dobry, lub prawy pociąga za sobą pewnego rodzaju niesformułowane uświadomienie, nieraz płodniejsze w skutki, bardziej kojące i umacniające, aniżeli świadomość, z głębokiej wynikająca idei. Darzy on nas w rzeczy samej rodzajem specjalnego zrozumienia szczęścia. Należy przyznać, pomimo wszystko, że najwznioślejsze nawet myśli są prawie zawsze chwiejne i zmienne, światło zaś czynu dobrego moc posiada i trwałość. Myśl głęboka stanowi nieraz świadomość

oderwaną, bierną, zaś akt miłosierdzia, spełnienie surowego obowiązku jest świadomością czy też szczęściem czynnem.

Marek Aureljusz, przebaczący śmiertelną obrazę; Washington, abdykujący w chwili, kiedy sława jego mogła zacząć się stawać źródłem błędu dla jego narodu—a z drugiej strony istota nędzna, o sercu przepojonem jadem nienawiści, osobnik któremu—co zresztą nie jest wcale prawdopodobne—udałoby się dzięki przypadkowi odkryć wielkie prawo ciążenia, nie byłiby w jednakowy sposób szczęśliwi.

Istnieje długa droga, usiana jedynemi uciechami, nie lękającemi się starości, i wiodąca od zadowolonego umysłu do zadowolenia serca. Szczęście jest rośliną, należącą bardziej do świata moralnego, aniżeli umysłowego. Najcenniejsze skarby poznania, a nadewszystko poznania szczęścia nie kryją się w sferze umysłowej. Rzecz można nawet, że najwznioślejsze i najbardziej kojące strony inteligencji nie przeistaczają się w świadomość, o ile nie uświęcił ich akt cnoty. Niedosć jest odkryć nową prawdę w świecie myśli lub czynów. Prawda nabiera dla nas życia dopiero z chwilą, kiedy udało jej się przekształcić, oczyścić, złagodzić jakąś stroną duszy naszej.

Świadomość udoskonalenia moralnego stanowi prawdziwe poznanie, głównym jest jego

przejawem. Istnieją osobniki bardzo rozumne, które nie wyteżają nigdy swego umysłu w kierunku wykrywania własnych błędów lub budzenia, w sobie uczuć miłosierdzia. Wypadek taki nie jest rzadkością zwłaszcza u kobiet np. Z dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety, obdarzonych jednakowo siłą umysłową, kobieta zużyje mniejszą daleko część tej potęgi na poznanie samej siebie. Otóż, zdaje się, że inteligencya, nie dążąca do samopoznania, zupełnie jest jałową. Wszelka siła naszego umysłu, nie ujęta przez najczyściejsze skarbnice naszego serca, może łatwo uleść wykolejeniu i zanikowi. W każdym razie niema ona nic wspólnego ze szczęściem; tem samem więc łatwo potraça o nieszczęście. Można mieć umysł bardzo wysoko rozwinięty i potężny—a jednak niezmiernie dalekim być od szczęścia. Niepodobna jednak posiadać duszy łagodnej czystej i dobrej i nie zaznać nigdy niczego innego prócz nieszczęścia. Co prawda, granice, dzielące rozum od samopoznania, nie są zawsze tak ściśle zakreślone, jakby to zdawać się mogło, sądząc z tego, co przed chwilą było tutaj mówione, a piękna myśl i dobry czyn łączą się i wzajemnie ze siebie wyptywają. Zdarza się jednak, że piękna myśl, niezrodzona z dobrego czynu lub też nie rodząca go, niewiele przyczynia się

do naszego szczęścia, zaś czyn dobry—wówczas nawet, gdy nie budzi żadnej pięknej myśli, będzie zawsze rosą ożywczą, przyspieszającą chwilę rozkwitu poznania istoty szczęścia.

LIV.

„Jak bardzo wyrzec się należy wszelkiej nadziei szczęścia — woła Renan, mówiąc o zaparciu się Marka Aureljusza — aby móżdż dojść do czegoś podobnego. Nikt nie rozumie, ile cierpiało to biedne, śmiertelnie zranione serce, ile goryczy kryło się pod tem bladem, zawsze spokojnem i prawie pogodnem czołem. Co prawda, zrzeczenie się szczęścia jest zapoczątkowaniem mądrości i najpewniejszym środkiem do zdobycia tego szczęścia. Niema nic słodsze go nad powrót radości, następujący po wyrzeczeniu się jej, niema nic żywszego, głębszego i bardziej uroczego, aniżeli oczarowanie rozczarowanego“.

Temi słowy określa mędrzec szczęście mędrca a jednak, czy w istocie szczęście Renana, — zarówno jak szczęście Marka Aureljusza — polega jedynie na odzyskaniu uciech po wyrzeczeniu się ich oraz na oczarowaniu rozczarowanego? Gdyby tak być miało, wartoby raczej być mniej mądrym, aby mniejszego doznać rozczarowania

Do czego dążyła jednak mądrość, która przyznaje się do utraty złudzeń? Czego szukała ona po za prawdą i jakaż to jest owa prawda, która byłaby w stanie wyko-rzenić z prawego serca miłość dla samej prawdy nawet?

Jeżeli poznany pewnik poucza was, że człowiek jest zły, natura — niesprawiedliwa sprawiedliwość niepotrzebna—a miłość bezsilna, możecie powiedzieć sobie, że niczego was on nie uczy, jeśli nie odsłania wam jednocześnie innej, potężniejszej prawdy, rozjaśniającej wszystkie te rozczarowania blaskiem świetniejszym i trwalszym aniżeli blask tysiąca znikomych światełek, jakie zgasił dokoła was. Prawda nie zna granic, dla tego też mądrość nie ma nigdy prawa rozwijać w ten sposób — na pierwszym rozdrożu ludzkiej pychy—ubożuchnego namiotu rozczarowania i zaparcia się. Dużo jest bowiem pychy niezrównanej, choć bezpodstawnej, w zadawalnianiu się poczuciem, iż nie jest w stanie nas zadowolnić. Zadowolenie podobnego rodzaju jest właściwie niezadowoleniem, pozbawionem nawet siły dźwignięcia się—a być niezadowolonym, znaczy w gruncie rzeczy nie próbować nawet zrozumieć.

Dopóki człowiek wyobraża sobie, że obowiązkiem jego jest wyrzeczenie się szczęś-

cia, czy nie zrzeka on się tem samem czegoś, co nie zasługuje jeszcze na miano szczęścia? A następnie, o jakim szczęściu jest mowa w tem zaparciu się, pozbawionem uroku prostoty? Zapewnie, że sprawiedliwość wymaga odtrącenia wszelkiego szczęścia, które wyrządza krzywdę innym; czy jednak szczęście, krzywdzące bliźniego może długo pozostać szczęściem mędrca? A kiedy mądrość jego odstąpiła przed nim nareszcie źródła innych rozkoszy, czy pamięta ona jeszcze, że wyrzekła się poprzednich?

Nie ufajmy mądrości i szczęściu, polegającym na gardzeniu czemkolwiek. Wzgarda i wyrzeczenie się, z których drugie jest ułomnem dziecięcem pierwszej, otwierają przed nami tylko wrota przytułku starców i kalek. Wówczas jedynie mielibyśmy prawo do gardzenia pewną uciechą, gdybyśmy nie mogli nawet być już świadomi tej wzgardy. Dopóki jednak wzgarda lub wyrzeczenie się muszą być wypowiedziane lub poruszają myśl gorzką na dnie naszego serca, znaczy to, że rokosz, której dajemy za wygraną, jest nam w gruncie rzeczy jeszcze potrzebna.

Unikajmy wprowadzania do duszy naszej pewnych pasarzytów cnoty. Wyrzeczenie się zaś jest bardzo często pasorzytem tylko. Jeśli nawet nie osłabia ono naszego życia

wewnętrznego, szczepi w niem w każdym razie niepokój. Kiedy obce stworzenie wtargnie do ula, pszczoły przerywają pracę; podobnież z chwilą, gdy wzgarda lub wyrzeczenie się przenikają do naszej duszy, wszystkie jej potęgi i cnoty odrywają się od swoich zadań i grupują się dokoła szczególnego przybysza, jakiego sprowadza im pycha. Dopóki bowiem człowiek wie, że się wyrzeka, źródłem uciech, jakie zawdzięcza temu wyrzeczeniu się, jest przedewszystkiem pycha właśnie. To też, o ile stanowczo zależy nam na wyrzeczeniu się czegokolwiek, wypada zacząć od zaparcia się uciech, zrodzonych przez pychę, są one bowiem najbardziej czcze i zawodne.

LV.

Jakież to w gruncie rzeczy wygodne i pozbawione wszelkiej odwagi i energii to „oczarowanie rozczarowanego“! Jakże jednak nazwiemy tego, kto wyrzeka się rozkoszy, które czyniły go szczęśliwym i woli raczej utracić je napewno dzisiaj przez obawę utracenia ich jutro z woli trafu? Czy jedynem zadaniem mądrości miałoby być wsłuchiwanie się w odgłos dalekich i niepewnych kroków cierpienia, które wcale może nas nie nawiedzić i zamykanie uszu na szelest skrzydeł szczęścia, szybującego w przestworzu?

Szukajmy szczęścia w wyrzekaniu się wówczas tylko, gdy niepodobna już znaleźć go w czem innym. Łatwo jest być mędrcem, zadawalniając się szczęściem, znajdowaniem w odrzucaniu szczęścia. Mędrzec nie jest jednak stworzony do nieszczęścia, zresztą zaszczytniejszą i bardziej ludzką jest rzeczą nie przeniewierzenie się mądrości, pozostając jednocześnie szczęśliwym. Najwyższym celem mądrości jest właśnie znalezienie stałego, niezawodnego szczęścia w życiu; szukanie go jednak w wyrzekaniu się uciech równa się bezmyślnemu poniekąd szukaniu go w śmierci. Łatwo jest uważać się za mędrca, gdy się pozostaje zupełnie bezczynnym. Czy jednak człowiek stworzony jest na to, aby zawsze być biernym? Należy wybierać; mądrość bywa albo szanowaną małżonką naszych namiętności i uczuć, wszystkich naszych myśli i naszych dążeń, albo też smutną oblubienicą śmierci. Wolno istnieć mądrości biernej, która zdąża do grobu, niech jednak inny jej rodzaj żyje i działa przy dymiącem się jeszcze ognisku.

LVI.

Nie staniemy się mędrkami dzięki temu, że wyrzekamy się otaczających nas uciech, przeciwnie, stając się mędrkami, bezwiednie

wyrzekamy się rozkoszy, które stały się już nas niegodne. Tak dorastające dziecię porzuca niepostrzeżenie dla siebie zabawki, które je już bawić przestały—i zarówno jak dziecię poznaje daleko więcej rzeczy podczas zabawy, aniżeli za pośrednictwem narzuconej sobie pracy, tak samo mądrość szybszemi daleko zdąża krokami w szczęściu, aniżeli mogłaby to uczynić w nieszczęściu. Szkoła cierpień kształci jednostronną tylko moralność; a człowiek, który stał się mędrcelem dzięki przebytych nieszczęściom, podobny jest do człowieka, który kochał, nie będąc kochanym. Pierwszy nie pozna nigdy tych samych stron mądrości, jakie kryje też zazdrośnie miłość przed oczyma tego, czyja miłość nie doznała wzajemności

„Czy istotnie tyle jest szczęścia w szczęściu, jak ogólnie utrzymują“? zadał razu pewnego pytanie dwom duszom szczęśliwym pewien filozof, na którego długotrwała niesprawiedliwość losu rzuciła cień smutku. Nie, szczęście jest jednocześnie bardziej i mniej godnem pożądania, ponieważ polega ono na czemś zupełnie innem, aniżeli wyobrażają to sobie ludzie, którzy nigdy nie byli całkowicie szczęśliwi. Być wesołym, nie znaczy być szczęśliwym, a szczęście nie polega na ciągłym stanie rozradowania. Tylko drobne, chwilowe szczęścia opromienia uśmiech,

którego pogody nie zamąca nic przez cały czas ich trwania. Tylko szczęście, które sta-
nęło już na pewnych wyżynach, szczęście
stałe, cechuje powaga, jakiej pełen jest
szlachetny smutek. Przykład mędrców pou-
czył nas, że nie potrzeba być szczęśliwym,
aby módz pragnąć szczęścia. Jeśli mędrzec nie
był jednak człowiekiem szczęsnym, w jaki spo-
sób może on wiedzieć, że mądrość jest jedyną
rzeczą, która, zaznajac szczęścia, nie odczu-
wa znużenia ani smutku? Myśliciele, znają-
cy szczęście z osobistego doświadczenia,
nauczyli się daleko głębiej kochać mądrość
aniżeli nieszczęśliwi filozofowie. Wielka za-
chodzi różnica pomiędzy mądrością, wzrasta-
jącą w nieszczęściu i tą, która rozwija się
w szczęśliwości. Pierwsza wpływa kojąco,
gdy mówi o szczęściu, druga zaś, mówiac
o niem, własnym świeci przykładem. U kre-
su mądrości nieszczęśliwego przyświeca na-
dzieja szczęścia; na najdalszym widno-
kręgu mądrości szczęśliwego niema nic in-
nego po nad mądrość.

Jeżeli celem mądrości jest znalezienie
szczęścia, to jedynie dzięki doznawaniu bło-
gostanu dochodzi się wreszcie do przeświad-
czenia, że cel ten leży w niej samej.

LVII.

Przeciętna dusza nie jest w stanie dźwi-
gać brzemienia szczęścia. Istnieje odwaga

znoszenia szczęścia zarówno jak hart znoszenia nieszczęścia. Może nawet więcej sił potrzeba, aby nie przestawać być szczęśliwym, aniżeli — aby wytrwać w nieszczęściu; oczekiwanie bowiem tego, czego się jeszcze nie posiadało, daje sercu człowieka, który nie jest filozofem — daleko więcej rokoszy, aniżeli zupełne osiągnięcie celu wszystkich jego pragnień. Z wyżyny szczęścia stałego najlepiej ocenić można dążenia serca, które zdaje się żyć tylko obawą lub nadzieją i któremu z taką trudnością przychodzi zadawałniać się tem, co posiada — nawet wówczas, gdy posiada ono już wszystko.

Nieraz widzieć można jednostki silne i obdarzone przezornością moralną—a jednak zwyciężone przez szczęście. Nie znalazłszy w niem wszystkiego, czego się od niego spodziewały, nie bronią go, ani też nie starają się go utrzymać z całą energią, jaką należy rozwinąć w życiu. O! jakże mądrym być trzeba, aby nie dziwić się, że szczęście obłituje też w smutki i aby smutki te nie skłoniły nas do przypuszczenia, że nie osiągnęliśmy jeszcze prawdziwego szczęścia! Najlepszą stroną szczęścia jest przekonanie się, do jakiego, posiadłszy je, dochodzimy, że nie jest ono czarą upajającą, ale stanem, uspasabiającym do rozmyślań. Staje się ono

łatwiejszym do zdobycia i mniej rzadkim ptakiem z chwilą, gdy dochodzimy do przekonania, że jedynym darem, jaki zawdzięcza mu dusza, umiejąca z niego korzystać, jest z bogacenie świadomości, jakiego nie znalazłaby ona w niczem innym. Ważniejsze ma znaczenie dla duszy ludzkiej poznanie wartości szczęścia niż korzystanie z niego. Trzeba dużo wiedzieć, aby ukochać trwale szczęście; nieskończenie więcej wiedzieć należy, aby, zakosztowawszy szczęścia bez cierni, zrozumieć, że dopatrywać się musimy stałej i trwałej jego strony jedynie w potędze, która, będąc ukrytą na dnie naszej świadomości, mogłaby uczynić nas szczęśliwymi nawet w obliczu cierpienia. Wówczas tylko wolno człowiekowi uważać się za szczęśliwego, kiedy szczęście dopomogło mu do wzniesienia się na wyżyny, z których może stracić je z oczu, nie tracąc jednocześnie chęci do życia.

LVIII.

Istnieją myśliciele głębocy i przejęci gorąco ideą nieskończoności, wieczności i wszechświata; myśliciele tacy, jak Paskal, Hello, Schopenhauer, którzy nie zdają się wcale być szczęśliwymi. A jednak przypuszczenie, że dawanie wyrazu cierpieniu ogółu każe podejrzewać zawsze wielkie strapienie osobis-

te szczególniejszym byłoby błędem. Widnokrąg nieszczęścia, rozpatrywanego z wyżyn myśli, która przestała już być nieświadomą, samolubną i przeciętną, niewiele różni się od widnokregu szczęścia, rozpatrywanego z wyżyn myśli podobnej natury, ale odmiennego pochodzenia. Niezależnie od tego, czy obłoki zawisłe — hen, daleko, nad krańcem równiny, groźne są czy też lekkie i wdzięczne, wędrowiec wtedy tylko czuje się zadowolonym, gdy dotarł nareszcie do szczytu, z którego odsłania się przed oczyma jego bezbrzeżna przestrzeń. Morze wydaje nam się tajemniczem i cudownem bez względu na to, czy snują po niem nieustannie białe żagle; a burza nie jest w stanie osłabić życia naszej duszy bardziej, aniżeli mógłby na to wpłynąć piękny, cichy dzień. Osłabia je zaś pozostawanie dniem i nocą w dusznej izdebce poziomych naszych myśli, pozbawionych szlachetności, zapału i powagi, gdy dokoła siedziby naszej promienne niebo króluje nad bezmiarem.

Czy nie zachodzi jednak różnica pomiędzy myślicielem i mędrcelem? Zdarza się, że myśliciela ogarnia smutek nawet wówczas, gdy dotarł już do szczytu, mędrzec zaś stara się, stanąwszy na nim, uśmiechać się z całą dobrą wiarą w sposób tak naturalny i ludzki,

że najnędniejszy z jego braci może pochwycić i zrozumieć ten uśmiech, który stacza się jak kwiat do stóp góry. Myśliciel otwiera pochód, łączący „świat widoczny z światem, ukrytym“, mędrzec zaś otwiera drogę, wiodącą od rzeczy, które kochamy, do rzeczy, które kochać będziemy—oraz wskazuje ścieżki, prowadzące od tego, co przestało być dla nas ukojeniem, do tego, co długo jeszcze pocieszać nas będzie. Śmiałe i żywotne pojęcie o człowieku, siłach wyższych i naturze—jest niezbędną, ale niewystarczającą. Cóż warta jest myśl głęboka, która nie umacnia naszego ducha? Czy nie jest ona—podobnie jak idea, niezdolna do przesiąknięcia w życie codzienne — pojęciem, którego myśliciel nie posiadał jeszcze całkowicie? Łatwiej jest upadać na duchu i trwać w swoim strapieniu, aniżeli przedsięwziąć natychmiast kroki, do których poczynienia zmusi nas zawsze w końcu czas — niezależnie od tego strapienia. Łatwiej jest wydawać się głębokim w nieufności i mrokach, aniżeli w wierze i uczciwej jasności, w jakiej ludzie żyć powinni. Czy można być pewnym, że, rozmyślając w ten sposób w imieniu wszystkich swoich bliźnich o nędzy życia, zrobiliśmy wszystko, co możliwe, jeżeli, nie chcąc osłabiać silnego obrazu nędzy ukrywamy przed

braćmi swymi decydujące—pomimo wszystko—powody, na zasadzie których zgadzamy się widocznie na istniejący stan rzeczy, skoro nie przestajemy żyć? Łatwiej jest wyłuszczyć powody utyskiwań, aniżeli wyjawić z całą prostotą potężniejsze i głębsze przyczyny, zniewalające instynkt ludzi do pchania w dalszym ciągu taczki życia, na które tak narzekają.

Któż z nas nie znajdzie — nie potrzebując wcale ich szukać — tysiąca powodów, nie pozwalających nam czuć się szczęśliwymi? Oczywiście warto, aby mędrzec wskazał nam najwyższe przyczyny nieszczęścia, bardzo bowiem wzniosłe powody nieszczęścia łatwo przeistoczyć się mogą w przyczyny, czyniące nas szczęśliwymi. Wszystkie te jednak, które nie mają w sobie pierwiastka wzniosłości i szczęścia, (w życiu moralnem istnieje w rzeczy samej moc wielka dziedzin, w których łączą się w jedno te oba pojęcia) nie zasługują wcale na uwzględnienie. Trzeba być szczęśliwym, aby uszczęśliwiać; należy zaś uszczęśliwiać, aby nie przestawać być szczęśliwym. Probujmy przedewszystkiem uśmiechać się pogodnie, aby nauczyć uśmiechu braci naszych, a potem już uśmiech nasz stanie się szerszym pod wpływem ich rozjaśnionego oblicza.

„Smutek mi nie przystoi, jestem bowiem człowiekiem który nigdy dobrowolnie nikogo nie zasmucał“, powiada Marek—Aureljusz na jednej z najpiękniejszych swoich kartek. Czy jednak brak starań o osiągnięcie najwyższego szczęścia, jakiego zaznać można, nie jest dobrowolnem rzucaniem cienia smutku na własne życie, a zarazem staraniem się o zasmucanie innych?

LIX.

Drobna myśl, rodząca uśmiech zadowolenia, dająca pochop do zwykłego, codziennego uczynku miłosiernego lub darząca nas najskromniejszą, najcichszą chwilką szczęścia, ma w sobie coś pięknego, silnego i wiecznego; jest większą zasługą, nieskończenie trudniejszą do wydarcia tajemikom życia, aniżeli głębokie i ponure rozmyślanie nad zależnością cierpienia, miłości i rozpacz—od śmierci, losu oraz potęg obojętnych, rozłaczających nad nami czarne swoje skrzydła. Nie dajmy się złudzić pozorami: Hamlet, biadający nad otwartą mogiłą, wydaje nam się głębszym i bardziej pociągającym, aniżeli Antonjusz — Pius, rozważający z całym spokojem te same siły, przyjmując̄ je i badający zupełnie obiektywnie—zamiast złorzeczenia im i przypisywania szczególnej grozy.

Wszelkie dzienne nasze sprawy mniej wydają się nam potężnymi od najdrobniejszego kroku, jaki usiłujemy uczynić, gdy noc już zapada; a jednak człowiek nie jest stworzony do błakania się w ciemności, ale do pracy w jasnym świetle dnia.

LX.

Po za tem tkwi w najskromniejszej myśli kojącej siła, jakiej nadaremnie szukalibyśmy w najpotężniejszej skardze, w najpiękniejszej idei, owianej mgłą melancholii. Wielka myśl głęboka i smutna jest energią, oświetlającą mury swego więzienia, zużywającą jednak w mroku swoje skrzydła; najskromniejsza myśl, pełna wiary i pogodnego poddania się nieuniknionym prawom, jest czynem, szukającym punktu oparcia, aby mózgiem opromienić życie jasnym swoim blaskiem. Nieraz wyznać wypada, że myśl lotna i bezstronna jest wprawdzie rzeczą piękną i doskonałą, rzeczywistość jednak zaczyna się dopiero od czynu. O całym naszym przeznaczeniu stanowią w rzeczy samej tylko myśli,—parte przez gromadę pojęć nieskrystalizowanych, niejasnych, prawie niewyraźnych — które zdobyły się na siłę, czy też ustąpiły narazie wobec konieczności przeistoczenia się we fakty, czyny, uczucia, nawyknięcia. Nie znaczy to, że należy lekceważyć inne. Myśli nasze odgrywiają wobec życia realnego

rolę armii, oblegającej miasto. Rzeczą jest prawdopodobną, że większość żołnierzy nie przekroczy murów miasta już po jego zdobyciu. Nie zostaną mianowicie dopuszczeni najemnicy, maruderzy, słowem wszystkie wojska nieregularne, które zbyt łatwo uległyby pokusie rabunku, ognia i krwi. Prawdopodobnie też dwie trzecie żołnierzy nie weźmie udziału w rostrzygającej walce. A jednak potrzebne są nieraz te nieużyteczne napozór siły; nie ulega bowiem wątpliwości, że miasto nie byłoby uległo, nie byłoby nigdy otworzyło swoich wrót, gdyby nie widziało nieprzebranej armii, rozsianej na równinie i przypuszczającej umiejętny szturm do wałów fortecznych. To samo dzieje się i w naszym życiu moralnem. Myśli, które nie stały się ciałem, nie były jednak zupełnie nadaremne; parły one lub podtrzymywały inne, jedyne, pełniące posłannictwo swoje do końca.

Dlatego więc miejmy zawsze na pogotowiu — po za zwartym szeregiem naszych niejasnych i niewesołych myśli — garść myśli pogodniejszych, bardziej ludzkich, prostych i gotowych do śmiałego wkroczenia w życie.

LXI.

Nadaremnie usiłujemy wznieść się po nad rzeczywistość w szlachetnem bardzo dążeniu do dobra niematerialnego — tysiące

zamiarów nie warte są jednego kroku czynnego; nie dlatego, aby zamiary nie były warte, ale dlatego, że najdrobniejszy czyn dobry, śmiały, sprawiedliwy—wymaga więcej niż tysiąca dobrych zamiarów.

Wróżbici utrzymują, że całe nasze życie łączy ślady na naszej dłoni—życiem zaś nazywają oni pewien szereg czynów, które zostawiają na ciele naszym — bądź przed, bądź też po ich dokonaniu — znaki niezatarłe. Myśli nasze i zamiary pozostają pod tym względem bez wpływu. Gdybym żywił przez długi czas zamiar popełnienia zbrodni, zdrady, bohaterstwa czy poświęcenia — ręka moja mogłaby nie zdradzać ukrytych moich myśli; jeżeli jednak zabiłem przypadkiem, może nawet przez pomyłkę, na zakręcie ulicy człowieka, jak mi się zdawało, niebezpiecznego dla mnie; albo też, jeżeli, przechodząc przez tę samą ulicę, wyratowałem z płomieni noworodka, który byłby niechybnie zginął podczas pożaru — ręka moja nosić będzie przez całe życie niezaprzeczone ślady zbrodni lub miłosierdzia. Nie idzie o to, czy wróżbici mają słuszność, czy nie; bądź co bądź jednak w wyróżnianiu takim kryje się wielka prawda moralna. Myśl może nie wpłynąć aż do śmierci na zmianę mego stanowiska we wszechświecie; czyn zaś podniesie mnie lub zepchnie na szcze-

beł wyższy czy niższy w hierarchii społecznej. Myśl to siła odosobniona, błędna i przelotna, która zbliża się dzisiaj a której jutro może już nie zobaczą; czyn zaś domyślać się każe stałej armii pojęć i pragnień, umiejacej zdobyć po długich wysiłkach punkt oparcia w życiu rzeczywistem.

LXII.

Odbiegliśmy jednak bardzo daleko od szlachetnej Antygony oraz wiekuistej zagadki bezowocnego poświęcenia się. Nie ulega wątpliwości, że los, pojmowany w pospolitem tego słowa rozumieniu, czyli oznaczający jedynie drogę, wiodącą do śmierci, nie ma wcale poszanowania dla tego rodzaju cnoty. Stanąwszy na skraju przepaści, stanowiącej niejako kadz ogólną, w której oczyszcza się lub zamąca ostatecznie moralność ludzka, zmusza on nas do wybierania pomiędzy usprawiedliwieniem lub potępieniem losu. Większość poświęceń w imię obowiązku może być sprowadzona do typu poświęcenia Antygony. Któż z nas nie widywał w swoim otoczeniu przykładów ukaranego bohaterstwa? Przyjaciel mój, przykuty do łoża, które miał zamienić już tylko na inne łożo, z jakiego się więcej nie powstaje, roztoczył przedemną sieć wybiegów, użytych przez los w celu zmuszenia go do przeknięcia w obcem mieście łyka zatrutej wody

która miała być przyczyną jego śmierci. Z całą wyrazistością rysował niezliczoną plątaninę nitek, jakimi los osnuł jego życie, w którego najdrobniejszym wydarzeniu wyraźnie niejako tkwiły przejawy niezrównanej przenikliwości i okrucieństwa. A przecież przyjaciel mój udał się do złowróbnego miasta jedynie w celu spełnienia jednego z tych obowiązków, jakie mędrcy tylko, bohaterowie lub święci dostrzedz umieją na widnokregu świadomości. Jakaż jest na to odpowiedź? Przemilczmy ją na razie; powrócimy niebawem do tego tematu. Gdyby przyjaciel mój nie umarł, byłby nazajutrz zaraz udał się do innego miasta, dokąd wzywałby go inny obowiązek i nie zadawałby sobie nawet pytania, czy ulega głosowi obowiązku. Są istoty, słuchające w ten sposób wszystkich podszeptów własnego serca. Nie troszczą się bynajmniej niesprawiedliwością losu ani niewdzięcznością cnoty; zajmuje ich tylko niewdzięczność ludzka i zdają się mówić sobie, że inna niesprawiedliwość nie ich jeszcze nie obchodzi.

Czy istotnie nie należy wahać się i czy rzeczywiście całkowicie wypełniamy obowiązek nasz wówczas tylko, gdy nie domyślamy się nawet, że czynimy coś podobnego? Czy w istocie niezbędną jest rzeczą wzbijanie się na takie wyżyny, z kądem obowiązek nie wydaje nam się już sprawą wyboru naj-

szlachetniejszych naszych uczuć, ale nieubłaganą koniecznością całej naszej natury?

LXIII.

Istnieją osobniki, które wyczekują, badają, rozważają, sądzą, i nareszcie rozstrzygają. I ci mają także słusność. Co za różnica właściwie, czy spełnienie obowiązku jest wynikiem instynktu czy też rozumu? Poruszenia instynktu mają w sobie zazwyczaj — podobnie jak ruchy dziecka — nieuchwytnie jakieś, naiwne i niespodziewane piękno, które bardziej nas jeszcze wzrusza; czy jednak kroków wyrozumowanej dobrej woli nie cechuje piękno poważniejsze i trwalsze? Niewiele serc posiada czar naiwnego piękna i niesłuszną byłaby chęć dopatrzenia się w nich wszystkich praw, rządzących naszymi obowiązkami. Zresztą wyrozumowana dobra wola — nawet będąc zupełnie pozbawioną złudzeń — dostrzega liczny zastęp obowiązków mniej pociągających, których nie widzi instynkt — a czyż wartości moralnej jednostki nie określa ilość obowiązków, jakie dostrzega ona i jakie spełnić zamierza?

Niech większość idzie za głosem instynktu, nie zadając sobie zbyt wielu pytań, długo bowiem należy badać siebie samego, aby nareszcie samowiedza nasza dała nam odpowiedzi, zbliżone do głosu instynktu; niech

mniejszość kieruje się tymczasem instynktownem dążeniem do poświęcania się w imię obowiązku. Idzie ona w ten sposób z zamkniętymi oczyma za światłem, jakim rozjaśniają przed nią drogę najlepsi z jej przodków. Ideał nie na tem jednakże polega; ten bowiem, kto wyrzeka się najdrobniejszej uciechy na korzyść bliźniego, wiedząc dobrze, co poświęca i dlaczego to czyni, zajmuje w życiu moralnem wyższe stanowisko, aniżeli ten, kto czyni ofiarę z całego nawet życia, nie obejrzawszy się ani razu po za siebie.

XLIV.

Świat pełen jest istot słabych i szlachetnych, które wyobrażają sobie, że poświęcenie jest ostatniem słowem obowiązku. Pełno w nim dusz pięknych, które, nie wiedząc jak postąpić, starają się poświęcić swe życie, co uważanem bywa za najwyższą cnotę. Nie; cnota najwyższa polega na tem, aby wiedzieć, co się czyni i uczyć się wybierania idei, które warte są, aby dla nich robić ofiarę z życia. To, co wydaje się każdemu z nas naszym obowiązkiem, jest nim tylko tymczasowo. Głównem naszym zadaniem powinno być wyjaśnienie sobie pojęcia o obowiązku. Wyraz o b o w i ą z e k zawiera więcej nieraz błędów i niedopatrzienia moralne-

go niż cnót. Klytemnestra poświęca swoje życie, aby zemścić się na Agamemnonie za śmierć. Ifigenii—a Orestes składa w ofierze swój żywot, aby pomścić na Klitemnestrze śmierć Agamemnona. Wystarczyło jednak zjawienie się mędrca, który odezwał się w te słowa: „Wybaczajcie waszym nieprzyjaciołom“, aby wszelkie obowiązki zemsty, ciężące na sumieniu ludzi, wymazane z niego zostały. Wystarczy może, aby kiedyś zjawił się inny mędrzec—a wnet skazana zostanie na wieczną zagładę większość pojęć o obowiązku poświęcania się. Zanim to jednak nastąpi, pewne pojęcia o wyrzeczeniu się, zaparciu i poświęceniu bardziej jeszcze podkopują najpiękniejsze siły moralne ludzkości, aniżeli wielkie nałogi a nawet występki.

LXV.

Tak, rezygnacya dobrą jest i potrzebną w obec przemożnych i nieuniknionych faktów życiowych, na wszystkich jednak punktach, gdzie istnieje możliwość walki, zręczenie się jest tylko zamaskowaną ciemnotą, bezsilnością lub też lenistwem.

Toż samo da się powiedzieć o poświęceniu, które bywa częstokroć tylko osłabieniem ramięm, jakie rezygnacya wyciąga jeszcze w próżni. Piękną jest rzeczą umieć po-

święcać się z całą prostotą, gdy okazya czynienia z siebie ofiary sama się przez się nastrocza, darząc szczęściem ludzi innych; ani jest jednak mądrze ani potrzebnie zużywać życie całe na szukanie okazji poświęcania się i widzieć w postępowaniu podobnem najpiękniejszy tryumf umysłu nad ciałem. Zwrócić tu muszę uwagę, że przywiązujemy zazwyczaj nadmiernie wielką wagę do zwycięstw, odnoszonych przez rozum nad ciałem, domniemane zaś te zwycięstwa są najczęściej zupełną porażką życia).

Poświęcanie się może być kwiatem, jaki cnota zrywa w przelocie; zerwanie go jednak nie było wyłącznym celem jej drogi. Pojęcie, że piękno duszy polega na gorącym jej dążeniu do czynienia z siebie ofiary, grubym jest błędem, owocne bowiem jej piękno polega jedynie na pełni samowiedzy oraz na wzniosłości i potędze jej życia. Istnieją, co prawda, dusze, które czują, że żyją—wówczas tylko, gdy się poświęcają; są to jednak zarazem dusze, nieposiadające odwagi lub też siły [szukania innego życia moralnego. Daleko łatwiej jest w ogóle poświęcać się, czyli składać swoje życie moralne w ręce pierwszego lepszego, kto chce je wziąć, aniżeli czynić zadość swojemu przeznaczeniu moralnemu i wypełnić do ostatka zadanie, dla którego stworzyła nas natura. Daleko

jest w ogóle łatwiej umrzeć moralnie—a nawet fizycznie—za innych, aniżeli nauczyć się żyć dla nich. Zbyt wielu ludzi usypia w ten sposób wszelką przedsiębiorczość, wszelki byt osobisty przeświadczeniem, że byliby zawsze gotowi do ofiar. Samowiedza, która nie przekracza zakresu idei czynienia z siebie ofiary i której zdaje się, że jest w porządku z samą sobą, ponieważ szuka nieustannie okazji poświęcania wszystkiego, co posiada, jest samowiedzą, zamykającą oczy i uśpioną u stóp góry.

Pięknie jest poświęcać się — i w rzeczy samej tylko dzięki zaparciu się siebie można osiągnąć z czasem pewną władzę nad sobą; niemożność jednak udzielania innym czegoś więcej po nad pragnienie poświęcania się dla nich, jest zadawalnianiem się ofiarowaniem im nędznych zaledwie okruchów. Zanim więc zaczniemy dawać, starajmy się nabywać i nie sądźmy, że dawanie uwalnia nas od obowiązku nabywania. Czekajmy wybicia godziny ofiary, pracując w oczekiwaniu jej nad czem innym. Godzina ta musi kiedyś nadejść; nie traćmy jednak czasu na bezustanne szukanie jej na zegarze życia.

LXVI.

Istnieją różne rodzaje ofiar; nie mówię tutaj o ofierze silnych, którzy umieją, jak

Antygona, zaprzec się samych siebie wówczas, gdy los, objawiając im się w postaci oczywistego szczęścia ich blizkich, nakazuje im poświęcenie swojego szczęścia i życia. Mówię o ofierze słabych, o poświęceniu, które zasklepia się w swojej martwocie z dziecinnem zadowoleniem; o poświęceniu, które zadawalnia się kołysaniem nas — niby ślepa karmicielka — na wychudłych ramionach wyrzeczenia się i daremnego cierpienia. Posłuchajmy, co mówi nam w tej sprawie doskonały myśliciel współczesny, John Ruskin: „Bóg chce, abyśmy żyli szczęściem życia naszych braci, nie zaś nędzą ich i śmiercią“. Może się zdarzyć, że dziecko musi umrzeć za swoich rodziców, zamiarem jednak niebios jest, aby żyło ono dla nich. Będzie ono dla nich — nie dzięki swojemu poświęceniu — ale przez siłę swoją, wesołość, potęgę swego życia — źródłem zdrowia, będzie jako strzała w ręku olbrzyma. To samo dzieje się w innych prawdziwych stosunkach. Ludzie pomagają sobie wzajem, nie za pośrednictwem swoich smutków, ale dzięki swoim radościom. Nie są ostatecznie stworzeni do zabijania się jeden za drugiego, ale do umacniania się jeden przez drugiego. I z pomiędzy wielu pięknych bardzo rzeczy, które opaczny obyczaj uczynił bardzo złemi, nie wiem, czy nie na-

leżałoby uważać za najfatalniejszy—pewien zmysł nieświadomego i zbyt uległego poświęcania się. Tak silnie wpojono w pewne istoty pojęcie, jakoby cierpienie było już samo przez się cnotą, że przyjmują one ból i nędzę, uważając ją za nieunikniony swój udział i nie rozumieją, że porażka ich niemniej przez to jest opłakana, jakkolwiek skutki jej — fatalniejsze są dla ich nieprzyjaciół, aniżeli dla nich samych.

LXVII.

Powiadają nam: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego“; jeżeli jednak kochać będziesz siebie miłością ciasną, kruchą i lękliwą, obdarzysz bliźniego swego takim samym uczuciem. Staraj się więc ukochać samego siebie miłością szeroką, zdrową, mądrą i całkowitą. Egoizm duszy silnej i jasnowidzącej owocniej jest miłosierny, aniżeli całe poświęcenie duszy słabej i ciemnej. Zanim zaczniesz żyć dla innych, musisz umieć żyć dla samego siebie; zanim poświęcisz się, musisz się zdobyć. Bądź pewien, że zyskanie jednej cząsteczki samowiedzy ważniejsze ma stokroć znaczenie, aniżeli dar uczy-niony z całej twej nieświadomości.

Prawie wszystkie wielkie czyny tego świata dokonane zostały przez istoty, które nie myślały wcale o poświęcaniu się. — Platon

nie wyrzeka się swojego myślenia, aby pójść płakać wraz z tymi, którzy płaczą w Atenach; Newton nie porzuca swoich wyliczeń, aby iść w świat szukać rzeczy, budzących litość lub smutek—a nadewszystko Marek-Aureljusz (idzie bowiem o najczęstszą i najniebezpieczniejszą ofiarę moralną), Marek-Aureljusz nie gasi jasności swej duszy, aby uczynić szczęśliwszą niższą duszę Faustyny. Otóż to, czemu przyznajemy słuszność w życiu Platona, Newtona oraz Marka-Aureljusza, zarówno jest sprawiedliwe w istnieniu każdej duszy. Każda bowiem dusza ma w swojej sferze takie same względem siebie obowiązki, jak dusza największych. Zrozumiemy raz na zawsze, że głównym obowiązkiem naszej duszy jest być możliwie całkowitą, szczęśliwą, niezależną i wielką. Niema tu mowy o egoizmie lub o pysze. Jedynie posiadanie samowiedzy, jasnej, pełnej ufności i równowagi czyni z nas istoty owocnie wspaniałomyślne i prawdziwie skromne. Cel ten zasługuje, aby poświęcić dla niego nawet namiętność do czynienia poświęceń; poświęcenie bowiem nie powinno być środkiem do uszlachetniania się, ale jego przejawem.

LXVIII.

Umiejmy ofiarowywać nieszczęśliwym braciom naszym — kiedy zachodzi tego potrzeba — nasz majątek, czas i życie nasze; na tem polega wyjątkowy dar kilku wyjątkowych godzin; mędrzec nie jest jednak obowiązany do zaniechania swego szczęścia oraz lekceważenia wszystkiego, co stanowi właściwą jego istotę — w imię przygotowania się jedynie do wyzyskania w sposób mniej lub więcej bohaterski jednej lub dwóch wyjątkowych godzin. W życiu moralnem należy przedewszystkiem mieć na uwadze obowiązki, powtarzające się codziennie, przejawy miłości bliźniego, które się nie wyczerpują.

Z tego punktu widzenia jedyną — w zwykłym biegu życia — rzeczą, jakiej wciąż odradzającą się cząstkę ofiarowywać moglibyśmy duszom szczęśliwym lub nieszczęśliwym z grona tych, jakie kroczą obok nas po jednakich z nami drogach, — jest siła, i zrównoważona niepodległość naszej duszy. Dlatego też właśnie najędźniejszy z ludzi zmuszony jest do podtrzymywania i podsycaenia płomienia swojej duszy, jak gdyby przewidywał, że przyjdzie chwila, kiedy mogłaby ona być powołaną do pocieszenia lub rozradowania bóstwa. Gdy idzie o przygo-

towanie duszy, należy zawsze do boskiego, przygotowywać ją postannictwa. W tej tylko dziedzinie i pod takim warunkiem dokonywać się może prawdziwa ofiara, jaką człowiek z siebie czyni, tak tylko spełnia się poświęcenie. A czy sądzicie, że gdy nadejdzie właściwa chwila — dar Sokratesa lub Marka-Aureljusza, t. j. ludzi, którzy żyli tysiącem istnień, tysiącrotnie bowiem wyczerpali zakres życia własnego, nie będzie miał tysiąc razy większej wartości od wszystkiego, co mógłby złożyć w ofierze człowiek, który nie uczynił ani jednego kroku na drodze do samopoznania? Czy myślicie, że bóstwo ocenia poświęcenie jedynie na wagę krwi naszego ciała, zaś krew duszy, którą jest cnota jej, jej samowiedza, całe jej życie moralne oraz cała siła, jaką zgromadziła ona w ciągu długich lat, żadnej nie ma dlań wartości?

LXIX.

Nie przez poświęcanie się olbrzymieje dusza; przeciwnie, wzrastając, zatracą ona dążenie do czynienia z siebie ofiary, podobnie jak wędrowiec, wspinający się coraz wyżej, traci z oczu kwiaty wąwozów. Poświęcenie jest pięknym objawem niepokoju duszy, nie należy jednak dążyć do niepokoju dla samego tego stanu. Duszy bu-

dzącej się wydaje się wszystko godnem poświęcenia, niewiele zaś rzeczy zasługuje na czynienie w imię ich ofiary — w pojęciu istoty, która umiała sobie już stworzyć życie, gdzie poświęcenie litość i wyrzeczenie się przestały być niezbędnymi korzeniami, stając się natomiast ukrytem kwieciem. Zbyt wiele osobników odczuwa w rzeczy samej dążenie do niweczenia—bez potrzeby nawet—swego szczęścia, miłości, nadziei — jedynie z chęci ujrzenia samych siebie, oblanych łuną ogni całopalenia. Rzekłbyś, że noszą oni lampę, z którą obejść się nie umieją; kiedy zaś noc zapadnie, wówczas spragnieni jasności, rozlewają na obce ognisko substancję, służącą do zasilania własnego ich światła.

Unikajmy postępowania na modłę owego legendowego latarnika, który rozdawał mieszkańcom biednych chat sąsiednich olej z wielkiej latarni, mającej rzucać snopy światła na wody oceanu. Każda dusza jest w swoim środowisku strażniczką latarni więcej lub mniej użytecznej.

Najnędniejsza matka, którą przygnębiają, pochłaniają i zupełnie unicestwiają najcenniejsze jej obowiązki macierzyńskie, daje światło swe biednym, a własne dzieci jej cierpieć będą przez całe życie, że dusza ich matki nie przejrzała tak, jak mogła była przejrzeć. Siła niematerialna, płonąca w naszym sercu,

powinna przedewszystkiem płonąć dla siebie samej. Za taką tylko cenę płonąć będzie ona i dla innych. Chociażby lampka twoja była najmniejszą, dawaj tylko płomień, który ją wieńczy, nigdy zaś i nikomu nie udzielaj oleju, który ją zasila.

LXX.

Nie ulega wątpliwości, że altruizm pozostanie zawsze punktem ciężkości dusz szlachetnych; dusze silne jednak odradzają się w nim, słabe zaś giną. Na tem polega cała różnica. Zamiast kochać bliźniego jak siebie samego, należy raczej kochając go, kochać w nim samego siebie. Istnieje rodzaj dobroci, poprzedzającej pewne osobniki, istnieje inny jej rodzaj, który kroczy za innymi osobnikami. Istnieje dobroć, która wypuje, istnieje też dobroć, która zasila. Nie zapominajmy, że w stosunku wzajemnym dusz, nie zawsze wspaniałomyślni są te, które uważają za swój obowiązek wieczne składanie ofiar. Dusza silna bierze bezustannie, nawet od najbiedniejszych, zaś dusza słaba daje zawsze, nawet najbogatszym; istnieje jednak sposób dawania, będący pożądanym pozbawionem odwagi i gdyby siła wyższa przyszła, aby dokonać obrachunku, przekonalibyśmy się może, że biorąc, dajemy właściwie, dając zaś, odbieramy. Zdarza

się często, że dusza przeciętna wzrastać zaczyna dopiero od chwili, kiedy spotkała inną duszę, która z niej czerpie.

LXXI.

Dlaczego nie mielibyśmy wyznać przed samymi sobą, że prawdziwy obowiązek nie polega na ronieniu łez wraz z tymi, którzy płaczą, ani na cierpieniu ze wszystkimi tymi, którzy cierpią, ani też na ofiarowaniu przechodniom swego serca, aby je mogli ranić lub koić? Płacz, cierpienie, rany — o tyle tylko są dla nas zbawienne, o ile nie zniechęcają nas do życia. Nie zapominajmy nigdy, że — niezależnie od posłannictwa naszego na ziemi, od celu naszych usiłowań i naszych nadziei, oraz od wyniku naszych cierpień i radości jesteśmy przede wszystkim ślepymi depozytaryuszami naszego życia. Jest to jedyną rzeczą bezwzględnie pewną, jedynym stałym punktem ludzkiej etyki. Niewiadomo, w jakim celu dane nam zostało życie, zdaje się być jednak rzeczą oczywistą, że nie w celu osłabienia go lub niweczenia. Jesteśmy nawet przedstawicielami szczególniejszego zupełnie rodzaju życia na naszej planecie: życia myśli i życia u czuć; dlatego też niemoralnem jest prawdopodobnie wszystko, co przyczynia się do osłabienia siły myśli i ostudza-

nia żaru uczuć. Starajmy się więc zagrzewać, upiększać, pobudzać i potęgować tę siłę, przede wszystkim zaś, umacniajmy naszą wiarę w potęgę, wielkość i w przeznaczenie człowieka. Co prawda, mógłbym równie dobrze powiedzieć: w jego bezsilność, małość i nędzę. Jednakowo silne budzi uczucia wielkość nędzy jak wielkość szczęścia. Mniejsza zresztą o to, czy wydaje nam się godnym podziwu i zachwytu człowiek, czy wszechświat, byleby coś budziło nasz zachwyty oraz potęgowało nasze poczucie bezmiaru. Gwiazda, którą odkrywamy, niejednym z bogactw promieniem światła myśli uczuć i zapala człowieka. Wszystko, cokolwiek dostrzegamy pięknego w otaczającym nas świecie, jest już piękne w naszym sercu, wszystko, co znajdujemy wielkiego i godnego podziwu w nas samych, znajdujemy jednocześnie w sercach innych. Jeżeli dusza moja, budząc się dzisiaj rano, odnalazła pomiędzy ideami swojej miłości — myśl, która ją zbliża do bóstwa, będącego prawdopodobnie — jak to już powiedzieliśmy, najpiękniejszym tylko jej dążeniem — dostrzegam kiełkowanie tej myśli w nędzarzu, przechodzącym pod moim oknem i kocham go goręcej jedynie dzięki temu, że lepiej go poznałem.

Nie sądzmy, że miłość taka jest bezowocna; dzięki garstce bowiem ludzi, którzy kochać będą w ten sposób coraz goręcej, człowiek pozna kiedyś, jaką powinien obrać drogę. Miłość uświadomiona i nieskończona zrodzi prawdziwą moralność. Miłosierdzie w wielkim stylu—to uszlachetnianie.

Nie mogę jednak uszlachetnić ciebie, dopóki sam się nie uszlachetniłem, nie mogę cię wielbić, jeżeli nie odnalazłem jeszcze w samym sobie nic godnego uwielbienia. Kiedy spełniam czyn szlachetny, najlepszą nagrodą, jaką mi czyn ten zapewnia, będzie coraz bardziej niezwalczona, coraz naturalniejsza pewność, że i ty jesteś w stanie postąpić tak samo. Każda myśl, podnosząca moje serce, potęguje we mnie miłość i szacunek dla istoty ludzkiej. W miarę, jak coraz wyższych sięgam szczytów, wznosisz się i ty wraz ze mną. Gdybym zaś, chcąc cię kochać, podciął skrzydła mojej miłości z tego jedynie względu, że twoja miłość nie posiada jeszcze skrzydeł, powiększyłbym tylko ilość niepotrzebnych skarg i lez na świecie, a jednak miłość nie postąpiłaby ani o krok naprzód na drodze ku szczytom. Kochajmy zawsze z najbardziej wyniosłych wyżyn, do jakich dotrzeć możemy.

Nie kochajmy przez litość, skoro można kochać przez miłość, nie wybaczajmy przez

dobroć, kiedy można wybaczać przez sprawiedliwość; nie starajmy się pocieszać, można bowiem nauczyć się szanować. Usiłujmy doskonalić bezustannie jakość miłości, którą ofiarowujemy ludziom. Jedna czara tej miłości, napełniona na wyżynach, warta jest stu innych, zaczerpniętych w stojącej wodzie zwykłego miłosierdzia. A gdyby nawet ten, którego kochasz już nie przez litość, albo też wprost z powodu wylewanych przez niego łez, miał do końca nie wiedzieć, że kochasz go w tej chwili jedynie dzięki temu, iż uszlachetniłeś go i podniosłeś wraz z sobą, nie miałyby to ostatecznie żadnego znaczenia. Uczyniłeś to, co było dostępne twojej sferze pojęciowej, jako człowieka najlepszego, a przecież i najlepszy nawet może nie okazać się użytecznym. Czy nie należy tak zawsze postępować w życiu, jak gdyby bóstwo, do którego dążą najszlachetniejsze pragnienia naszego serca, nieustannie miało nas na oku?

LXXII.

Powróćmy jednak do wielkich niepojętych praw. Niedawno w straszliwej katastrofie *) los przejawiał raz jeszcze, w sposób

*) Pożar bazaru dobroczynności w Paryżu (4-go Maja 1897 r).

bardziej uderzający niż kiedykolwiek to, co ludzie zwą jego niesprawiedliwością, jego zaślepieniem czy też niezawisłością. Zdawało się, że celowo niejako ukarał on jedyną z cnót zewnętrznych, jaką pozostawił nam rozum, mianowicie miłość bliźniego. Prawdopodobnie znajdowało się na miejscu fatalnego wypadku kilka istot niedoskonale sprawiedliwych; nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że pomiędzy ofiarami był jeden chociażby człowiek prawdziwie i bezsprzecznie sprawiedliwy. Ta niewątpliwa prawie obecność tego jednego sprawiedliwego nasuwa — w całej jego surowości — straszne pytanie, od którego postawienia nie możemy się powstrzymać. Gdyby na miejscu katastrofy nie było jednego chociażby człowieka bezwzględnie sprawiedliwego, moglibyśmy sobie powiedzieć, że nie wiemy, jaka suma wyższej sprawiedliwości złożyła się na niesprawiedliwość, która wydaje nam się potworną.

Moglibyśmy sobie powiedzieć, że to, co na tym świecie nosi nazwę miłosierdzia, jest tylko może zbyt zuchwałym kwiatem stałej niesprawiedliwości.

Człowiek nie może zdecydować się wierzyć, że we wszystkim, co zachodzi na zewnątrz niego, musi walczyć i liczyć się jedynie z faktami i siłami ślepiemi: wodą,

ogniem, powietrzem, prawami ciężenia i kilkoma jeszcze innymi. Czujemy potrzebę uniewinniania trafia—a nawet kiedy wyraźnie oskarżamy go, czy nie robi to raczej wrażenia, jakgdybyśmy uniewinniali przeszłą i przyszłą jego działalność? doznajemy bowiem takiego samego przykrego zdziwienia, jakiego doświadczamy, dowiadując się o niskim i podłym czynie, popełnionym przez człowieka lepszego. Wyobrażnia nasza stwarza chętnie traf idealny, sprawiedliwszy od nas samych—a kiedy zdarza mu się popełnić niewytłomaczoną niesprawiedliwość, to, po przeminieciu pierwszego zdumienia, nanowo zaczynamy w głębi serca ufać mu, przekładając sobie, że nie wiemy wielu rzeczy, o których on wie i że musiał on ulegać widocznie prawom, jakich nie jesteśmy w stanie zgłębić. W zbyt czarnych widzielibyśmy świat kolorach, gdyby traf nie miał być moralnym. Przypuszczenie, że nie miałyby istnieć sprawiedliwość i moralność, czuwające nad identycznymi naszymi cnotami, wydawałoby się nam zaprzeczeniem wszelkiej moralności i sprawiedliwości. Odrzucamy ciasną i niską etykę kar i nagród, jaką darzą nas wszystkie wiary pozytywne, zapominamy jednak, że gdyby traf posiadał najdrobniejsze poczucie sprawiedliwości, nie byłaby wcale rzeczą

możliwą wymarzoną przez nas wzniosła i bezinteresowna moralność. O ile nie jesteśmy przekonani, że traf bezwzględnie pozabawiony jest iskry sprawiedliwości, sprawiedliwość nasza żadną nie jest już zasługą. Odrzucamy ideały świętych—i jesteśmy przekonani, że spełnianie swojego obowiązku w nadziei otrzymania za to nagrody—choćby w postaci zadowolenia ze spełnionej powinności—musi mieć w oczach mądrego bóstwa wartość, równą niemal wartości zła, jakie czynimy dla tego jedynie, że przynosi nam ono korzyść. Powiadamy sobie chętnie, że jeśli bóstwo to równie jest wzniosłe, jak najwznioślejsza idea, jaką natchnęło ono dusze najlepszych z pośród nas, powinniśmy ono usuwać wszystkich ludzi, chcących mu się przypodobać t. j. takich, którzy nie czynili dobra bez względu na spodziewaną nagrodę i nie kochali cnoty bardziej nawet niż samo bóstwo. W rzeczywistości jednak, wobec najdrobniejszego wydarzenia, spostrzegamy się, że zaledwie wyszliśmy z powijaków „czynnej moralności“, bajek dziecińczych, w których wszystkie występki zasłużoną odbierają karę. Przydałyby się nam naodwrot „zbiory karanych enót“. Byłyby one pożyteczniejsze dla prawdziwych dusz i podniecałyby bardziej ambicyę i energię czynienia dobrze. Nie zapo-

minajmy, że właśnie ta niemoralność trafu powinna zrodzić piękniejszą, czystsza jeszcze moralność. I tutaj, jak zawsze, im bardziej człowiek czuje się pozostawionym samemu sobie, tem snadniej odnajduje właściwą istotcie swojej siłę. Najbardziej zatrważa nas w tych wielkich niesprawiedliwościach—konieczność powątpiewania o istnieniu wyższego prawa moralnego; zapominamy jednak, że ta właśnie negacya rodzi bezpośrednio jeszcze wyższe prawo moralne. Wraz z odrzuceniem kary i nagrody powstaje konieczność czynienia dobrze dla samego dobra.

Nie niepokojmy się nigdy, kiedy prawo moralne zdaje się zanikać; zawsze stoi po zaniem na pogotowiu inne, wznioślejsze jeszcze prawo. Wszystko, czem z bogacamy moralność losu, odjęte przez nas zostało własnemu naszemu najczystsiejemu ideałowi moralnemu. Wprost przeciwnie, im głębiej jesteśmy przekonani, że los nie jest sprawiedliwym, tem bardziej rozszerzamy i oczyszczamy w oczach naszych dziedzinę doskonałej moralności. Nie wyobrażamy sobie, aby podstawy cnoty miały zapadać się dla tego, że siła wyższa wydaje nam się niesprawiedliwą. Widoczna ta właśnie niesprawiedliwość opatrności stanowiłaby dla

cnoty ludzkiej źródło podstaw niewzruszonych.

LXXIII.

Zgódźmy się na obojętność natury w stosunku do mędrca. Obojętność ta dla tego jedynie zadziwia nas, że nie jesteśmy sami dostatecznie mądrzy; jeden bowiem z obowiązków mądrości polega na możliwie dokładnem i skromnem zdawaniu sobie sprawy z miejsca, jakie istota ludzka zajmuje we wszechświecie.

Człowiek wydaje się równie wielkim w swojej sferze, jak wielką wydaje się pszczoła na komórce swojego plastra; niedorzecznością byłoby jednak przypuszczać, że jeden chociażby kwiat jeszcze otworzy na błoniach swój kielich dlatego tylko, że królowa pszczoł była bohaterką w swoim ulu. Nie sądźmy, że rola nasza maleje wraz z podnoszeniem się znaczenia wszechświata. Niezależnie od tego, czy my sami, czy świat cały wydaje się nam wielkim, poczucie bezmiaru, które jest niejako krwią wszelkiej cnoty, zapęłniać będzie jednako naszą duszę.

Na czem polegałyby czyny cnotliwe, gdyby pełnione one były w nadziei nadzwyczajnych nagród? Nagród tych należałoby szukać nie w prawach równowagi wszech-

świata, ale w nas samych. Zapłaty za czynione dobro żądają ci tylko, którzy nie wiedzą, co to jest właściwie dobro. Przedewszystkiem nie zapominajmy, że akt cnoty jest zawsze aktem szczęścia. Jest zawsze kwiatem, zrodzonym przez długie wewnętrzne szczęśliwe i zadowolone życie. Każę zawsze przypuszczać długie godziny i dni spoczynku na darzących najwyższym spokojem wyżynach naszej duszy. Żadne, następujące po nim, wynagrodzenie nie dorówna cichej, poprzedzającej go, nagrodzie. Sprawiedliwy, ginący w katastrofie, o której przed chwilą wspomniałem, znalazł się tam jedynie dlatego, że dobro stało się dla duszy jego źródłem równowagi i spokoju, jakiego nigdy nie mogłyby mu dać szczęście, sława i miłość. Gdyby wobec istot takich gasły płomienie, rozstępowały się wody i śmierć nawet wahała się niekiedy, czem staliby się od takiej chwili bohaterowie i sprawiedliwi? Na czem polegałaby jasna strona cnoty, która całkowite swoje szczęście zawdzięcza jedynie temu, że jest czystą i szlachetną, jest zaś taką jedynie dlatego, że nie liczy na żadną nagrodę? Czynienie dobrze w imię jakiegoś celu jest źródłem roskoszy ludzkiej, rokosz boską zaś daje czynienie dobrze bez widoków jakiegokolwiek ztąd korzyści. Wiadomo jest w ogół-

nych zarysach, w imię czego spełnia się czyny cnotliwe; im mniej dokładnie jednak wie się, jaki jest powód i cel pełnionego dobra, tem dobro to jest czyściejsze. Chcąc przekonać się, jaka jest wartość sprawiedliwego, zapytajmy go, dlaczego postępuje sprawiedliwie; prawdopodobnie ten, kto najmniej będzie miał do powiedzenia, będzie najdoskonalej sprawiedliwym.

Możliwą jest rzeczą, że w miarę wzrastania inteligencji zdaje się maleć liczba przyczyn, skłaniających duszę do bohaterstwa, rozum jednak nabiera jednocześnie przekonania, że jedynym dlań ideałem staje się bohaterstwo coraz bardziej ukryte i coraz bardziej bezinteresowne.

W każdym razie, ten, kto pragnąc spotęgować cnotę, domaga się jednocześnie sankcji losu i świata—nie ma jeszcze właściwego poczucia cnoty. Prawdziwie dobrze postępujemy wówczas tylko, kiedy czynimy dobro dla nas samych, nie pragnąc niczego więcej ponad coraz głębsze poznanie istoty dobra. „Mając za jedyne go świadka serce“—powiada Saint-Just.—Mniemam, że w oczach Boga znaczna musi zachodzić różnica pomiędzy duszą człowieka, przekonanego, że promienie aktu cnoty bezgraniczne ogarniają przestrzeń—a duszą tego, kto powiada sobie, że promienie te prawdopodobnie nie

są w stanie wyjść po za granicę własnego jego serca. Prawda zbyt śmiała—z konieczności więc wątpliwa—może darzyć przez chwilę większą siłą, prawda zaś bardziej skromna i bardziej ludzka daje zawsze siłę trwalszą i poważniejszą. Czy należy być żołnierzem, przekonanym, że każdy z jego ciosów zapewnia zwycięstwo, czy też tym, który wie, jak drobną jest jednostką w gromadzie — a jednak walczy z równym jak pierwszy bohaterstwem? Człowiek prawy nie byłby zdolny do oszukiwania bliźniego, bez wahania jednak uznaje, że oszukiwanie samego siebie jest czynem cnotliwym.

Powróćmy atoli do zawodów, jakich doznaje sprawiedliwy. Wierzę, że najlepszy z pośród nas szukałoby innego szczęścia, gdyby cnota przynosiła korzyści—i los pozbawiłby jednostki te wielkiego celu ich życia, gdyby często je wynagradzał. Prawdopodobną jest rzeczą, że niema nic koniecznego, nic niezbędnego; że gdyby dusza przestała doznawać roskoszy czynienia dobrze dla samego dobra, znalazłaby ona roskosz inną, bardziej jeszcze czystą; ponieważ jednak dotychczas jest ona właśnie najpiękniejszą, jakiej człowiek zaznać może, nie mamy jej więc bez przyczyny. Nie tykajmy

bez powodu nieszczęść, spadających na ludzi cnotliwych, moglibyśmy bowiem przez to samo zamącić najczyściejszą treść ich szczęścia. Dusze, dla których szczęście takie w całej pełni jest dostępne, takiego samego doznałyby zdumienia, gdyby chciano je wynagrodzić, jak inne dziwiłyby się, gdyby pomyślano o karaniu nieszczęścia. Tylko ludzie, którzy nie żyją sprawiedliwością, zawsze się na nią uskarżają.

LXXIV.

Mądrość indyjska ma słuszość, mówiąc: „Pracuj, jak pracują ludzie, ubiegający się o chwałę. Szanuj życie, jak je szanują ci, którzy żyją dla samej rokoszy życia“.

Stanowi to właśnie punkt wytyczny mądrości ludzkiej. Postępować tak, jakgdyby krok każdy darzył nas wiecznym i niezwykłym owocem—a jednak wiedzieć, jak drobną jest rzeczą czyn sprawiedliwy w obliczu wszechświata. Mieć poczucie nierówności — a jednak kroczyć tak, jakgdyby równość stosunków była rzeczą powszechną u ludzi. Nie tracić z oczu wszechświata—a przecież poruszać się w swoim małym światku z taką ufnością, powagą, głębokim przekonaniem i zadowoleniem, jakgdyby mieścił on w sobie cały wszechświat. Czy uluda koniecznym jest warunkiem podtrzymywania

naszego dążenia ku dobru? Gdyby tak było, należałoby wyznać, że dążenie to nie jest zgodne z naturą ludzką. Nierozwagą byłoby przypuszczenie, że serce wierzy długo w to, w co przestał już wierzyć rozum. Rozum natomiast wierzyć może w rzeczy, mieszczące się w sercu, które stanowi nawet najprostsza dla rozumu ucieczkę za każdym razem, kiedy ponure cienie nocy zasnują jego dziedzinę. Rozum bowiem jest w stosunku do serca jasno na rzeczy patrzącem, choć zbyt młodem dzieckiem, któremu często potrzebne są rady nieświadomej, uśmiechniętej matki. Nadchodzi chwila w życiu, kiedy piękno moralne zdaje się niezbędniejszem niż piękno umysłowe. Nadchodzi chwila, kiedy wielkość duszy stanowić musi ujście dla wszystkich zdo- byczy umysłu, którym w przeciwnym razie groziłaby nędzna śmierć na równinie, podobnie jak marnie wysycha strumień, niezna- dujący drogi do morza.

LXXV.

Nie pozwalajmy sobie jednak na żadną przesadę, kiedy idzie o mądrość, nawet gdyby to, co mówimy, największą było mądrością. Jeżeli nawet człowiek' zacny nie zawsze może rozkazywać siłom zewnętrznym w każdym razie od woli jego zależna jest

większość potęg wewnętrznych; — wszystkie zaś prawie ludzkie szczęścia i nieszczęścia są dziełem tych ostatnich. Powiedzieliśmy na innem miejscu, że zjawienie się mędrca przerywa tysiące dramatów: istotnie przerywa on je, dzięki samej swojej obecności, o ile zrodził je błąd lub zło. Ma on moc przerywania ich w samym sobie i zapobiegania zrodzeniu się ich dokoła siebie. Ludzie, którzy byliby popełnili tysiące czynów złych lub szalonych, powstrzymali się od nich dzięki temu, że spotkali na swej drodze istotę, obdarzoną jasną i żywą mądrością, większość bowiem charakterów, spotykanych w życiu, ma cechy istnień przypadkowych, które—zależnie od trafu—utrzymują się na szlaku cierpienia lub spokoju.

Dokoła Jana Jakóba Rousseau'a np. wszystko jęczy i zdradza, wszystko pełne jest wykrętów i utajonych myśli, wszystko zdaje się błędzić; dokoła zaś Jean Paul'a wszystko tchnie uczciwością, wszystko szlachetne jest i jasne, pełne ukojenia i miłości. Wszystko, nad czem potrafimy zapanaować w nas samych, staje się również zależnem od naszej woli we wszystkich, którzy się do nas zbliżają. Dokoła człowieka sprawiedliwego tworzy się wielki cichy krąg, przez który z czasem przestają przedostawać się zatrute strzały zła. Cierpienia mo-

ralne którym udaje się przekroczyć kręgu tego granice, nie są już zależne od ludzi. Co prawda złośliwość ich może — w dosłownem pojęciu tego znaczeniu — wycisnąć łzy z naszych oczu w tej tylko dziedzinie, w której nie przestaliśmy jeszcze pragnąć łez naszych nieprzyjaciół. Jeżeli przejawy zazdrości krwawią nasze serce, znaczy to, że i my sami zdolni bylibyśmy do podobnych przejawów a jeżeli płaczymy z powodu zdrady, podejrzywać należy, że i w nas nie zanikł jeszcze zupełnie popęd do zdradzenia. Duszy zadać może cios krwawy tylko broń ostra, której nie rzuciła ona jeszcze na wielki stos miłości.

LXXVI.

Co się tyczy dramatów, od jakich nie jest wolne i dobro także, odgrywają się one na scenie, którą kryje tajemnicza zasłona zarówno przed okiem mędrca, jak i przed okiem innych ludzi. Dostrzegamy tylko ich rozwiązanie, nie wiemy jednak, w jakim mroku czy w jakim świetle przygotowywało się ono. Sprawiedliwy może liczyć na to jedynie, że los dosięgnie go przy spełnianiu czynu miłosierdzia lub sprawiedliwości. Cios spaść może na niego tylko w chwili, gdy będzie się znajdował w stanie łaski — wedle wyrażenia chrześcijańskiego -- czyli

w stanie wewnętrznego szczęścia. Już to samo równa się zamykaniu wszystkich wrót przed złem przeznaczaniem wewnętrznem oraz większości wrót przed trafem zewnętrznym

Władza cierpienia moralnego słabnie w miarę, jak coraz wyższem staje się pojęcie nasze o obowiązku i o szczęściu—a czy nie na tem polega najbardziej despotyczna władza losu? Szczęście nasze zależy ostatecznie od naszej swobody wewnętrznej. Wolność ta wzrasta, kiedy czynimy dobrze, maleje zaś, kiedy postępujemy źle. Marek—Aureliusz, bynajmniej nie w przenośni, ale bardzo realnie, wyzwala się za każdym razem, kiedy odnajduje źródło nowej prawdy w pobłażaniu, ilekroć przebacza lub myśli. Macbeth jeszcze realniej przykuwa się do każdej ze swoich zbrodni. Wszystko, co taką jest prawdą wielkiego dramatu na dworze królewskim oraz wielkiej cnoty w życiu bohatera, zarówno prawdziwie dotyczy najzwyklejszych błędów i wszystkich nieznaných cnót pospolitego życia. Pełno dokoła nas przyszłych Marków Aureliuszów i niedoszłych Macbethów. Jakkolwiek nasze pojęcie dobra bardzo jest jeszcze niedoskonałe, jednakże, rozstając się z niem chociażby na chwilę, oddajemy się tem samem w ręce złowrogich potęg zewnętrznych. Zwyczajne kłamstwo, popełnione

względem siebie samego, ukryte w ciszy własnego serca, może zadać swobodzie wewnętrznej człowieka taki sam śmiertelny cios, jak zdrada, dokonana na placu publicznym. Z chwilą zaś, kiedy swoboda wewnętrzna została naruszona, los zyskuje przewagę nad moją wolnością zewnętrzną, podobnie jak dziki zwierz skrada się wolnymi krokami do ofiary, na którą czychał już oddawna.

LXXVII.

Czy istnieje dramat, w którym jednostka doskonale piękna i skończenie mądra cierpiałyby równie głęboko jak osobnik zły? Zdaje się być rzeczą ściśle stwierdzoną, że na tym świecie zło pociąga za sobą karę daleko pewniej, aniżeli dobro — nagrodę. Co prawda, występek sam zazwyczaj wymierza sobie karę przy wtórze dzikich wrzasków, cnota zaś wynagradza się w ciszy, która jest niedostępnym ogrójcem jej szczęścia. Zło wreszcie wyradza gwałtowne katastrofy, czyn cnotliwy zaś jest milczącą ofiarą, złożoną na ołtarzu najgłębszych praw bytu ludzkiego. W tem szukać zapewne należy przyczyny, dla której szala sprawiedliwości zdaje nam się przechylać raczej w stronę mroku, aniżeli w stronę światła. Jeżeli wątpliwą jest rzeczą, aby naprawdę istnia-

to szczęście w pełnieniu czynów występnych, czy miałyby zdarzać się częściej „nieszczęście przy życiu cnotliwem“? Wyłączmy przedewszystkiem cierpienia fizyczne, przynajmniej takie, których źródło ukryte jest w najnieodstępniejszej kniei trafu. Nie ulega wątpliwości, że zgraja oprawców mogłaby rozciągnąć Spinozę na łożu tortur, i że nie nie byłoby w stanie opanować najdotkliwszych chorób, które mogłyby spaść, zarówno na Antonjusza - Piusa, jak na Reganę i Gonerilę?

Nie jest to już ludzkim ale zwierzęcym udziałem cierpienia. Nie zapominajmy jednak, że mądrość wysyła wiedzę, najmłodszą z sióstr swoich, której zadaniem jest uszczuplanie z dnia na dzień — w dziedzinie, zagarniętej przez los — granic królestwa cierpień fizycznych. Pomimo wszystko jednak pozostanie zawsze w królestwie tem niedostępny kącik, w którym nie nie będzie w stanie osłabić władzy złowrogięgo trafu. Zawsze istnieć będzie pewna liczba ofiar, nie dającej się naprawić, niesprawiedliwości; o ile zaś zasmuca nas sam fakt istnienia podobnej niesprawiedliwości, zapewnia on nam jedną przynajmniej korzyść, uczy nas bowiem przypisywania mądrości bardziej ludzkiej, dumnej i rzeczywistej — tego, co odejmujemy mądrości zbyt tajemniczej.

Prawdziwie, sprawiedliwymi stajemy się z tą dopiero chwilą, kiedy skazani jesteśmy na szukanie w nas samych pierwowzoru sprawiedliwości. niesprawiedliwość losu wskazuje zresztą człowiekowi właściwe jego miejsce w naturze. Nie jest bynajmniej rzeczą zbawienną, aby oglądał się on wciąż dokoła siebie, jak dziecię, szukające jeszcze matki. Nie sądźmy, aby zawody te miały być źródłem zniechęcenia moralnego.

Najbardziej zniechęcająca na pozór prawda odmienną tylko nadaje postać odwadze tych, którzy umieją przyjmować ją. W każdym razie prawda nawet zniechęcająca, już przez to samo, że jest prawdą, zawsze więcej jest warta niż najpiękniejsze, zachęcające kłamstwo. To, co odstrasza słabych, zachęca i umacnia silnych: „Myślę o owym dniu naszej miłości—pisze pewna kobieta—kiedy przez szerokie okno, z którego otwierał się widok na morze, oglądaliśmy, ukazujące się na widnokręgu, niezliczone szeregi białych łodzi, zawijających cicho do portu, nad którym mieszkaliśmy... O, jak wrył mi się w pamięć ten dzień... Czy przypominasz sobie, że jedna jedyna barka miała czarny żagiel i że ona ostatnia właśnie przybiła do portu? Czy pamiętasz, że gdy zbliżała się godzina odjazdu, chwila przykra dla nas bardzo, postanowiliśmy, iż przyplyniecie ostat-

niej łodzi będzie dla nas sygnałem do odwrotu? Ten szczególny traf, ubierający ostatnią łódź w symbol żałoby, mógł być dla nas źródłem melancholii. Jako prawdziwi jednak kochankowie, pogodzeni z życiem, przyjęliśmy fakt ten z uśmiechem i raz jeszcze odnaleźliśmy wzajem w sobie nasze dusze“.

Otóż tak właśnie należałoby czynić w życiu. Niezawsze łatwo jest przyjmować z uśmiechem zbliżające się czarne łodzie, można jednak znaleźć w życiu coś, co rozciąga swą władzę nad nami, nie zasmucając nas, podobnie jak miłość rządziła ową kobietą, nie dopuszczając jednak smutku do jej serca. W miarę jak myśl i serce coraz szersze ogarniają kręgi, mówią one coraz rzadziej o niesprawiedliwości. Należałoby mówić sobie, że wszystko, cokolwiek dzieje się na tym świecie, dzieje się z największą korzyścią dla nas, którzy jesteśmy owocem tego świata. Prawo ogólne, wydające nam się okrutnem, musi bardziej jednakże odpowiadać naszej istocie, aniżeli wszystkie najlepsze prawa, jakie mogłaby stworzyć sobie nasza wyobraźnia. Nadszedł prawdopodobnie już czas, kiedy człowiek musi nauczyć się szukania głównego punktu swojej pychy i swoich roskoszy po za sobą samym. Wraz z otwieraniem się oczu

naszych czujemy, że rządzi nami siła, olbrzymiejąca wciąż w naszym pojęciu, zarazem jednak nabieramy pewności coraz głębszej, że sami stanowimy część tej siły; i nawet, kiedy spadają na nas, wymierzone przez nią, ciosy, możemy podziwiać ją, podobnie jak Telemak, będąc dzieckiem, podziwiał siłę ojcowskiego ramienia.

Przyzwyczajajmy się powoli do przypatrywania się nieświadomości natury z takim samym zaciekawieniem i z takim samym pełnym rozczuleniem i zadowoleniem podziwem, jakiego doznajemy nieraz, biorąc pod uwagę niezwykłe przejawy naszej własnej nieświadomości. I cóż to szkodzi, że oświecimy drobną pochodnią naszego rozumu zakamarki tego, co zwiemy nieświadomością wszechświata lub naszą własną? I jedna i druga jednak ściśle są z nami związane. „Po za poczuciem naszej władzy—powiada Guyau — jednym z najwyższych przywilejów człowieka jest uświadomienie sobie bezsilności swojej, przynajmniej jako jednostki. Nierówność stosunku, zachodzącego pomiędzy nieskończonością, która nas zabija—a okrucieństwem, jakim jesteśmy my sami,—rodzi w nas pewne poczucie wielkości: wolimy być zmiażdżeni przez górę, aniżeli przez kamyk; na wojnie wolelibyśmy zginąć w walce przeciwko tysiącu, aniżeli

przeciwno jednemu. Rozum, ukazując nam, że tak powiem, bezmiar naszej bezsilności, osłabia żal nasz z powodu doznanej porażki“.

Kto wie? zdarzają się już chwile, kiedy to, co odnosi nad nami zwycięztwo, zdaje się bliżej nas obchodzić, aniżeli zwyciężona cząstka nas samych. Nic nie zmienia tak łatwo swego ogniska, jak miłość własna, instynkt bowiem ostrzega nas, że nic nie jest mniej od nas nieodłącznem. Miłość własna dworzan, otaczających potężnego króla, niechybnie szukać będzie wspanialszego schronienia we wszechpotędzie swego pana a upokorzenie, jakie spaść może na głowę władcy z wyżyn innego, groźnego dlań, tronu, tem słabszy zadaje cios ich dumie, im wyżej stoi tron, z którego ono spada. Gdyby natura stała się nam obojętniejszą, nie wydawałaby się nam już ona dostatecznie wielką. Dla naszego poczucia nieskończoności niezbędny jest cały jej bezmiar, cała jej obojętność, aby mogło ono rozwijać się swobodnie — i jest coś w duszy naszej co będzie wolało płakać czasem w bezbrzeżnym obszarze, aniżeli doznawać wiecznej szczęśliwości w małym, ograniczonym światku.

Gdyby los był stale sprawiedliwym względem mędrca, byłoby to bezwątpienia zjawiskiem doskonałem już przez sam fakt swojego

istnienia skoro zachowuje się on jednak obojętnie jest to lepiej jeszcze a może nawet wzniosłej; i w każdym razie nadaje wszechświatowi wysokie znaczenie, jakiego pozbawia przejawy własnej mędrca duszy. Nic na tem nietracimy, ponieważ żadna wielkość, niezależnie od tego, czy tkwi ona w naturze czy też w głębi serca mędrca, nie zostaje dla niego straconą. Po cóż mamy niepokoić się tak stanowiskiem, jakie zajmuje nieskończoność? Wszystko, cokolwiek mogłaby zdobyć z niej jednostka, należeć będzie jedynie do tego, kto ją podziwia i wielbi.

LXXVIII.

Czy pamiętacie powieść Balzac'a, pod tytułem: „Pieretta“ w seryi *B e z z e n n y c h*? Nie jest ona co prawda jednym z arcydzieł tego pisarza, to też zajmuje nas nie ze względu na literackie swoje zalety. Autor przedstawia w niej słodką i niewinną sierotę bretońską, którą zła gwiazda porywa pewnego dnia uwielbiającym ją dziadkowi i babce, zakopując ją gdzieś w głębi prowincyi, w smutnym domu wuja i ciotki, pana Rogron oraz jego siostry, panny Sylwii, kramarzy, którzy wycofali się z handlu, oschłych i ponurych mieszczuchów, głupio próżnych i skąpych, żyjących

w stanie beżennym, niespokojnych, zgryźliwych, pełnych bezwiednej nienawiści.

Z chwilą wejścia do domu krewnych, rozpoczyna się męczeństwo cichej i kochającej Pieretty. Wchodzą w grę kwestye pieniężne: przewidywanie oszczędności, związki małżeńskie, których trzeba uniknąć, zadowolenie próżności, obalenie zapisów, i t. p. Sąsiedzi, przyjaciele Rogronów, przypatrują się obojętnie, stale znoszonym przez niefortunną ofiarę, katuszom — a instynkt ich naturalne dyktuje im zadowolenie ze zwycięstwa strony silniejszej. Wszystko kończy się smutną śmiercią Pieretty, tryumfem Rogronów, wstrętnego adwokata Vinet'a oraz tych wszystkich, którzy im pomagali. Teraz nie już nie zakłóca szczęścia katów. Traf zdaje się nawet im sprzyjać—a Balzac, porwany pomimo woli siłą rzeczywistości, kończy—niejako z żalem—opis swój takim zdaniem: „Przyznajmy jednak, że legalność byłaby dla łotrostw społecznych piękną rzeczą, gdyby nie istniała siła wyższa“.

Nie potrzeba szukać w powieściach podobnego rodzaju dramatów. Odbywają się one codziennie wśród mnóstwa rodzin. To też zapożyczyłem przykład ten od Balzac'a jedynie dlatego, że zwykłe dzieje tryumfu niesprawiedliwości jaskrawie są w nim uwydatnione. Niema nic moralniejszego nad

podobne przykłady i może niesłusznie czyni większość moralistów, która osłabia pouczającą potęgę takich faktów, starając się możliwie wytłumaczyć niegodziwość losu. Jedni poruczają Bogu troskę wynagradzania niewinności, inni powiedzą, że w całej tej przygodzie na największą litość zasługuje nie sama ofiara. Mają oni niewątpliwie słuszność pod wieloma względami. Mała prześladowana, nieszczęśliwa Pieretta takiego zaznaje szczęścia, jakie obcem pozostanie nazawsze jej katom. Łzy nie pozbawiają jej słodyczy, łagodności i głębi uczuć, które więcej dają zadowolenia aniżeli oschłość serca, egoizm i nienawiść. Smutno jest kochać, nie będąc kochanym; nierównie jednak smutniej jest nie kochać wcale. Jakże można porównać potworne przyczyny zadowolenia, drobne, niskie i ciasne widoki osobiste Rogronów z wielką nadzieją, jaką żyje dusza tego dziecka, oczekującego końca niesprawiedliwości? Nie mamy żadnych dowodów, aby blade dziewczątko rozumniejszem było od swego otoczenia; ten jednak, kto cierpi niesprawiedliwie, stwarza sobie w cierpieniu swoim coraz szersze widnokręgi, graniczące na pewnych punktach z roskoszami, dostępnymi wyższemu umysłowi, podobnie jak widnokrąg ziemi, nie oglądany nawet ze szczytu góry, zdaje się

dotykać stropu nieba. niesprawiedliwość, jakiej się dopuszczamy, musi pozbawić nas wszelkich uciech po za drobnymi uciechami materyalnemi—i wówczas, kiedy zmuszeni jesteśmy wyłącznie na nich poprzestać, zaczynamy zazdrościć ofiarom naszym doznawania wszelkich roskoszy, które są dla nas niedostępne—a których nie możemy im odjąć,—słowem wszystkiego tego, co nie dotyczy bezpośrednio uciech zmysłowych.

Czyn niesprawiedliwy naoścież otwiera przed ofiarą te same podwoje, jakie kat zamyka przed własną swą duszą—a człowiek, który cierpi, czystojszem oddycha powietrzem, aniżeli ten, kto jest cierpień jego sprawcą. Sto razy jaśniej jest w sercu prześladowanych, niż w sercu tych, co prześladują. A czy cała siła i odporność szczęścia, nie zależy od pewnej jasności, jaka we własnej naszej tkwi duszy? Któż z nas — gdyby kazano nam wybierać — nie wolałby być na miejscu Pieretty, aniżeli na miejscu Rogron'ów? Nasz instynkt szczęścia czuje dobrze, że niepodobieństwem jest aby ten, kto moralnie ma słuszość, nie był szczęśliwszym od tego, kto nie ma racji, chociażby najświetniejsze nawet zajmował stanowisko. Co prawda, Rogronowie mogą nawet nie być świadomi popełnionej niesprawiedliwości. Małe to ma

jednak znaczenie, nie oddycha się bowiem swobodniej, będąc nieświadomym czynionego zła, aniżeli wówczas, kiedy się doskonale rozumie całą ohydę własnych czynów. Przeciwnie: ten, kto świadomie źle postępuje ma nieraz chęć wyrwania się z tego odętu, inni zaś giną w nim, nie wybiegłszy nawet myślą po za mury, smutnie kryjące przed nimi prawdziwe przeznaczenie człowieka.

LXXIX.

Po cóż szukać sprawiedliwości tam, gdzie nie może ona istnieć? Czyż jedynem, wyłącznym jej siedliskiem nie jest dusza nasza? Język, jakim przemawia ona, wydaje się naturalnym językiem rozumu ludzkiego; z chwilą jednak, kiedy rozum nasz krążyć chce po wszechświecie, innych musi dobrać wyrazów. Niema idei, bardziej obojętnej wszechświatowi, aniżeli idea sprawiedliwości. Zajmuje go tylko sprawa równowagi, to zaś, co zwiemy sprawiedliwością, jest przekształconemi przez ludzi prawami równowagi, podobnie jak miód jest tylko przeobrażeniem soków, zawartych w kwiatach. Po za człowiekiem niema sprawiedliwości. Ciało może rokoszować się źle na-

bytemi uciechami, dla duszy zaś dostępne są jedynie rozkosze, na jakie zasłużyła jej cnota. Nieskazitelnie nieprzedajny sędzia ocenia nasze szczęście wewnętrzne, usiłowanie bowiem przekupienia go równałoby się ujęciu pewnej jeszcze części ostatnich prawdziwych uciech, jakie zamierzał on złożyć właśnie na jasnej szali wag. Bolesne to oczywiście, że można ciemnieżyć—jak czynili Rogronowie—istotę słabą i niewinną i że można zatruwać w podobny sposób niewiele lat życia, jakie traf, rządzący wszechświatem, wyznaczył jej na ziemi. O niesprawiedliwości jednak mogłaby być mowa w takim razie tylko, gdyby czyny Rogronów były dla nich źródłem szczęścia, wewnętrznego spokoju, podniosłości myśli i obyczajów, równych tym, jakie cnota, rozpamiętywanie i miłość zapewniły Spinozie lub Markowi—Aureljuszowi. Można doświadczać, co prawda, pewnego zadowolenia umysłowego z czynienia zła, zacieśnia ono jednak myśl, więżąc ją w granicach spraw osobistych i przemijających. Popołniając czyn niesprawiedliwy, dajemy tem samem dowód, że nie osiągnęliśmy jeszcze szczęścia, jakie człowiek osiągnąć jest w stanie. Nawet w złem szuka człowiek koniec końców pewnego uspokojenia, pewnego rozkwitu własnej istoty. Może wydawać mu się, że jest

szcześliwym, o ile osiąga pożądaný rozkwit; czy jednak byłoby to szczęściem dla Marka — Aureljusza, który innych zaznał ukojeń, innego rozkwitu? Gdy przyprowadzamy dziecicę, które nie widziało jeszcze morza, na brzeg wielkiego jeziora, klaszcze ono radośnie w dłonie, sądząc, że jest to właśnie owo upragnione morze i niczego więcej już nie pragnie; czy jednak nie istnieje pomimo to prawdziwe morze?

Czy ten, czyje szczęście zależy od tysiąca drobnych zwycięstw, jakie odnosić musi codziennie zazdrość, próżność i oschłość serca, osiągnął w pojęciu ludzi, którzy zaznali innych uciech, szczęście niezasłużone? Czy zazdrościcie mu jego sposobu pojmovania życia; wiary, jaka wystarcza jego duszy oraz poglądu na wszechświat, jakiego każą się domyślać podobnego rodzaju troski? Wszystko to składa się przecież na szersze lub węższe, głębsze lub płytsze łożysko, jakim toczy się szczęście. Może wierzy on w to samo, w co wierzy i mędrzec: w istnienie siły wyższej, lub w jej brak; w to, że wszystko kończy się w tem życiu, że istnieje tylko materya lub tylko duch; czy sądzącie jednak, że wierzy w jednakowy z mędrcelem sposób? Czy szczęście, jakie czerpiemy w wierze, to znaczy: pewnośc życia, spokój i ufność bytu wewnętrznego, uznawanie nie

bierne, ale czynne, badawcze i synowskie—
praw natury nie zależy bardziej od rodzaju sa-
mej wiary, aniżeli od tego, w co się wierzy?
Mogę wierzyć z czcią religijną i nieskończo-
ną, że niema żadnej siły wyższej, że zjawie-
nie się moje na ziemi nie ma żadnego celu
po za samym moim bytem, że istnienie du-
szy mojej nie jest bardziej potrzebne
w gospodarce bezgranicznego świata, aniżeli
znikome odcienie płatków kwiatowych; ty
zaś żywić możesz powszednią wiarę, że je-
dyna i wszechpotężna istota kocha cię
i roztacza nad tobą opiekę — a pomimo to
ja mogę doznawać większego niż ty szczę-
ścia i spokoju, o ile moje zwątpienie jest
większe, głębsze i szlachetniejsze od
twojej wiary, o ile zawdzięczam je uważ-
niejszemu wsłuchaniu się we własną duszę;
o ile obejmuje ono szersze widnokreśli, o ile
podwaliną jego jest miłość głębsza, tuląca
szerszy świat pod swoje skrzydła. Istota
wyższa, której istnienie neguję, stanie się
potężniejszą i większe dającą ukojenie, ani-
żeli to, jakie daje ci twoja pewność. Raz
jeszcze zaznaczam, że wiara lub niewiara
żadnej nie odgrywają tu roli; najważniejszą
jest rzeczą szczerłość, wzniosłość, głębia
i bezinteresowność przyczyn, które rodzą
w umyśle naszym zwątpienie lub pewność.

LXXX.

Przyczyn tych nie wybiera się; zasługuje się na nie, jak na nagrody. Te, jakie obieramy, są tylko trafem kupionemi niewolnicami, które słabe zdradzają oznaki życia, nie zapszczają głębszych korzeni i szukają tylko okazji, aby uciec. Te zaś, na które zasłużyliśmy, silną są dla kroków naszych podporą—niby wierne i zadumane Antygony. Nie wtłacza się ich przemocą do duszy; muszą one długo w niej żyć, muszą przebyć w niej całe lata swego niemowlęctwa, wszystkie nasze myśli i wszystkie czyny nasze muszą je żywić, muszą odnajdować w niej tysiące wspomnień życia szczerzego i pełnego miłości. W miarę doskonalenia się tych przyczyn, w miarę rozszerzania się widnokregu naszej duszy, rozszerza się zarazem widnokrąg naszego szczęścia; poruszać się ono może bowiem jedynie w przestrzeni, jaką zajmują nasze myśli i uczucia. Szczęściu naszemu niepotrzebny jest świat materyalny, świat zaś moralny, jaki się przed niem roztacza, nigdy nie jest dość wielki. Należy wciąż starać się rozszerzać go, dopóki nie nadejdzie chwila, kiedy szczęście nasze dostateczny czerpać będzie zasilek z samej tej dziedziny, jaką odkryje, na coraz wyższe wznosząc się szczyty. Wówczas człowiek zacz-

nie czuć się szczęśliwym prawdziwie ludzką i niezdobytą częścią swej istoty, wszystkie zaś inne uciechy są w gruncie rzeczy tylko nieświadomymi jeszcze ułamkami tego szczęścia, które rozważa rozpatruje i nie dostrzega już granic ani w samym sobie, ani w otaczającym go świecie.

LXXXI.

Dziedzina ta kurczy się codziennie w złem, ponieważ maleją w niem z natury rzeczy myśli i uczucia. Człowiek jednak, który wzniósł się na pewne wyżyny, nie trwa w złem, nie istnieje bowiem żadne zło, którego nie rodziłaby ostatecznie myśl ciasna lub poziome uczucie. Porzuca on państwo zła, ponieważ myśli jego stały się wznioślejsze i czystsze, wznoszenie się zaś i oczyszczenie myśli zawdzięcza on także temu, że nie może już trwać w złem. A zatem, czyny nasze i myśli, zdobywając ciche lazury, na których życie duszy naszej może spokojnie się rozwijać, równie są nierozdzielne, jak dwa skrzydła ptaka; to zaś, co dla ptaka stanowi tylko prawo równowagi, staje się tutaj zasadą sprawiedliwości.

LXXXII.

Któż może nam powiedzieć, czy ów rodzaj nędznego zadowolenia, jakie zdaje się znaj-

dować chwilami w czynach szkodliwych człowiek zły, dostępnym staje się dla duszy, zanim nie zazna ona słabego i nieuchwytnego pragnienia lub dalekiej możliwości dobra i miłosierdzia.

Może po zmiążdżeniu swojej ofiary spostrzeżać on mniej ponurą i mniej jałową stronę swojej uciechy wówczas dopiero, kiedy zaczyna myśleć, że mógłby darować swej brance życie i wolność.

Rzec można, że złość musi zapożyczać czasem promienia światła od dobroci, chcąc uwydatnić swój tryumf.

Czy może człowiek uśmiechać się, nienawidząc i nie zapożyczając przytem uśmiechu swojego od miłości? Uśmiech ten jednak bardzo będzie krótkotrwały. I tutaj, zarówno jak wszędzie, nie istnieje niesprawiedliwość wewnętrzna. Można powiedzieć, że niema duszy, której drabina szczęścia nie składałaby się z tych samych szczeblów, z jakich utworzona jest drabina sprawiedliwości i miłosierdzia. Mieszam tutaj te dwa wyrazy, miłosierdzie bowiem i miłość są sprawiedliwością, która ma już tylko do czynienia z drogocennymi klejnotami. Człowiek, szukający szczęścia dla siebie w złem, stwierdza tem samem, że nie jest równie szczęśliwy jak ten, który patrzy na jego występ-

ne czyny i potępia je. A jednak cel jego taki sam jest, jak cel sprawiedliwego. Szuka on szczęścia, niepojętego jakiegoś spokoju i pewności.

Za cóż więc go karać? Niema się żalu do biedaka, który nie zamieszkuje pałacu; dostatecznem dla niego nieszczęściem jest konieczność zamieszkiwania nędznej izdebki.

Istota, przed której oczyma odsłoniłby się świat niewidzialny, dostrzegłaby w duszy najniesprawiedliwszego człowieka—wszelkie cechy, nieskalane szaty oraz uświęconą pracę sprawiedliwości. Widziałaby ona, że dusza ta ocenia ukojenie, miłość, znajomość życia, uśmiechy ziemi czy nieba oraz to, co je niweczy, obniża lub zatruwa,—równie troskliwie, jak ocenia je dusza świętego, bohatera i myśliciela. Może tak samo słusznie postępujemy, zajmując się sprawiedliwością na łonie wszechświata, zupełnie na sprawy jej obojętnego, jak słusznie czyni pszczoła, wyrabiająca miód, pomimo że otacza ją świat, który go nie wyrabia. Niesłusznem jest nasze żądanie sprawiedliwości zewnętrznej, skoro ona wcale nie istnieje. Powinna wystarczyć nam ta, która jest w duszy naszej, gdzie wszystko waży się wciąż i osądza. Sami też sądzimy sobie — a raczej sądzi nas szczęście nasze.

LXXXIII.

Powiecie może, że dobro tak samo doświadcza porażek i zawodów, jak zło; porażki jednak i zawody, spotykające dobro, nietylko nie przyćmiewają i nie przygnębiają myśli, ale ją oświecają i uspakajają. Czyn cnotliwy może paść w próżnię, ale wtedy właśnie uczy on nas mierzenia, głębin duszy i życia. Wpada on w nią często jak kamień, bardziej od naszych myśli promienny. Dusza pani Rogronowej więcej kurczy się i maleje, kiedy niegodziwe jej kombinacje odbijają się bezskutecznie od niewinności Pieretty; gdy zaś jeden z przejawów dobroci Tytusa pada na niewdzięcznika, wówczas bezowocność przebaczenia i miłości uczy go ogarniania okiem duszy widnokręgów szerszych, przekraczających granice tych cnót. Nie jest rzeczą pożądaną, aby człowiek zamknął się w ograniczonym kole czegokolwiek, chociażby nawet samego dobra. Ostatnim ruchem cnoty powinien być zawsze giest anioła, uchylającego drzwi.

Należałoby błogosławić te zawody. Gdyby z woli trafu każde przebaczenie nasze czyniło z naszych nieprzyjaciół braci naszych, umarlibyśmy, nie poznawszy tych stron naszej duszy, jakie budzi do życia nieprze-

zorna wyrozumiałość, której nie żałujemy. Nie mielibyśmy nigdy sposobności zmierzenia się z otaczającymi nas siłami za pośrednictwem siły największej, jaka tkwi w naszej duszy. Bezowocność czynu cnotliwego pozorna bezskuteczność wzniosłej lub uczciwej tylko myśli, rzuca na wiele rzeczy promień zupełnie innego rodzaju, aniżeli mogłaby rzucić nań cała pożyteczność dobra.

Możność stwierdzania niezmiennego tryumfu miłości wielką bezwątpienia sprawiałaby nam rokosz; źródłem większej jednak jeszcze rokoszy jest docieranie do prawdy po przez ową uludę. „Zbyt często źródłem pychy człowieka — powiada pewien myśliciel, którego śmierć zawczasie nam porwała, były błędy jego, prawda zaś wydawała mu się zrazu poniżeniem własnej wartości. Prawda nie zawsze dorównywa marzeniu, przemawia jednak za nią to właśnie, że jest prawdziwa. Niema nic moralniejszego w dziedzinie myśli, aniżeli prawda“.

I niema żadnej w pewniku tym goryczy, żadna prawda nie jest gorzką dla mędrca. Mógł on na równi z innymi pragnąć, aby cnota miała moc poruszania ziemi z posad— a miłość—zasadniczego przeistaczania dusz wszystkich jego braci. Dzisiaj jednak uczy

się on pragnąć, aby było inaczej i to nie przez wzgląd na zadowolenie, jakie mogłaby czerpać jego duma. Nie uważa się on za lepszego niż wszechświat, tylko rola, jaką w nim odgrywa, mniej mu się wydaje ważną. Nie podsyca gorącego pragnienia sprawiedliwości, tkwiącego w głębi jego duszy, dla owoców duchowych, jakie ono rodzi; ale w imię szacunku dla wszystkiego, co żyje oraz przez wzgląd na niespodziane kwiaty, jakie rozwijają się dzięki niemu w jego umyśle. Nie złorzeczy niewdzięcznikowi; nie wyrzeka nawet na niewdzięczność; nie mówi sobie: „Jestem lepszym od tego człowieka“, albo też: „Nie ulegnę występкови“. Niewdzięczność pouczy go, że czyn dobry daje rozkosze szersze, mniej osobiste i bardziej zgodne z życiem ogólnem aniżeli te, jakie miała mu zapewnić wdzięczność.

Woli on starać się zrozumieć to, co jest, aniżeli usiłować wierzyć w to, czego pragnie. Żył on długo jak biedak, przeniesiony nagle z głębi nędznej swej izdebki do olbrzymiego pałacu. Zbudziwszy się, szuka niespokojnie, w nadmiernie wielkich komnatach, nędznych wspomnień ciasnej swej komory. Gdzie podział się komin, stół, tapczan, stolek i miska? Spostrzega obok siebie drżący jeszcze kaganiec, rozjaśniający mroki bezsen-

nych jego nocy; nie rzuca on jednak tutaj blasków na wysokie sklepienia, i tylko najbliższy filar zdaje się chwiać chwilami w niepewnem migotaniu drobnych skrzydełek światła. Powoli jednak oczy jego oswajają się z nową siedzibą. Przebiega niezliczone komnaty, ciesząc się równie serdecznie ze wszystkiego, czego nie oświetla jego kaganiec, jak i z tego, na co padają jego blaski. Wolałby może na razie, aby drzwi były niższe, schody mniej szerokie a krużganki mniej głębokie, aby wzrok jego nie mógł w nich tonąć. W miarę jednak, jak obchodzi nowe swoje królestwo, coraz lepiej zaczyna rozumieć piękno i wielkość tego, co kłamie jego snom.

Doznaje uczucia uszczęśliwienia widząc, że niewszystko kręci się, jak w izbie jego, około stołu i łóżka. Winszuje sobie, że pałac nie jest zbudowany na modłę marnych obyczajów czasów jego nędzy. Potrafi podziwiać to, co nie jest zgodne z jego pragnieniami, rozszerzając widnokreśli jego myśli. Wszystko, co istnieje, pociesza i umacnia mędrca, mądrość bowiem polega na doszukiwaniu się i uznawaniu wszystkiego, co jest.

LXXXIV.

Uznaje ona nawet Rogronów. Życie obchodzi ją więcej nawet, aniżeli sprawiedli-

wość lub cnota — a jeżeli zdarzy się, że jakaś zbyt oderwana cnota stanie obok życia, poruszającego się w ciasnych zaledwie szrankach, będzie ona wołała skierować całą swą uwagę na drobne to życie, aniżeli na wielką, nieruchomą, dumną i samotną cnotę.

Przedewszystkiem nie żywi ona pogardy względem niczego; jedna jest tylko rzecz na świecie, którą bezwzględnie pogardzać należy — jest to sama pogarda właśnie. Zbyt często ci, którzy myślą, skłonni są do pogardzania tymi, którzy przechodzą przez życie bez zastanowienia. Nie ulega wątpliwości, że myślenie wielką ma wartość, że starać się należy możliwie dużo i możliwie dobrze myśleć; przesadą jednak jest przypuszczenie, że nieco mniej lub więcej zdolności do uprawiania w ruch pewnej liczby pojęć ogólnych—odgradza wzajem od siebie murem nieprzebytym dwie różne jednostki. Ściśle biorąc, cała różnica, zachodząca pomiędzy największym myślicielem a mieszcuchem z głębokiej prowincyi, polega często na różnicy, jaka zachodzi pomiędzy prawdą, która chwilami daje się ująć w ściśle określenie — a prawdą, której nigdy nie można sformułować w sposób właściwy. I to już wiele; stanowi to bowiem rów głęboki, ale nie przepaść. Im wyżej wznosi się myśl,

tem dowolniejszą i bardziej znikomą wydaje jej się granica, dzieląca tych, którzy jeszcze nie myślą od tych, którzy myślą bezustannie. Mieszczuch pełen jest przesądów, upodobań, namiętności śmiesznych napozór, pojęć ciasnych, marnych — nawet niskich nieraz — a jednak: gdy postawicie go obok mędrca w głównych okolicznościach życia! wobec cierpienia, śmierci, miłości, prawdziwego bohaterstwa, zdarzy się niejednokrotnie, że mędrzec zwróci się do skromnego swego towarzysza, widząc w nim człowieka, na którego dnie duszy utajona jest prawda równie ludzka, równie niezaprzeczona jak jego własna.

Są chwile, w których mędrzec poznaje całą czczość swoich skarbów umysłowych, kiedy spostrzeżga, że zaledwie kilka nawyknień, parę słów tylko dzieli go od reszty ludzi i kiedy wątpić zaczyna o wartości tych słów. Są to najowocniejsze chwile mądrości. Myśleć — znaczy częstokroć mylić się — a myśliciel, błędzący po manowcach, musi nieraz, chcąc odnaleźć drogę, powrócić do miejsc, gdzie siedzą nieporuszenie, skupieni dokoła milczącej, ale niezbędnej prawdy ci, którzy nie myślą. Są oni stróżami ogniska, którego pochodnie roznoszą w świat myśliciele — a kiedy płomień pochodni drzeć zaczyna w rozrzedzonym powietrzu, przezor-

ność nakazuje im powrócić do ogniska. Zdaćby się mogło, że nie porusza się ono z miejsca; złudzenie takie zależnem jest jedynie od faktu, że ognisko to kroczy naprzód równocześnie ze światłami, stanowiąc zegar, na którym drobne języki ogniste wskazują prawdziwą godzinę ludzkości. Wiadomo jest dokładnie, co siła nieruchoma ta zawdzięcza myślicielowi, nie liczymy się jednak z tem, co myśliciel zawdzięcza nieruchomej sile. Dla Świata, którego wszyscy członkowie byliby mędrkami, przeszłaby może niepostrzeżenie niejedna niezbędna prawda. Myśliciel w rzeczy samej o tyle tylko myśli jak myśleć należy, o ile w ciągłym pozostaje stosunku z tymi, którzy nie myślą wcale.

Łatwo jest pogardzać, mniej łatwo — rozumieć — a jednak dla prawdziwy mędrca nie istnieje pogarda, która wcześniej czy później nie przeistoczyłaby się w zrozumienie. Myśl każda, mijająca pogardliwie niemą grupę, nie rozpoznająca tysiąca sióstr, tysiąca braci uświadczonych w tej grupie, jest nader często tylko jałową i smutnie kończącą się mrzonką. Dobrze jest nieraz przypomnieć sobie, że zarówno atmosfera duszy naszej, jak i atmosfera zewnętrzna, posiadać musi więcej daleko azotu niż tlenu, aby można było nią oddychać.

LXXXV.

Rozumiem dobrze, dlaczego myśliciele tacy, jak Balzac, upodobali sobie opis drobnych tego rodzaju istnień. Niema nic niezmienniej jednostajnego, jak drobne takie istnienia — a jednak, ze stulecia na stulecie, w niczem głębsza nie zachodzi zmiana, aniżeli w atmosferze, jaka je otacza. Jednakowe przejawy w różnych przestworzach; różność jednak tych przestworzy nie byłaby dostrzegalną dla nas, gdyby przejawy te nie były jednakowe. Wielki czyn bohaterski skupia nasz wzrok na samym akcie swoim, słowa zaś i czyny, pozbawione większego znaczenia, kierują naszą uwagę na otaczający je widnokrąg, na którym zawsze jaśnieje promienny punkt mądrości ludzkiej. Rozpatrując rzeczy z punktu widzenia, czucia i pojmowania natury, musimy dojść do wniosku, że ogólna miernota tych istnień nie może być istotnie mierną już przez to samo, że jest tak ogólną.

Zresztą zbytecznem będzie nawet powtarzanie niezaprzeczonego faktu, że jesteśmy w stanie poznać duszę innego człowieka do takiego tylko stopnia, do jakiego doprowadziliśmy znajomość duszy własnej, oraz że niema tak drobnej na pierwszy rzut oka istoty, która nie wyłaniałaby się z kryjącej

go ją mroku, w miarę jak kurczą się granice cienia, w jakim my sami jesteśmy pogrążeni. Nie przedmioty obserwacyi naszej podnosić należy, aby mózgi je pokochać; przeciwnie, musimy rzucać snop jasnych blasków na to, czego nie kochamy, starając się podnosić płomień dopóty, dopóki nie dosięgnie on wyżyn miłości. Życzyć sobie jedynie powinniśmy, aby z duszy naszej codziennie wytryskał jasny promień. — Obojętną nawet będzie rzeczą, na co światło jego padnie, nie istnieje bowiem ani jeden przedmiot, przykuwający do siebie nasze oko, myśl naszą, w jaki natura nie zakłęłaby więcej skarbów, aniżeli byłyby ich w stanie wyświecić te promienie. I nie ma też na świecie tak małej rzeczy, która nie byłaby nieskończenie większą od całego światła, jakie w stanie jest rzucić na nią nasza dusza.

LXXXVI.

Czy nie w losach istot przeciętnych tkwi, uwolniona od massy szczegółów, rozpraszających uwagę — główna treść przeznaczeń ludzkich? Poważna walka moralna, odbywająca się na wyżynach, pięknem jest bezsprzecznie widowiskiem; uważny badacz po-

dziwiać będzie długo niezwykle drzewo, rosnące na pustkowiu, w końcu jednak powróci ale do lasu, gdzie drzewa nie są już cudowne, za to niezliczone. Bardzo możliwe, że olbrzymi las składa się z samych pospolitych pni i gałęzi, czy nie jest on jednak przepaścisty, czy nie ma racji bytu już przez to samo, że jest lasem? Ostatnie słowo nie będzie należało nigdy do zjawisk wyjątkowych—a to, co nosi miano wzniosłości, jest może tylko jaśniejszem i głębszem uświadomieniem sobie istoty zjawisk normalnych. Zbawiennym jest wpływ częstego przyglądania się walczącym na wyżynach; nie należy jednak zapominać o tych, którzy zdają się drzemać na równinie.

Widząc, jaki jest los tych drzemających, sprawdzając na sobie samych, ilu walk wymaga zdobycie umiejętności odróżniania ciasnego ich szczęścia od szczęścia tych, którzy walczą na uboczu, mniej może zaczynamy przywiązywać wagi do walki, ale podoba się ona więcej. Im bardziej ukrytą jest nagroda, tem więcej jej pożądamy; nie dlatego, abyśmy chcieli — niby dworacy nieszczerzy — korzystać w ukryciu z darów szczęścia, jakie nas spotkało, ale z tego jedynie względu, że rokosze, jakimi nas ono darzy, ukrywając je przed okiem innych, są może jedynemi, których nie

zawdzięczamy krzywdzie, wyrządzonej przez los braciom naszym.

Patrząc na nich, nie mówimy już: jakże dalekim jestem od tych ludzi ale możemy przyznać nareszcie z całą prostotą: w miarę, jak się wznoszę zdaje mi się, że coraz bliższym staję się najliczniejszego zastępu najskromniejszych moich braci—a kroki, zbliżające mnie do dalekiego ideału, są jednocześnie krokami, zbliżającymi mnie do tych, którymi pogardzałem, zaślepiony pierwotną moją nieświadomością i pychą.

LXXXVIII.

Czem jest w gruncie rzeczy życie szare, pospolite? Nadajemy nazwę tę życiu nie-uświadomionemu, kręcąc się w ciasnym kole czterech lub pięciu osób, życiu, którego uczucia, myśli, namiętności, dążenia krążą dokoła rzeczy, pozbawionych większej wagi. Dlatego jednak, kto życie to rozpatruje, staje się ono wielkiem już przez to samo, że jest przedmiotem rozpatrywania. Życie nie jest małym ani wielkiem samo przez się, można tylko zapatrywać się na nie z wznioślejszego lub bardziej poziomego punktu widzenia—oto wszystko; zaś istnienie, mające powszechnie opinię wzniosłego i szerokiego, jest niem dlatego, że przywykło ono do szerokiego na własny byt poglądu.

Jeżeli nie poddajesz nigdy własnego życia pod skalpel autokrytyki, żyć będziesz z konieczności życiem ciasnym; dla tego jednak, kto obserwować będzie twoje życie, sama ta właśnie ciasność kąta, w jakim się poruszasz, będzie niejako podstawą widnokregu, rodzajem punktu stałego, z którego myśl jego ulatać będzie wysoko, zbrojna w bar-dziej ludzką i niezawodną siłę.

Zdaje się na pierwszy rzut oka, że dokoła nas toczy się jedynie życie senne, ciasne i jednostajne i że niema żadnego związku pomiędzy duszą naszą, stałym odczuwaniem, wiekuistym zaciekawieniem i niewyczerpanemi skarbami ludzkości—a istnieniami takie-mi, jak żywot starej panny, urzędnika o ciasnej mózgownicy lub skąpeca, przykutego do swego złota. Wśród postaci tych jednak zjawia się nagle człowiek, patrzący szeroko rozwartą źrenicą, pilnie nadstawiający uszu, jak Balzac np. — i wnet uczucie, zrodzone w nędznym małomiasteczkowym salonie tak dalekie ogarnia światy, porusza całe życie ludzkości, wstrząsając podwaliny jego równie potężne i głęboko sięgające jakgdyby szło o namiętność monarchy, która w historii wielkiego króla promieniuje z wyżyn tronu. „Istnieją niekiedy drobne burze — mówi w tej kwestyi Balzac, w najpiękniejszej ze swych historii ludzi prostych, p. t. „Pro-

boszcz z Tours“ — istnieją niekiedy drobne burze, rodzące w duszach ludzkich tyle namiętnej siły, że starczyłoby jej do kierowania największemi sprawami społecznemi. Czy nie jest raczej błędem przypuszczenie, że czas bieży szybko tylko dla serc, przejętych wielkimi zamiarami, dokonywającymi gwałtownych przewrotów w życiu? Godziny księdza Troubert'a płynęły z równem ożywieniem, mijały, pełne takich samych trosk, te same nadzieje i rozpaczę żłobiły równie głębokie na nich bruzdy, jakgdyby przeżywał najokrutniejsze swoje chwile człowiek, miotany wielkimi ambicjami, gracz lub kochanek.— Bogu jednemu wiadomo, ile sił zużywamy przy odnoszeniu zwycięstw nad ludźmi, nad otaczającym nas martwym światem i nad nami samymi. Jeżeli niezawsze wiemy, dokąd dążymy, w każdym razie dobrze nam są znane trudy podróży. Jednakże, gdyby historyk miał prawo przerwać wątek opowiadanego dramatu i przyjąć na siebie na chwilę rolę krytyka, gdyby zachęcił was on do przyjrzenia się życiu tych starych panien oraz owych dwóch księży w celu doszukania się w niem przyczyn nieszczęścia, które niweczyło je w zarodku — przekonalibyście się może, że człowiek musi mieć pewne upodobania, jeżeli chce rozwijać w sobie zalety, uszlachetnia-

jące jego życie, rozszerzające jego widnokęgi i usypiające egoizm, wrodzony wszystkim istotom“.

Balzac ma zupełną słuszość. Nie należy kochać światła dla jego blasku, ale w imię tego, na co rzuca ono swoje promienie. Wielkie ognisko na szczytach jest zjawiskiem bezsprzecznie pięknem, mało jednak ludzi stoi na wyżynach i nieraz drobny płomyk w pośród tłumu więcej przyniesie pożytku. Zresztą, wielkie istnienia dostrzegają najlepiej treść własnego bytu, badając życia drobne; badanie zaś uczuć ciasnych przyczynia się do rozszerzenia naszych własnych nie dlatego, aby pierwsze odpychały nas, ale dla tego, że coraz mniej dostrzegamy harmonii pomiędzy nimi — a wielkością prawdy, jaką sami jesteśmy przejęci. Wolno jest marzyć o życiu lepszym, niż życie pospolite; nie powinno jednak, sądzę, marzenie to opierać się na pierwiastkach, obcych życiu codziennemu. Dowodzą powszechnie, że dobrze jest wznosić się okiem wyobraźni po nad życie; może jednak lepiej byłoby jeszcze przyzwyczajając duszę swą do patrzenia wprost przed siebie i, obierając najwyższe cele dążeń swych i marzeń, brać pod uwagę te tylko wierzchołki, które zarysowują się wyraźnie na tle obłoków, zawisłych tuż nad widnokęgiem.

LXXXVIII.

Wszystko to sprowadza nas napowrót do punktu, z którego wyszliśmy już dawno. Zatrzymaliśmy się na losie zewnętrznym; istnieją jednakże inne łzy oprócz tych, jakie wyciska z naszych oczu cierpienie, przychodzące z zewnątrz. Ukochany przez nas mędrzec musi żyć w środowisku wszystkich namiętności, jakie poruszać mogą serca ludzkie; one jedne bowiem stanowią pokarm, jakim długo bezkarnie żywić się może mądrość. Odgrywają one rolę robotników, jakich zsyła nam natura, pragnąc dopomóc nam przy budowie gmachu naszego poznania, czyli szczęścia naszego; człowiek zaś odtrącający tych robotników na tej zasadzie, że sam potrafi usunąć z drogi swego życia wszystkie, zachwaszczające ją, kamienie, zdoła za ledwie sklecić ciasną, zimną i nagą komórkę, która służyć będzie jako schronienie dla jego duszy.

Być mądrym, nie znaczy to nie mieć żadnych namiętności, ale—umieć oczyszczać, uszlachetniać wszystkie swoje żądze. Wszystko zależy od stanowiska, jakie obieramy wobec życia. Dla jednego chwilowa niemoc i ułomność moralna są stopniami, po których stacza się on coraz niżej, dla innego zaś są one szczeblami, wiodącymi go na

wyżyny. Bardzo możliwe, że mędrzec czyni wiele jeszcze takich rzeczy, które są również postępkami człowieka, nie obdarzonego mądrością; z tą jedynie różnicą, że namiętności, jakim ten ostatni ulega, nie pozwalają mu wyzwolić się ze szpon instynktu, umiejący zaś panować nad swemi żądzami mędrzec zniewala je w końcu do rzucenia promieni światła na przyczajoną w ukrytym zakątku świadomość. Nie jest np. koniecznem, aby kochał on miłością szaloną; jeżeli jednak kocha jak szaleniec, zapanuje nad gwałtownością swoich uczuć i stanie się prawdopodobnie jeszcze mędrszym, aniżeli byłby w takim razie, gdyby zawsze kochał mądrze. Nie mądrość, ale pycha, w najbardziej niewłaściwej swej postaci, rozwija się w próżni i nieruchomości. Niedość jest wiedzieć, jak należy postąpić, lub przewidywać z całą pewnością, jak postąpiłby bohater. Można nauczyć się tego w ciągu krótkiego czasu.

Niedość jest postanowić sobie żyć szlachetnie — a potem zamknąć się w swojej celi, aby w ciszy i odosobnieniu pielęgnować w sobie ten piękny zamiar. Mądrość, w podobny zyskana sposób, również mało zdolną będzie do kierowania duszą waszą lub do istotnego jej uszlachetniania, jak mało wpłynąć mogą na to rady i wskazówki, dawane

wam przez innych. „Należy—powiada przysłowie indyjskie — szukać kwiatu, który ma rozwinąć się w ciszy, następującej po burzy, nie zaś przed nią“.

LXXXIX.

Im bardziej posuwamy się naprzód, krocząc z całą dobrą wiarą po ścieżkach życia, tem głębszem staje się przekonanie nasze o prawdzie, pięknie i potędze, najbardziej powszednich i najpospolitszych praw życia. Uczymy się wielbić je właśnie dlatego, że są takie powszechne, jednostajne i codzienne. Coraz mniej szukamy i oczekujemy rzeczy nadzwyczajnych, przekonywamy się bowiem po pewnym czasie, że najbardziej niezwykłym zjawiskiem w rozległym, spokojnym i jednostajnym życiu natury, są dziecinne żądania, jakie stawia nieświadomość nasza i próżność. Przystajemy już żądać od chwili bieżącej zjawisk dziwnych i cudownych; cuda przytrafiają się tym tylko, którzy nie ufają jeszcze samym sobie ani życiu. — Nie oczekujemy już z założonemi rękami na okazyę nadludzkiego czynu, czujemy bowiem, że istota nasza przejawia się we wszystkich czynach ludzkich. Nie żądamy już, aby miłość, przyjaźń lub śmierć zjawiały nam się w ułudnych, urojonych szatach, aby towarzyszyły im lub poprze-

dzały je nadzwyczajne jakieś okoliczności i przepowiednie: umiemy już przyjmować je w całej ich istotnej prostocie i nagości. Przekonywamy się nareszcie, że można znaleźć równoznacznik bohaterstwa oraz wszystkiego, co jest wzniosłem i wyjątkowem dla istot słabych, nieuświadomionych i niezrównoważonych—w ucziwem, śmiałem i całkowitem przyjmowaniu życia. Przestajemy się uważać za jedynych i wyróżnianych synów wszechświata; wzamian za to zbogacamy naszą świadomość, rozjaśniamy nasz uśmiech i pogodę naszej duszy tem wszystkim, co odjęliśmy pysze naszej.

Gdy dochodzimy do tego punktu, wydają nam się dziecinną nieledwie uludą wszelkie cudowne wizye i zachwyty mistyków, nadludzkie trafy legendowych miłości, gwiazda Aleksandra Macedońskiego lub Napoleona i t. p. w porównaniu ze zdrową dobrą wiarą szczerą, ludzką mądrością, która nie myśli o ulatywaniu w nadobłoczne krainy, hen, wysoko po nad rzeczywistość, aby odczuwać to, czego nie odczuwają zwykli ludzie, ale umie odnaleźć niezbędne do podniesienia serca i myśli pierwiastki w tem, co odczuwać będzie zawsze cały ogół. Człowiekiem prawdziwym stajesz się nie przez pragnienie stania się czemś odmiennem od istoty człowieczej. Iluż ludzi trawi w ten

sposób całe życie swoje na oczekiwaniu zjawienia się nieprawdopodobnej komety, o przyglądaniu się zaś innym gwiazdom nie myślą oni wcale z tego jedynie powodu, że gwiazdy te są widoczne dla wszystkich i że jest ich moc niezliczona! Pragnienie rzeczy nadzwyczajnych jest często chorobą dusz pospolitych. Należałoby raczej powiedzieć sobie, że im zwykleszem, bardziej ogólnem i jednostajnem wydaje nam się spotkane zjawisko, tem łatwiej udaje nam się odnajdywać i kochać głębie i rokosze życia w samej właśnie powszedniości, tem bliższymi stajemy się spokoju i prawdy wielkiej, ożywiającej nas siły.

Niema np. nic mniej niezwykłego niż ocean, stanowi on bowiem dwie trzecie powierzchni kuli ziemskiej—a przecież nie istnieje zarazem nic bardziej bezbrzeżnego. Nie istnieje ani jedna myśli ani jedno uczucie, ani jeden czyn piękny i wielki, których nie można byłoby dopatrzeć się w powszedniości najzwykleszego bytu; wszystko zaś, co nie mieści się w jego ramach, należy wciąż jeszcze do dziedziny kłamstw lenistwa, nieświadomości lub próżności.

XC.

Czy znaczy to, że mędrzec nie powinien spodziewać się od życia niczego więcej, ani-

żeli wszyscy inni ludzie, że należy ukochać mierność, zadawałniać się małym, skurczyć swoje pragnienia i ograniczyć swoje szczęście, byleby nie narazić się na jego utratę? Wprost przeciwnie: mądrość, która zbyt łatwo wyrzeka się jakiegokolwiek ludzkiej nadziei, jest mądrością chorą i kulejącą. Człowiek niejedno ma uprawnione dążenie, które łatwo bardzo obchodzi się bez sankcyi zbyt surowego rozumu. Nie należy tylko uważać się za nieszczęśliwych, o ile nie posiadamy szczęścia, uwieńczonego urokiem niezwykłości w oczach naszego otoczenia.

Im bliższymi stajemy się ideału mądrości, tem łatwiej przekonywamy się o swoim szczęściu.

Należy uwierzyć, że najbardziej godnemi zazdrości są w ludzkim szczęściu chwile najprostsze. Mędrzec uczy się tchnąć duszę w cichą treść życia i kochać ją.

Ona jedna daje nam stałe niezawodne roskosze, szczęście zaś niezwykle nigdy nie towarzyszy nam wiernie do samej mogiły.

Należy przyjmować i darzyć jednakim uciskiem braterskim zarówno zbliżający się i uciekający dzień, jak wszystkie inne dni, nie okazując przy tem niezwykłej radości lub nadziei. Przebiegł on, zanim przyszedł do nas, te same obszary i te same wszechświaty, jakie przebiegł musiał dzień, który

znajduje nas na tronie lub na łożu wielkiej miłości. Może ukrywa on pod płaszczem swoim mniej olśniewające, ale za to korniej oddane nam chwile. Tydzień, upływający bez szczególnych wydarzeń, tyleż liczy chwil wieczności, ile ma ich tydzień, głośną oznajmiający się fanfara. W gruncie rzeczy my sami mówimy sobie przecież to wszystko, co zdaje się mówić nam chwila. Jest ona nieśmiałą i niepewną wędrowniczką, która rozpogadza lub zasępia swe oblicze — zależnie od uśmiechu lub ponurego spojrzenia, przyjmującego ją gospodarza. Nie od niej zależy, czy przyniesie nam ona szczęście; na nas ciąży obowiązek obdarzania mocą uszczęśliwiającą momentu, który zstępuje do duszy naszej. Mędrce jest ten, kto umie powitać go na progu uspakajającym słowem. Należy gromadzić w sobie najprostsze powody do szczęścia. Dla tego też nie zaniedbujmy, nie lekceważmy żadnej okazji szczęśliwości. Starajmy się odczuwać zrazu szczęście wedle zwykłych pojęć ludzkich, aby mózdz przełożyć nad nie w następstwie, — lepiej istotę jego zgłębiwszy, to, co my sami za szczęście uważamy. Ze szczęściem dzieje się to samo co z miłością. Należy kochać głęboko, aby wiedzieć, jak należałoby kochać wówczas, gdy się już kochać przestało. Dobrze jest być szczęśliwym

chwilami w sposób widomy, aby nauczyć się być szczęśliwym niedostrzeżenie; i może dla tego jedynie należy wsłuchiwać się w słowa, jakimi zdradzają się, głośne w swem upojeniu, chwile szczęścia, aby powoli nauczyć się języka takich godzin szczęśliwych, które cichym, niedosłyszalnym zaledwie przemawiają szeptem. One jedne niezliczone są, niewyczerpane, niezdolne do zdrady, na nie tylko mędrzec liczyć powinien. Być szczęśliwym, znaczy uczyć się odkrywania utajonego uśmiechu i tajemniczych szat, spowijających nieobliczone i nieznane chwile, w szaty te zaś własna nasza tylko stroi je dusza.

XCI.

Nic jednak nie stanowi większego przeciwieństwa omawianej przez nas mądrości, aniżeli pospolita i niegodna przezorność, to też lepiej byłoby już może — czynić nadaremne nawet wysiłki w celu osiągnięcia bądź jakiego szczęścia, niż oczekiwać, drzeмиąc przy kominku, na szczęście idealne, które nigdy się nie urzeczywistni. Na dach istoty, niewychodzącej po za próg domu, spadają zazwyczaj takie tylko uciechy, po które nikt nie wyciągał ręki. To też nie nazywajmy mędrce człowieka, który w dziedzinie uczuć np. nie sięga daleko po za gra-

nice tego, na co pozwala mu rozum, lub na co radzi mu czekać doświadczenie. Dla tego także nie chrzcijmy wniosłem mędrca mianem — przyjaciela, który nie otwiera całej swej duszy przed przyjacielem na tej jedynie zasadzie, że przewiduje, iż przyjaźń ta się skończy, lub kochanka, który nie oddaje się bezpodzielnie miłości z obawy, aby miłość nie pochłonęła go całego.

Należy powiedzieć sobie, że w takich wypadkach dwadzieścia nieszczęśliwych przygód jest w stanie pozbawić naszą energię szczęścia tylko strony jej znikomej—a przyznać musimy, że cała mądrość jest w gruncie rzeczy tylko rodzajem oczyszczonej energii szczęścia. Być mądrym—znaczy przede wszystkim nauczyć się być szczęśliwym, aby mózdz jednocześnie nauczyć się przywiązywania coraz mniejszej wagi do tego, czem szczęście jest samo w sobie. Idzie o to, aby człowiek był możliwie najszcześliwszym w ciągu możliwie najdłuższego czasu; ci bowiem, którzy rozstając się wreszcie z własną jaźnią, wychodzą wrotami szczęścia, są tysiąckroć swobodniejsi, aniżeli ci, którzy obierają w tym celu wrota smutku. Radość mędrca zarówno jasne rzuca promienie na serce jego jak i na całą jego duszę, smutek zaś zbyt często serce jego tylko rozjaśnia. Człowiek, który nie był

szczęśliwym, przypomina poniekąd wędrowca, podróżującego jedynie nocą.

Zresztą szczęście uczy nas głębszej i szlachetniejszej, czyściejszej i szerszej pojętej pokory, aniżeli nieszczęście. Istnieje rodzaj pokory, którą zaliczyć należy do rzędu pasorzytów cnoty na równi z bezpłodnem zaparciem się, wstydlivością, despotyczną czystością, ślepem wyrzeczeniem się, poziomą służalczością, popędem do pokuty i z tyloma innymi pojęciami, kierującymi przez tak długi czas żywe źródło etyki ludzkiej ku stojącej wodzie stawu, dokoła którego i teraz jeszcze krążą nasze wspomnienia. Nie mówię o nędznej pokorze, będącej najczęściej tylko wyrachowaniem, albo też — chcąc być pobłażliwszym — nieśmiałością dumy lub wreszcie rodzajem lichwiarskiej pożyczki, jakiej próżność dzisiejsza udziela łaskawie próżności jutrzejszej. Ale sam mędrzec nawet wyobraża sobie niekiedy, że zbawieną jest dlań rzeczą upokorzyć się nieco we własnem pojęciu i nie przyznawać sobie zasług, do dostrzegania których w sobie ma często prawo, kiedy przyrównywa się do reszty, ludzi. Taka pokora — jakkolwiek jest szczerą — wpływa ujemnie na wewnętrzną naszą prawość, którą nadewszystko szanować należy, pozbawiając jej tego, czem mogłaby spotę-

gować łagodność naszego zachowania się w życiu.

W każdym razie zdradza ona pewne onieśmienie świadomości; świadomość zaś mędrca nie powinna znać żadnej nieśmiałości, żadnego zawstyżenia.

Obok tej, zbyt osobistej jednak, pokory, istnieje pokora ogółu, wzniosła i silna, karmiąca się tem wszystkim, co uczy się poznawać nasz umysł, dusza nasza i serce. Pokora, dokładnie nam wskazująca, czego człowiek może spodziewać się i oczekiwać; zniżająca nas w tym celu jedynie, aby podnieść wszystko, na co patrzymy; ucząca nas, że znaczenie człowieka nie polega na tem, czem jest on sam, ale na tem, co zdolny jest dostrzédz, co stara się uznać i zrozumieć. Cierpienie otwiera nam także, co prawda, dostęp do państwa tej pokory, czyni ono to jednak wyłącznie w celu bezpośredniego prowadzenia nas do pierwszych z brzoza wrót nadziei, u progu której wiele tracimy czasu; szczęście zaś, nie mając po upływie krótkiej chwili nic innego do czynienia, dopomaga nam do przebiegania najnieдоступniejszych jego ścieżek. Mędrzec staje się wówczas tylko możliwie mało wymagającym, możliwie mało posiadającym

pychy, kiedy możliwie największego zazna-
je szczęścia. Jedynie wiedząc, że posiadał
nareszcie wszystko, co człowiek osiągnąć mo-
że, zaczyna pojmować, że wartość wszyst-
kich jego zdobyczy polega jedynie na spo-
sobie zapatrywania się jego na to, czego
człowiek nigdy osiągnąć nie będzie w stanie.
To też niezależny pogląd na życie zdobyć
można tylko na łonie długotrwałego szczę-
ścia. Nie trzeba być szczęśliwym dla sa-
mej szczęśliwości, ale jedynie, aby nauczyć
się widzieć wyraźnie to wszystko, co po-
zostałoby ukrytem dla nas w próżnem
i nazbyt biernem oczekiwaniu szczęścia.

XCII.

Przerwijmy jednak ten temat, aby powró-
cić do omawianej przed chwilą kwestyi.
W królestwie naszego serca, które dla
wszystkich prawie ludzi jest dziedziną,
gdzie gromadzi się i zbiera sam rdzeń ży-
cia, niema niepotrzebnych oszczędności. Le-
piej byłoby być w tej sferze zupełnie bez-
czynnym, aniżeli dokonywać pracy połowi-
cznej, to bowiem tylko bezwarunkowo i na-
 pewno zawsze tracimy, czego nie mieliśmy
odwagi zaryzykować.

Silne, głębokie uczucie odbiera nam
w rzeczy w samej to tylko, czego potajemnie,
jak nam się zdaje, go pozbawiamy—i zawsze

narażeni jesteśmy na utratę tej właśnie części, którą chcieliśmy zachować dla nas samych. Zresztą istnieją w duszy naszej tak głęboko ukryte zakątki, że tylko miłość ośmiela się do nich dotrzeć i miłość tylko nieprzewidziane wydobywa z nich klejnoty, których blask dostrzedz jesteśmy w stanie w krótkiej jedynie chwili, kiedy dłonie nasze rozwierają się, aby złożyć te skarby w ręce ukochane. Rzec można, że ręce nasze, rozwierające się, w takiej chwili i w takim celu, szczególną sięją jasność, która prześwieśla ciała bardziej jeszcze nieprzejrzyste, aniżeli potrafią czynić to niedawno odkryte, tajemnicze promienie.

XIII.

I po cóż smucić się długo z powodu popełnionych błędów oraz poniesionych strat? Cokolwiekby się stało, ostatnia, najsmutniejsza chwila w ostatnim dniu tygodnia, czy roku, dostarczy człowiekowi szczeremu i prawemu powodu do uśmiechu, o ile zajrzy w głąb duszy własnej. Uczy się on powoli żałować wylanych łez. Jest podobny do ojca rodziny, który wieczorem, po ukończonej pracy powraca do domu. Dzieci płaczą, może, bawią się w gry niebezpieczne i przewracają dom do góry nogami, może porujnowały meble, stłukły klosz, przewróciły lampę;

czy jednak wpadnie on w rozpacz z tego powodu? Zapewnie, że lepiej byłoby z punktu widzenia teoretycznej moralności, gdyby się malcy byli zachowali spokojnie, gdyby byli spędzili czas na nauce czytania i pisania; ale jakież ojciec rozsądny powstrzyma się — w pośród najostrzejszych wymówek — od odwrócenia głowy w celu ukrycia wybiegającego na usta uśmiechu? Nie rozpacza on z powodu tych dzikich może i szalonych przejawów pełni życia. Nie jeszcze nie stracone, dopóki może powrócić, dopóki nie zagubił chroniącego klucza. Dobrodziejstwa takiego zajrzenia w głąb duszy własnej, tkwią nietyle w surowem wybadaniu tego, co dusza nasza, umysł lub serce przedsięwzięły lub czego dokonały podczas naszej nieobecności, ile w samym akcie skupienia się w sobie. A jeśli minęły godziny, nie rozwinąwszy na progu naszym tajemniczych swych przepasek, jeżeli komnaty puste są, jak w dniu naszego odejścia, jeżeli nikt z tych, którzy mieli pracować, nie poruszył nawet ręką; — to jednak głuchy odgłos naszych kroków powrotnych da nam już pewne wskazówki o obszarze, o godzinach oczekiwania oraz o wierności naszego domostwa.

XCIV.

Dni pospolite istnieją jedynie w nas samych, najwyższe jednak przeznaczenie

zmieści się zawsze w ramach najpospolitszych dni, rozwija się ono bowiem daleko pełniej w duszy naszej, aniżeli na powierzchni całej Europy. Środowiskiem przeznaczenia nie jest obszar wielkiego państwa, ale granice duszy ludzkiej. Prawdziwe nasze przeznaczenie tkwi w naszym pojmowaniu życia, w równowadze, jaka zapanowuje zawsze w końcu pomiędzy nie dającymi się rozstrzygnąć zagadnieniami nieba i niepewnymi odpowiedziami naszej duszy. W miarę pogłębiania się, zagadnienia te coraz mniej budzą w nas niepokoju, wszystko zaś, co spotyka mędrca na drodze życia, pogłębia je—a tem samem łagodzi jego odpowiedzi.

Nie mówcie o przeznaczeniu, dopóki wydarzenie jakieś cieszy was lub smuci, nie wpływając jednocześnie na zmianę waszego światopoglądu. Jedyną trwałą rzeczą, jaką pozostawia nam po sobie miniona miłość, sława, wszelkie przygody życia, wszelkie namiętności ludzkie—jest coraz głębsze poczucie nieskończoności; jeżeli zaś i to nam nie pozostało—nie pozostało nam nic. Powiadam „poczucie“ nie zaś całokształt myśli; myśli są bowiem tylko niezliczonymi stopniami, wiodącymi nas do poczucia, o którym mówię. Szczęście samo w sobie nie jest wcale szczęściem, staje się zaś nie m

ono wówczas dopiero, kiedy w inną stronę kieruje myśl naszą; kiedy uprzystępnia nam niejako zrozumienie tajemniczej rokoszy bytu, jaką odezuwa wszechświat.

Niema takiego wydarzenia, które niedałoby ukojenia stojącemu na pewnej wyżynie mędrce; to bowiem, co go zrazu smuci w zwykłym ludzkim pojęciu, przyczyni się u niego po pewnym czasie — równie niewątpliwie jak wszystko inne — do spotęgowania wielkiego ukochania życia. Trudno jest bardzo zamącić radość człowieka, który osiąść umiał sztukę przeistaczania wszystkiego w przedmiot bezinteresownego podziwu; trudno jest pozbawić go jakiejś przyczyny zadowolenia, aby jednocześnie samo już pojęcie, że może się on obejść bez tego zadowolenia, nie zrodziło w nim wznioślejszej jeszcze myśli, opiekuńczem opromieniącej go światłem. Miano przeznaczenia szczęśliwego nadajemy takiemu, którego żadna przygoda, przyjazna lub złowroga, nie minęła bez zmuszenia nas do namysłu, rozwagi, bez rozszerzenia granic dziedziny, gdzie porusza się dusza nasza, bez spotęgowania spokoju, z jakim przyjmujemy życie. To też rzec można, że przeznaczenie nasze tkwi bardziej i istotniej w sposobie, w jaki zdolni jesteśmy przypatrywać się wieczorem niebu i rozsianym na niem obojętnym gwiazdom, ludziom nas otaczającym, ko-

biecie, którą kochamy oraz w rozważaniu tysięcy, kielkujących w nas myśli, aniżeli w wydarzeniu, zadającym cios śmiertelny naszej miłości, gotującym nam wjazd tryumfalny lub też na tron nas wznoszącym.

XVV.

Ktoś w te słowa odezwał się kiedyś do kobiety, która wydawała mu się istotą najczarowniejszą, najhojniej obdarzoną przez naturę wszelkimi darami, nie wyłączając młodości i piękności fizycznej, jaką można byłoby znaleźć na całej kuli ziemskiej: „Cóż czynić zamierzasz? Kogo mogłabyś pokochać? Nie widzę dla ciebie wyjścia; niema przeznaczenia, godnego duszy takiej jak twoja“. Co przez to rozumiał? Mowy być nie może o wzniosłości przeznaczenia, gdyż wznieść się na wyżyny może jedynie dusza. Zapewnie utartym ludzkim zwyczajem, myślał o tronie, o tryumfach o cudownych przygodach. Ten jednak, kto dopatruje się w takich rzeczach przeznaczenia człowieka, niema najslabszego pojęcia o prawdziwej istocie przeznaczenia. Przedewszystkiem, dlaczego mamy lekceważyć dzień dzisiejszy? Czyniąc tak, dalibyśmy dowód, że nie zrozumieliśmy dnia wczorajszego. Gardzenie dniem dzisiejszym równałoby się przyznaniu, że się jest obcym przybyszem—a jakąż

możemy mieć nadzieję dokonania czegokolwiek na tym świecie, jeżeli przechodzimy przezeń jak obcy, nie wnikający w treść jego, przechodnie?

Dzień dzisiejszy tę ma nad nieistniejącym już dniem wczorajszym, przewagę, że jest i że istnieje dla nas; jakimkolwiek byłby, zawsze więcej nas uczy, aniżeli dzień wczorajszy, tem samem więc piękniejszy jest i szersze otwiera nam widnokręgi.

Czy sądzicie, że przeznaczenie kobiety, o której mówię, szczęśliwszem byłoby w Wenecyi, Florencyi lub Rzymie? Przyjmowałaby tam udział we wspanialszych uroczystościach—a piękność jej oprowadzaną byłaby po czarownych krainach. Widziałaby może u nóg swoich książąt, królów i tłumy wybrańców: może nawet udałoby się jej—dzięki czarowi jednego z jej uśmiechów—przyczynić się do zapewnienia szczęścia wielkiego jakiegoś narodu, do złagodzenia lub uszlachetnienia myśli pewnej epoki. Tymczasem dzisiaj całe życie jej upłynie prawdopodobnie w otoczeniu czterech lub pięciu dusz, które znają jej duszę i kochają ją. Może nie przekroczy ona progu swego domu—a istnienie jej, myśl i potęga duchowa, nie pozostawiają żadnego widocznego i trwałego śladu na świecie. Może całe jej piękno, cała jej potęga i energia moralna

pozostaną zagrzebane w niej samej oraz w sercu kilku z tych ludzi, którzy się do niej zbliżyli. Możliwą jest też rzeczą, że dusza jej znajdzie dla siebie ujście. Za naszych dni ciężkie podwoje, otwierające przystęp życiu użytecznemu i pamiętnemu, nie z takim już, jak ongi, hałasem obracają się na swych zawiasach. Są one może mniej potężne, ale liczba ich jest większa i prowadzą na ścieżki cichsze, bo dalej wiodące.

Jeżeli nawet jednak przypuścimy, że wszystko pozostanie w cieniu, czyż fakt, że żaden promień nie przedostał się po za próg jej siedziby, będzie dowodem, iż minęła się ona ze swem powołaniem? Czy dusza prawdziwie silna, cofając się myślą wstecz, zatrzyma się dłużej na tryumfach, których była bohaterką, o ile tryumfy te nie zniewoliły jej do zastanowienia się nad życiem, nie spotęgowały w niej szlachetnej pokory, nie uczyniły jej podwójnie drogiemi chwil ciszy i skupienia, w których zbiera się owoce, dojrzewające w ciągu kilku godzin pod wpływem żaru namiętności, wzniecanych przez miłość, sławę i zachwyty? Cóż pozostanie jej, gdy przebrzmia już echa tych uroczystości, tych czynów bohaterskich, ludzkich lub harmonijnych? Kilka myśli, kilka wspomnień, słowem kilka zdobyczy poznania, oraz bardziej zrównoważone i szersze

ogarniające widnokreśli — już przez to samo, że musiało więcej objąć zjawisk — odczucie stanowiska człowieka na ziemi? Co unosimy ze sobą do świątyni, w której szczęście wielkiego żywota ocenia się tylko na wagę myśli, zdobytej ufności oraz zyskanej samowiedzy—z chwilą wybicia godziny spoczynku, kiedy miłość, potęga, sława zrzucają ze siebie w oczach naszych świetne swoje szaty? — a przecież chwila taka nadchodzi co wieczór, za każdym razem, gdy sami zostajemy. Czy prawdziwego naszego przeznaczenia szukać powinniśmy w tem, co przechodzi i mija na zewnątrz nas, czy też w tem, co tkwi i stale pozostaje w duszy naszej? „Pomimo najpotężniejszych nawet promieni sławy czy potęgi, najwyższej, jaka może stać się udziałem człowieka—powiada myśliciel—dusza jego właściwą wkrótce przywraca wartość uczuciom, jakie budzi w niej wszelki czyn zewnętrzny — wkrótce bowiem nie dostrzegając żadnej zmiany, żadnego spotęgowania swoich sił fizycznych, przekonuje się on o istotnej swojej nicości. Władcy, do których należałaby nawet ziemia cała, skazani są na równi z resztą ludzi — na obracanie się w ciasnym kole, którego prawom podlegają, szczęście ich zaś zależy od wrażeń osobistych, jakich doświadczą, żyjąc w niem. Dodajmy jeszcze: jakie

zapamiętali, ponieważ uszlachetniły ich one, dusze bowiem, o których w tej chwili mówimy, zachowują jedynie pamięć przygód, podnoszących je i doskonalących.

Czy niepodobna znaleźć nigdzie, w największej nawet ciszy, jedynej niezmiennej treści, pozostającej na dnie tygła, w którym warzą się losy najszlachetniejszego bytu zewnętrznego? Ponieważ zaś o tyle tylko jesteśmy prawdziwymi panami naszego przeznaczenia, o ile niezmiennie towarzyszy nam ono w mroku i ciszy, czy będzie ono mniej wiernem ciszy i mrokowi dlatego właśnie, że się w nich zrodziło?

Nie idźmy jednak dalej temi drogami, które mogłyby nas zawieść w krainy mądrości zbyt teoretycznej. Jeżeli nawet szczęśliwe przeznaczenie zewnętrzne nie jest rzeczą niezbędną, należy jednak pragnąć go i czynić wszystko, co jest w naszej mocy, aby je zyskać, jakgdybyśmy jaknajwiększą przywiązywali doń wagę. Największym obowiązkiem mędrca jest pukanie do wszystkich świątyń, do wszystkich siedlisk sławy, czynu, szczęścia i miłości. Jeżeli pomimo wszelkich, najpoważniejszych wysiłków żadne, po długim oczekiwaniu, nie otworzą się wrota, może sam ten wysiłek oraz oczekiwanie będą dla niego równo-

ważnikiem światła i wzruszeń, jakich szukał. „Działać — powiada w jednym miejscu Barrés—znaczy zbogacić świat naszych myśli, przyłączając doń obszerniejsze jeszcze pola doświadczeń“. Działać — możnaby dodać — znaczy myśleć szybciej i pełniej, niż mogłaby to uczynić myśl nasza. Działać — nie znaczy myśleć samym tylko mózgiem, ale zmusić do myślenia całą swoją istotę. Działać — znaczy zamykać dla marzeń — w celu otwierania ich dla rzeczywistości — najgłębsze źródła myśli. Jednakże działać — nie znaczy koniecznie święcić tryumfy. Działać, znaczy także próbować, czekać, uzbrajać się w cierpliwość. Działać, znaczy też słuchać, skupiać się i milczyć.

Kobieta, o której mówimy, znalazłaby w Atenach, Florencyi lub Rzymie pewne powody zachwyty, niejedną może sposobność do czynu pięknego lub bohaterskiego, której nie znajdzie już dzisiaj. Mogłaby również odnieść korzyść z poczynionych wysiłków lub ze wspomnień swoich czynów; te zaś stanowią potęgę żywą i cenną, wysiłki bowiem, jakie czynimy i pamięć tego, czegośmy dokonali, więcej w nas nieraz przeistaczają rzeczy, niż czynić to jest w stanie myśl wzniosła, która zarówno moralnie jak umysłowo—tysiąckrotnie przewyższa war-

tość tych wspomnień i wysiłków. Tak; to też tego jedynie pozazdrościć można byłoby świetnemu i pełnemu niezwykłych przygód losowi, że rozszerza on i budzi do życia pewien zasób uczuć i sił, które nigdy nie otrząsnęłyby się ze swego uspienia lub nie przekroczyłyby zaczorowanego koła zbyt spokojnego bytu. Czy jednak sama świadomość lub przypuszczenie, że uczucia takie i siły drzemią w nas, nie jest już budzeniem strony ich najlepszej? czy nie równa się to rozpatrywaniu szczęśliwego zewnętrznego losu z wyżyn, do których człowiek dotrze zaledwie u kresu dni swoich, oraz zbieraniu naprzód najprzedniejszej części żniwa, które mógłby on zebrać po wielu dopiero burzach?

XCVI.

Wczorajszego wieczora, odczytując pisma Saint-Simon'a, gdzie dostrzegamy, zda się, ze szczytu wysokiej wieży, setki przeznaczeń ludzkich, snujących w nizinie, zrozumiałem, jakiemu przeznaczeniu nadaje instynkt miano „pięknego“. Może Saint-Simon sam nie jest świadom tego, co kocha i co wielbi w pewnych bohaterach swoich, których otacza rodzajem kornego i bezwiednego zachwytu. Tysiące cnót, jakie czcił, wymarło, tysiące zalet, jakie wysławiał w wielkich

swoich ludziach, wydają się dzisiaj bardzo małemi. Pomimo jednak, że nie zwraca na nie szczególnej uwagi, pomimo, że potępia w gruncie rzeczy idee, jakie niemi kierowały — cztery czy pięć poważnych, jasnych i godnych uwielbienia postaci, wyróżnia się, bez jego wiedzy niejako, w świetnym tłumie, otaczającym tron wielkiego króla. To Fenelon; to księżęta de Chevreuse i de Beauvillers; to Delfin. Nie są oni szczęśliwsi, aniżeli większość ludzi. Nie odnoszą żadnych rozstrzygających zdobyczy, żadnych zwycięstw świetnych. Żyją w niepewności i oczekiwaniu tego, co zwie się szczęściem dla tego jedynie, że się na nie wy-czekuje. Fenelen ściąga na siebie niełaskę tego umysłu dość pospolitego, ale ostrożnego i przeczernego, dumnego, ponurego, napuszonego, wielkiego w małym i małego w wielkim, jakim był Ludwik XIV. Zostaje skazany, prześladowany, wreszcie wygnany. Księżęta de Beauvillers, pomimo wysokich swoich stanowisk, żyją na dworze w pewnego rodzaju przezornem i dobrowolnem odosobnieniu. Delfin nie cieszy się względami monarszymi. Oplątany jest, osnutą przez zazdrośników, siecią potężnych intryg, którym udaje się złamać jego młodą wojenną sławę. Spadają na głowę jego niełaski, zawody i ciosy, niepowetowane na tem pró-

żnym słuźalczym oworze; wszelkie bowiem nieszczęścia i niedole przybierają rozmiary, zależne od obyczajów danej epoki. Wreszcie umiera w kilka dni po zgonie żony swojej, którą kochał wyłączną i szaloną miłością. Umiera, otruty może jak ona — i pada, niby rażony piorunem w tej samej prawie chwili, kiedy pierwsze promienie niespodziewanej już łaski ozłociły stopnie jego pałacu.

Oto przegląd smutków, rozczarowań, zawodów i niepokojów, jakie były udziałem tych istot. A jednak, gdy przyjrzymy się cichej i ściśle zespolonej z sobą, ich grupie w pośród znikomej, nietrwałej i kapryśnej świetności tylu innych — cztery te przeznaczenia wydają się prawdziwie pięknymi i godnymi zazdrości. Jedno wspólne światło przyświeca wszystkim zmiennym kolejom ich losu. Wyłania się ono z duszy Fenelona, wiernego wzniosłym ideom podziwu, zbożności, sprawiedliwości, słodyczy i miłości, trzech pozostali wierni są mistrzowi swemu i przyjacielowi. I jakież ma znaczenie fakt, że mistyczne pojęcia Fenelona stały się nam już obcemi? I cóż to znaczy, że, uważane przez nas za najgłębsze i najdoskonalsze, idee, na których opieramy nasze szczęście moralne i wszystkie nasze życiowe pewniki, padną po nas w gruzy i wywołają kiedyś w przyszłości uśmiech na twarzach tych, co

zbudują gmach myśli, zdających się im bardziej ludzkiemi i bardziej niezaprzeczonymi?

Nietyle myśli, ile uczucia, przez nie wywołane. wpływają na życie nasze uszlachetniająco i jasne rzucają na nie światło. Myśl jest może celem; cel ten dużo ma jednak wspólnego z celem wielu wędrówek: najczęściej budzi w nas zaciekawienia sama droga, postoje, ludzie i rzeczy, spotykane na drodze oraz nadzwyczajne przygody podróży. Trwałe znaczenie ma tutaj, zarówno jak we wszystkim, szczerłość uczucia ludzkiego. Nigdy nie wiemy, czy myśl nas nie zawiedzie; miłość zaś, jaką dla myśli tej żywimy, zostanie nam powrócona i ani jedno źdźbło światła ani siły nie przepadnie pomimo popełnionej może omyłki. Istotę idealną, jaką człowiek każdy usiłuje urobić w samym sobie, tworzy i doskonali nietyle całokształt pojęć, stanowiących jej zarysy, ile czyste uczucie, prawość oraz bezinteresowność, w jakie pojęcia te przyoblekamy. Czyż nie stajemy się lepszymi przez miłość raczej, niż przez myśli?

Szczerze, gorące ukochanie wielkiej pomyłki więcej nieraz ma wartości od małostkowego służenia wielkiej prawdzie.

Namiętą taką miłością ukochać może zarówno człowiek wierzący, jak i człowiek

wątpiący. Istnieje zwątpienie równie namiętne i równie szlachetne, jak najgłębsze i najpiękniejsze przekonanie. — Najlepszą stroną myśli, która wydaje nam się niezmiernie wzniosłą, bardzo czystą lub głęboko niepewną, jest okazyja bezpodzielnego oddania się bądź czemu, jaką nam myśl ta następuje. Czy taką wyłączną, gorącą miłością ukochałem człowieka, Boga, ojczyznę, wszechświat, czy nawet pomyłkę: kawałek czystego złota, jaki znajdzie się kiedyś na dnie tygla pod warstwą popiołów miłości, nie będzie wytworem przedmiotu mojego ukochania, ale samej tej mojej miłości. Niezatarte ślady pozostawia jedynie prostota, zapal i stałość szczerego uczucia. Wszystko mija, przeistacza się, może nawet ginie—z wyjątkiem jasnych promieni, wyłaniających się z tej głębi, stałości i płodności naszego serca.

XCVII.

„Żaden człowiek nie cieszył się taką—jak on—równowagą duszy“, — powiada Saint-Simon, mówiąc o jednym z nich, osnutym siecią intryg, gniewów i zaśladek. Dalej znów mowa o „mądrym spokoju“, innego: mądry zaś ten spokój przenika całą gromadkę. Jest to istotnie, gromadka istot, wier-

nych najszczytniejszym myślom, wiernych przyjaźni, prawości, poszanowania samych siebie i zadowolenia wewnętrznego; gromadka, przesuwająca się w jasnych, prostych i cichych promieniach światła — w pośród ambicij, próżności, kłamstw i zdrad dworu Wersalskiego.

Nie są to święci w zbyt pospolitem tego słowa znaczeniu. Nie chronili się oni w miejscu odludne ani też w gąszczu lasów, nie szukali samotnej ucieczki w ciszy ciasnych cel klasztornych. Są to mędrcy; nie zrywają oni węzłów, łączących ich z życiem; nie uciekają od rzeczywistości. Nie sądźmy, że zbawczynią ich jest pobożność—a Bóg—jedyną ucieczką ich duszy. Niedosć jest kochać Boga i służyć mu w miarę sił swoich, aby ukoić i umocnić duszę. Prawdziwe ukochanie Boga wymaga inteligencji i uczuć, jakie zdobyć można i w sobie wydoskonalić jedynie przez zetknięcie ze światem.

Dusza człowieka pozostaje pomimo wszystko głęboko ludzką. Można nauczyć ją kochać wiele rzeczy niewidzialnych, jednakże cnota lub uczucie doskonałe, całkowicie ludzkie, będą dla niej posilniejszym i skuteczniejszym zawsze pokarmem, aniżeli najbardziej nawet boska cnota czy miłość. Gdy spotkamy na drodze naszej duszę prawdziwie zrównoważoną i zdrową, bądźmy pewni, że

zawdzięcza ona spokój swój i zdrowie cnotom ludzkim.

Gdyby wolno było czytać w tajnikach serc, które już bić przestały, może przekonalibyśmy się, że źródło spokoju, z którego Fenelon czerpał co wieczór ukojenie przez cały czas swojego wygnania, tkwiło bardziej w wierności jego dla nieszczęśliwej pani Guyon, w miłości dla nieuznawanego i prześladowanego Delfina, aniżeli w oczekiwaniu wiecznej nagrody; w jego sumieniu ludzko-czułem, ludzko-prawem, słowem ludzko nieskalanem, aniżeli w jego widokach i nadziejach chrześcijanina.

XCVIII.

Godnym podziwu jest spokój tej gromadki! Żadna cnota nie zapala tutaj błyskotliwych rakiet na wyżynie, wszystkie płomienie kryją się w sercu i duszy. Nie masz innego bohaterstwa nad ufność, szczerłość i miłość, które w rozpamiętywaniu czerpią nieskończone zasoby cierpliwości. Są istoty, których cnota przedostaje się chwilami na zewnątrz przy akompanjamentcie hałaśliwie otwieranych i zamykanych podwoi. Są inne, w których duszy czuwa ona stale, niby cicha służebnica, nie przekraczająca nigdy progu domu—a ci, co przychodzą skostniali

ze dworu, zastają ją zawsze czujną i pracowitą przy ognisku.

Może na piękne życie mniej się składa godzin bohaterskich, aniżeli poważnych, jednostajnych i czystych tygodni. Może dusza prawa i bezwzględnie sprawiedliwa cenniejszym jest klejnotem, niż dusza czuła i oddana. O ile nawet liczyć można na mniej poświęcenia i zapału z jej strony w niezwykłych przygodach życia, za to w zwykłych warunkach i okolicznościach można polegać na niej z większą pewnością i zaufaniem. A czy, biorąc na ogół, istnieje człowiek, którego życie, chociażby najbardziej obfitowało ono w nadzwyczajne, olśniewające, bohaterskie przygody, nie upływałoby prawie całkowicie w okolicznościach zwykłych? Czem są, gdy się nad nimi zastanawiamy — a zwłaszcza, gdy sami przyjmujemy w nich udział — najbardziej rozstrzygające momenty najświetniejszych wydarzeń? Czy nie zdumiewa nas spostrzeżenie, że na chwilę najwyższego napięcia najwznioślejszej godziny składa się w gruncie rzeczy tylko dalszy rozwój pojęć i obyczajów godzin najcichszych?

Zawsze powracać wypada do życia normalnego, w którym szukać należy trwałego i rdzennego gruntu. Nie codzien zdarza się okazy ratowania mnie od śmierci, hańby

czy rozpaczy, może jednak koniecznem jest, abym mógł sobie powiedzieć w każdej, codziennie powtarzającej się, smutnej, godzinie, że istnieje kędyś dusza, która się zbliżyła do mojej; dusza cicha, wierna i głucha na wszystko, co nie wydaje jej się zgodnem z niezmienną, niezwruszoną prawdą.

Cudowną jest bezwątpienia rzeczą zdobywanie się od czasu do czasu na czyn bohaterski lub niezwykle szlachetny, bardziej jednak jest chwalebne — i stalszej wymaga siły — bezwarunkowe nieuleganie podszeptom myśli bardziej poziomych oraz życie mniej wyniosłe, ale za to równiejsze i bardziej pewne. Próbujmy nieraz, w chwilach rozmyślań, sprowadzać naszą chęć doskonalenia się moralnego na poziom prawdy powszedniej — a przekonamy się, że łatwiej jest zdobywać się od czasu do czasu na akt wielkiej cnoty, aniżeli nie wyrządzać nigdy najmniejszego zła; łatwiej wywoływać czasem uśmiech szczęścia na twarze bliźnich, aniżeli nie być nigdy przyczyną ich łez.

XCIX.

„Znajdowali oni jedni w drugich, mieli przedewszystkiem w samych sobie — swoją ucieczkę, swoją opokę“.—jak powiada Saint-Simon -- a niezachwiana, niewzruszona jej

strona równała się ściśle rozmiarami swymi temu, co było nieskazitelnego w ich sercu.

Tysiąc rzeczy tworzy podstawę owej „opoki“, czy jednak głównej jej, środkowej płaszczyzny nie stanowi to właśnie, co zdaje się nam nieskazitelne w nas samych? Upodobanie do nieskazitelności miewa często, co prawda, bardzo pospolite cechy; niema takiego nędznika, któryby nie szukał ucieczki co wieczór na szczytach nędznych okrucichów, uważanych przezeń za nieskazitelne. To, o czem mówię, stanowi jednak cnotę nieco wyższą od cnoty najniezbędniejszej — a najpospolitsza istota wie bardzo dobrze, czem jest cnota niepospolita.

Najbardziej nieprzewidziane piękno wewnętrzne tę szczególną posiada właściwość, że najbardziej ograniczony nawet człowiek nie może utrzymywać szczerze, jakoby nie był w stanie jej rozumieć—a najwznioślejszym czynem jest czyn taki, który najłatwiej daje się zrozumieć. Dorastanie do wyzyna tego, co potrafimy wielbić, nie jest może warunkiem nieodzownym, natomiast niewolno zasypiać w przepaścistych głębiach pojęć, od których potępienia nie możemy się powstrzymać.

Powróćmy jednak do ucieczki naszych mędrców. Znaczna część szczęścia i nieszczęścia w życiu zależy li tylko od trafu,

od którego nie jest jednak nigdy zależnym spokój wewnętrzny. Wiem, że istnieją dusze, wznoszące gmachy, że są inne, lubujące się w rumowiskach i jeszcze inne, wiodące żywot tułaczy i szukające wciąż schronienia pod obcym dachem. Jakkolwiek trudno jest zmienić instynkt duszy, niedaremna jednak będzie rzeczą, aby dusze, które same nie budują, świadome były roskoszy, jaką odczuwają inne przy bezustannem składaniu i gromadzeniu kamienia na kamieniu.

Posługują się one wszyskciem: myślami uczuciami, przywiązaniem, miłością, przekonaniami, rozczarowaniami, nawet zwątpieniem—a to, co zostaje strzaskane i z korzeniem wyrwane przez burzę, daje się z większą jeszcze łatwością zużytkować przy odbudowaniu nieco dalej gmachu mniej wyniosłego, ale lepiej za to przystosowanego do wymagań życia.

Jakież smutki, żale lub zawody mogą wstrząsnąć jeszcze posadami domu, wzniesionego przez człowieka, który nie odrzucił mądrych i trwałych stron smutków, żalów i zawodów—wówczas, kiedy dobierał kamieni na budowę swej siedziby? A także, używając innego porównania — czy nie można powiedzieć bardzo słusznie, że z korzeniami szczęścia wewnętrznego dzieje się to samo, co z korzeniami drzew? Dęby, najwięcej

preśladowane przez burze, najpotężniej wrastają w głębię wiecznego gruntu, z którego najpożywniejsze też za pomocą swoich korzeni czerpią soki i zarówno jak wiatr, wstrząsający konarami drzew, nie domyśla się, co się dzieje pod ziemią, tak samo niesprawiedliwie dokuczający nam los, nie wie, co zachodzi w duszy naszej.

C.

Ciekawą jest rzeczą podpatrzenie tutaj całej potęgi i tajemniczego czaru, jakim owiane jest prawdziwe szczęście. Kiedy jeden z członków „tej małej gromadki“ przechodzi śród zwyciężkiego i szczęśliwego tłumu, zapełniającego intrygami, ukłonami, miłostkami, drobnymi tryumfami marmurowe schody i wspaniałe apartamenta dworu Wersalskiego, zapanowuje częstokroć pewien rodzaj ciszy w szumnym opisie Saint Simon'a, Jakkolwiek nie zwraca on wcale uwagi czytelnika w tym kierunku, doznaję się na chwilę chęci zmierzenia tych drobnych próżnostek, tych błyskotliwych, ale znikomych uciech, tych kłamstw, które, mówiąc podniesionym głosem, drżą w ukryciu—miarą zwykłej wyżyny, na jakiej staje spokojna i silna dusza. Ma tu miejsce to samo, co zdarza się gromadzie rozdokazywanych dzieci, bawiących się w gry niedozwolone, wyrrywających lub niszczących kwiaty, zabierających

się do wykradania owoców, podstępnie dręczących niewinne zwierzę,—kiedy nagle zjawia się wśród nich ksiądz lub starzec, który nie myśli bynajmniej gromić ich. Zabawa nagle zostaje przerwana; budzi się chwilowo sumienie—a zawstydzone spojrzenia skierowują się pomimo woli w stronę obowiązku, rzeczywistości i prawdy.

Ale wzroku ludzi — podobnie jak wzroku dzieci—nie przykuwa na długo postać starca, księdza lub oddalającego się myśliciela. I to jednak wystarcza: widzieli; dusza ludzka bowiem, na przekór oczom, odwracającym się lub zamykającym zbyt chętnie, szlachetniejszą jest, aniżeli pragnęłaby tego większość dla własnego spokoju — i z łatwością dostrzega momenty wyższe nad bezcelową chwilę, na którą światł usiłuje skierować jej uwagę.

Pomimo szeptów, rozlegających się na całej drodze odchodzącego mędrca, przejście jego wyłobilo — bez udziału jego wiedzy i woli—w szeregu błędów i próżności ścieżkę, niedającą się zatrzeć tak łatwo, jakby się zdawało. Ślady jej wystąpią wyraźniej w niespodzianej godzinie smutku. Dusza, nieco od innych czyściejsza, nieco żywiej niż inne czująca, gdy płakać jej się zdarzy, szuka prawie zawsze w opisie Saint-Simon'a tych, których dostrzegła ongi, przechodzących w pełnej niespokojnych szeptów ci

szy i złowrogiego prawie zdziwienia, jakie towarzyszą zawsze w świecie krokom nieskalanego życia.

Człowiek szczęśliwy nie analizuje swojego szczęścia; gdy przyjdzie jednak chwila cierpienia, wnet budzi się w umyśle tego, kto w dniach szczęścia nie zaglądał w głąb własnej duszy, pamięć miejsca, gdzie kryje się spokój, niezależny od promieni słońca, od wzbronienia pocałunku lub też od niełaski monarszej. Nie szukamy wówczas ludzi, których szczęście podobne jest do naszego dotychczasowego szczęścia, wiemy już bowiem, co pozostaje zeń z chwilą, kiedy los najmniejszy daje znak zniecierpliwienia. Jeżeli chcecie wiedzieć, gdzie kryje się najbardziej niezawodne źródło błogości, nie traćcie z oczu kroków nędzarzy, szukających pociechy. Cierpienie podobne jest do wiecznej laseczki jaką posługiwali się ongi poszukiwacze skarbów lub żywych zdrojów: wskazuje ono dźwigającemu je człowiekowi podwoje przybytku najgłębszej ciszy i spokoju. Jest to tak dalece niezwruszoną prawdą, że powinniśmy zadawać sobie czasem pytanie, czy możemy mieć zaufanie do rodzaju naszego bezpieczeństwa, do naszego spokoju, do szczerości naszego poddawania się wielkim prawom bytu, do stałości naszego zadowolenia — dopóki instynkt ludzi

cierpiących nie każe im pukać do naszych drzwi, dopóki nie zdają się oni rozpoznawać, uśpionego na progu naszym, pięknego, stałego i równego promienia nigdy niegasnącego światła.

Tak; ci tylko mają prawo uważać się za bezpiecznych, do których przychodzą płakać wszyscy nieszczęśliwi. Istnieją rozproszone na świecie osobniki, których uśmiech wewnętrzny spostrzegamy wówczas dopiero, kiedy łzy, oczyszczające nasz wzrok i z najtajniejszych płynące źródeł, nauczyły nas odróżniać obecność szczęścia, nie zrodzonego jedynie w blasku i sprzyjających okolicznościach jednej godziny, ale zbudowanego na trwałej podwalinie najszerszego pogodzenia się z życiem. I tutaj, jak wszędzie prawie, pożądanie i potrzeba pobudzają i zastrzają nasze zmysły. Głodna pszczoła odnajduje miód, ukryty w najgłębszych zakątkach—a dusza, szczeremi płacząca łzami, dostrzega szczęście, tkwiące w najnieodostępniejszej kryjówce i ciszy.

CI.

Właściwe przeznaczenie rozpoczyna się z chwilą, kiedy budzi się w człowieku samowiedza. Nie idzie tu o ciąsną i bierną samowiedzę większości dusz, ale o samowie-

dzę czynną, która przyjmuje wszelkie wydarzenia z godnością, z jaką wtrącona do więzienia królowa umie przyjmować dary. Jeżeli nie w życiu waszem nie zajdzie, wewnętrzna świadomość wasza może stworzyć wydarzenie nader ważne tem samem już, że stwierdzi w pewien szczególny sposób brak wszelkich wydarzeń. Może nie istnieje jednak człowiek, który nie doznawałby więcej przygód, aniżeli łaknie ich najbardziej niezmordowana, najbardziej chciwa samowiedza.

Myślę w tej chwili o życiorysie jednej z tych dusz potężnych i gorących, obok których wszystkie, zda się, przygody, stanowiące o szczęściu lub nieszczęściu ludzkiem, przeszły, nie otarłszy się o nie. Mówię o kobiecie genialnej, bezsprzecznie najniezwykłej, jaką zrodziła pierwsza połowa ubiegłego stulecia, o Emilii Brontë. W puściźnie po niej pozostała nam tylko jedna powieść, pod tytułem: „*W u t h e r i n g H e i g h t s*“, dziwaczny tytuł, który dałoby się przełożyć na: „*B u r z l i w e s z c z y t y*“.

Emilja była córką angielskiego duchownego, wielebnego Patryka Brontë, istoty najbardziej samolubnej i pretensjonalnej, jaką można sobie wyobrazić. Do dwóch w życiu rzeczy przywiązał wagę: do czystości swojego greckiego profilu i nieskazitelności swojego trawienia. Co się tyczy biednej

matki Emilii, całe jej życie zdawało się poświęconem wyłącznie zachwycaniu się czystością owemu profilu oraz szanowaniu męzowskiego żołądka. Zresztą, po cóż wspominać nawet o jej istnieniu, skoro umarła w dwa lata po przyjściu na świat Emilii? Dodajmy jednakże—choćby jedynie w celu zaznaczenia raz jeszcze, że w życiu pospolitem kobieta prawie zawsze wyżej stoi od mężczyzny, którego jej narzucono — dodajmy zatem, że po upływie długiego czasu po śmierci uległej małżonki próżnego i węgętującego tylko samoluba, znaleziono paczkę listów, w których ta, co zawsze milczała, wydała bardzo jasny i stanowczy sąd o obojętności, zarozumiałości i sobkostwie swojego męża. Co prawda dostrzeganie wad w innych nie dowodzi bynajmniej, aby się samemu było od nich wolnym, przeciwnie zaś, odkrycie w innych cnoty — wymaga może koniecznie posiadania samemu chociażby jej zarodka.

Takimi byli rodzice Emilii. Cztery siostry i jedyny brat dzielili z nią jednostajną szaryzną bytu. Cała rodzina zamieszkiwała, ponurą, pustynną, samotną, nędzną i nieurodzajną wioskę Haworth, pośród wrzosów Yorkshiru, gdzie upłynęło też całe życie Emilii.

Niebyło chyba dzieciństwa, spędzonego w większym osamotnieniu, bardziej pozbawionego słońca i wesołości, bardziej jednostajnego, aniżeli dziecinne lata Emilii oraz czterech jej sióstr. Ani jedna z tych drobnych, szczęśliwych lub niespodzianych przygód, upiękuszonych i wyolbrzymionych przez czas i tworzących w głębi duszy jedyną, niewyczerpaną skarbnicę, nie złociła promieniami swoimi wspomnień ich lat minionych. Od pierwszego do ostatniego dnia wiecznie to samo: wstanie, krzątanie się około gospodarstwa, lekcye, praca pod kierunkiem starej ciotki, pory posiłków, spacer, trzymających się za ręce i zawsze prawie milczących, poważnych dziewczątek wśród pól wrzosu, okrytych kwiatem lub śniegiem. W domu zupełna obojętność zawsze prawie niewidzialnego ojca, jadającego w swoim pokoju, schodzącego na dół tylko wieczorami w celu głośnego odczytywania w ogólnej sali przeraźliwie nużących rozpraw parlamentu angielskiego. Nazewnątrz cisza cmentarna, otaczająca dom, wielka bezlistna pustynia i nagie pagórki, ogałacane od wiosny do zimy przez podmuchy straszliwego wiatru północnego.

Trafy życiowe, usiłujące weisnąć się do każdego istnienia, wyrwały Emilję kilkakrotnie z tej pustyni, którą nauczyła się ona

kochać i uważać — co zazwyczaj zdarza się istotom, przebywającym zbyt długo w pewnej miejscowości — za jedyne miejsce, gdzie niebo, ziemia i rośliny są prawdziwe i godne uwielbienia. Po upływie kilku jednak tygodni nieobecności zaczynała tęsknić, przygasał ogień jej pięknych, palących oczu i jedna z sióstr musiała spiesźnie sprowadzić ją do samotnego domu pastora.

W 1843 — liczyła wówczas dwadzieścia pięć lat — powróciła do rodzinnego swojego gniazda, aby go już nieopuszczać do śmierci. Żadne wydarzenie, ani jeden uśmiech, ani jedna iskierka nadziei miłości nie opromieniły jej życia przed tym ostatecznym powrotem. Nie było w niem nawet okazji do rozpamiętywania jednego z nieszczęść lub rozczarowań, jakie pozwalają istotom, zbyt słabym lub zbyt mało od życia wymagającym, wyobrażać sobie, że bierna wierność temu, co samo przez się uległo zagładzie, jest aktem cnoty; że bezczynność, skąpana we łzach, tłumaczy tą bierność — i że dokonało się wszystkiego, czego dokonać należało, odnajdując w cierpieniu wszystkie smutki i powody do tylokrotnego zaparcia się, jakie znaleźć w niem było można.

W życiu Emilii nie było nawet o co zacząć — na dziewiczych i gładkich ścianach duszy bez przeszłości — wspomnienia lub re-

zygnacyi. Nic przed tym ostatnim postojem nic po nim — z wyjątkiem chyba drobnych i smutnych przygód szarytki, dozorującej brata, którego życie złamało lenistwo oraz wielki nieszczęśliwy nałóg, brata nawpół obłąkanego, niepoprawnego pijaka i spożywacza opjum. Wreszcie, u schyłku 29-go roku życia, pewnego grudniowego popołudnia, w biednej, wybielonej wapnem, mównicy małego prezbyteryum, podczas kiedy czesała przy kominku swoje długie, czarne włosy, grzebień potoczył się pomiędzy płomienie, ona zaś sił nie miała go podnieść—a śmierć, cichsza jeszcze niż życie, wyrwała ją łagodnie z bezsilnych objęć dwóch sióstr, jakie pozostały jej z woli losu.

CII.

„Nie dostrzegam dla ciebie na wielkich skrzydłach losu ani znaku miłości, ani isierki sławy, ani jednej promiennej godziny“! woła w pięknym przystępie smutku miss Mary Robinson, opowiadająca nam smutne te dzieje. W istocie, oglądane z zewnątrz, życie Emilii Brontë jest najbardziej ponure, bezbarwne, jałowe, pozbawione słońca i ciepła, jakie sobie tylko wyobrazić można.

Z jakiej jednak strony zapatrywać się należy na życie, aby odkryć jego istotę, aby

odkryć jego istotę, aby je osądzić, zrozumieć i pokochać? Sprobujmy odwrócić na chwilę oczy od małego presbiterium, osamotnionego wśród piaszczystych stepów i skierujmy je na duszę naszej bohaterki—a odmienny wnet ujrzymy widok. Rzadko udaje się wybadać w ten sposób życie duszy w ciele, które żadnym nie doświadczało przygód; nie jest jednak rzeczą tak niezwykłą, jak здавацьby się mogło, aby dusza żyła życiem własnym, prawie niezależnym od wydarzeń tygodnia lub roku. W książce „Burzliwe szczyty“, będącej obrazem namiętności, pragnień oraz ich urzeczywistnień, rozmyślań, ideałów duszy Emilii — słowem prawdziwą jej historią, więcej jest przygód, zapału i miłości, aniżeli potrzebaby ich było do ożywienia i zadowolenia dwudziestu z kolei bohaterskich istnień, dwudziestu szczęśliwych lub nieszczęśliwych przeznaczeń.

Żadne zdarzenie nie zatrzymało się nigdy na progu jej siedziby; nie istnieje jednak wydarzenie, do jakiego miałyby ona prawo—a które nie odbyłoby się w jej sercu w sposób niezrównanie silny, piękny, dokładny i rozległy. Nic jej się nie zdarza na pozór; czy jednak nie doświadcza ona wszystkiego bardziej osobiście i namacalnie, aniżeli

większość ludzi? wszystko przecież, co zachodzi dokoła niej, wszystko, cokolwiek widzi ona i słyszy, przeistacza się u niej w myśli, uczucia i miłość pełną pobłażania, w cześć i zachwyty dla życia.

I cóż właściwie za różnica, czy dane wydarzenie spada na dach nasz czy sąsiada? Woda, płynąca z chmur, należy do tego, kto ją zbiera—a szczęście, piękno, zbawienny niepokój czy ukojenie, w jakie brzemienno jest gest trafu, staje się własnością człowieka, który nauczył się myśleć. Emilja nie doświadczyła nigdy miłosnej przygody, nie wsłuchiwała się nigdy w cudowny odgłos kroków kochanka—a jednak ona to właśnie, która umarła w stanie dziewictwa w 29-ym roku życia, znała miłość, mówiła o miłości, zgłębiła najskrytsze jej tajniki do takiego stopnia, że ci, co najgoręcej kochali, zadają sobie nieraz pytanie, jakim mają nazwać mianem swoje uczucie, skoro ona dopiero uczy ich słów, porywów, uniesień i tajemnic miłości, wobec której wszystko bladem się wydaje i znikomem.

Któż, jeżeli nie własne jej serce, podszeptął jej niezrównane słowa kochanki, mówiącej do swojej mamki o tym, którego wszyscy dokoła niej prześladują i nienawidzą i którego ona jedna uwielbia. „Największe-

mi mojemu na tym świecie nieszczęściami. Były jego nieszczęścia. Widziałem je wszystkie i odczuwałem od samego początku. Myśl moja, gdy żyję — to on. Gdyby wszystko zginęło, on jeden zaś tylko pozostał, nie przestałabym istnieć; gdyby zaś wszystko pozostało — a on jeden tylko zginął, świat cały stałby się dla mnie jedną olbrzymią, obcą i obojętną duszą i przestałabym być jego częścią. Miłość moja dla tamtego, o którym mówisz, jest jako liście lasów: czas je przeobrazi, podobnie jak zima przeobraża drzewa, miłość zaś moja dla niego podobna jest do wiecznych opok podziemnych. Są one źródłem niewielu widomych roskoszy — a jednakże są potrzebne. — Żyję jego życiem. Jestem nim. Myśl moja zawsze i wiecznie jemu poświęcona; nieodstępnie towarzyszy on jej, nie będąc dla niej źródłem roskoszy, zarówno jak ja sama nie jestem zawsze dla siebie powodem radości. Kocham go, nie dlatego, że mi się zdaje pięknym, ale dlatego, że jest on bardziej mną, niż cała własna moja istota — i z jakiegokolwiek treści składają się nasze dusze, jego dusza i moja — jedną, nierozzerwalną tworzą całość...

Dotyka ona zewnętrznych, realnych stron miłości, zdradzając niewinność, mogącą wywołać uśmiech na wasze twarze; gdzie je-

dnak poznała ona te realne strony miłości, które łączą się ze wszystkim, co jest w niej najgłębszego, najnielogiczniejszego, najbardziej nieprzewidzianego nieprawdopodobnego i wiekuiście prawdziwego? Zda się, że należałoby żyć przez 30 lat w najgorętszych okowach najpłomienistych uścisków, aby poznać to, co zna ona; aby odważyć się dać nam równe śmiały, równie niezwalczenie ścisły obraz upojenia miłosnego dwojga przeznaczonych dla siebie kochanków.

Widzimy w „Burzliwych szczytach“, najsprzeczniesze porywy łagodności, która chciałaby zadawać cierpienia — i okrucieństwa, pragnącego uszczęśliwiać; błogostanu, dążącego do śmierci i rozpacz, garnącej się do życia; wstrętu, szukającego uścisku i uścisków, przepojonych wstrętem; miłości, pełnej nienawiści oraz nienawiści, uginającej się pod ciężarem miłości.

CIII.

A przecież wiemy — niema bowiem nic ukrytego w tem nędznem życiu — że niekochła ona nikogo i przez nikogo wzajemnie była kochaną. Więc prawdą jest, że o istocie i treści całego życia stanowi ostatecznie słowo, jakie los szepcze w najskrytszym

zakątku naszego serca? Prawdą więc jest, że istnieje życie wewnętrzne, równie rzeczywiste, równie obfitujące w doświadczenia, równie drobiazgowo, jak zewnętrzne? Prawdą zatem jest, że można żyć i kochać, że można nienawidzić, nie mając kogo odpychać ani też na kogo czekać? Zatem prawdą jest, że dusza starczy za wszystko, że na pewnej wyżynie ona jedna zawsze o wszystkim rozstrzyga? Prawdą więc jest, że okoliczności smutne są lub jałowe dla tych tylko, których samowiedza śpi jeszcze?

Czyż wszystko, czego na szerokich gościńcach życia szukamy: miłość, szczęście, piękno, przygody różne—nie skupia się w sercu Emilii? Żaden z dni jej na ziemi istnienia nie obdarzył jej ani jedną z uciech, ani jednym wzruszeniem lub uśmiechem, jakie widzialne są dla naszych oczu, jakie ująć mogą nasze dłonie — a jednak żyła ona życiem całkowitem, nic nie pozostawało w niej w stanie uśpienia, serce jej pełne było zawsze jasności, cichego rozradowania, ożywienia i nadziei.

Była ona szczęśliwa — niepodobna o tem wątpić. Gdy otwiera tajniki swej duszy może roztoczyć przed oczyma naszemi tak samo obfite i wiecznie trwałe, niezniszczal-

ne żniwo, jakie zebrali najlepsi z ludzi, którzy zaznali szczęścia najbardziej różnolitego, najtrwalszego, najżywszego i najdoskonalszego. Jakkolwiek żadna znikoma cząstka miłości, cierpienia, obawy, namiętności, rozkoszy — nie była jej udziałem, posiadała ona jednak to wszystko, co pozostawają po sobie trwałego poruszenia duszy ludzkiej, należące już do historii. Któż bowiem prawdziwym będzie posiadaczem: czy ślepiec, który zamieszkuje stale pałac czarodziejski, czy ten, kto raz tylko wszedł do tego pałacu, ale wchodząc, miał oczy szeroko na cuda jego otwarte „Życie, nieżyć“. Nie dajmy się wprowadzić w błąd przez te wyrazy. Najzupełniejszą jest możliwością życie bez myślenia; niemożliwą jest jednak rzeczą myśleć nie żyjąc. Szczęśliwą lub nieszczęśliwą treść wydarzenia stanowi pojęcie, jakie ono rodzi: silni tworzą sobie owo pojęcie sami, słabym zaś podsuwają je inni.

Zdarzyć się może, iż tysiące wydarzeń fizycznych znajdzie się na waszej drodze od kolebki do mogiły, ale żadnemu z nich nie przeciwstawicie siły, jakiej wymagałoby ono, aby przeistoczyć się w wydarzenie wewnętrzne. W takim właśnie wypadku musi człowiek sobie powiedzieć: „Może wcale nie żyłem“.

CIV.

To też twierdzić można, że strona moralna oraz światopogląd naszej bohaterki ściśle odzwierciadlają szczęście jej wewnętrzne. Taką właśnie jasną polaną mieć należy u schyłku życia zawsze na uwadze, gdy po przez las wypadków ocenić chcemy rozmiary szczęścia. Któż bowiem, znalazłszy się na wyżynach poznania i ukojenia, do jakich wzniosła się dusza Emilii Bronte, mógłby jeszcze oblewać małostkowemi łzami zawody, niepokoje i smutki powszednie, które jedynem są źródłem cierpień, jątrzą bowiem wzrok zamiast orzeźwić go i rozjaśnić?

Rozumiemy więc, że nie płacze ona jak większość kobiet, błakających się przez całe swe życie od jednego drobnego rozczarowania do drugiego. Takie drobne rozczarowanie wtedy tylko przytłacza, gdy się niepotrzebnie je wciąż obnosi, podobnie jak drwalowi ciążyłaby jego wiązka zeschniętych gałęzi, gdyby nigdy się z nią nie rozstawał, nigdy nie składał jej na ziemię. A przecież zeschnięte gałęzie nie po to zostają zbierane, aby je obnoszono na plecach, ale po to, aby w postaci jaskrawych języków ognistych ogrzewały nasze siedziby. Gdy się widzi wesołe, jasne ognie, płonące w duszy Emilii, zapo-

mina się — tak samo jak ona sama o nich już nie pamiętała — o smutnych, uschłych gałęziach. Niema nieszczęścia, pozbawionego jaśniejszego widnokregu; niema smutku, na jaki nie znalazłoby się lekarstwo dla istoty, która cierpiąc i smucąc się na równi z innymi, uczy się szukać na dnie smutków i nieszczęść przejawów wielkiego życia natury, jedyne go życia rzeczywistego. „Człowiek mądry nie może nigdy bezwzględnie powiedzieć, że cierpi; wznosi się on bowiem po nad swoje życie — pisała kobieta czarująca, która dużo cierpiała;— ocenia je z niebosiężnych wyżyn i jeżeli cierpi, jeszcze dzisiaj, to jedynie dla tego, że zwrócił się myślą ku niedokończonej, niedoskonałej stronie swej duszy“. Autorka przesuwając przed oczyma naszymi obok obrazów dobroci i prawości, obrazy złości, nienawiści, najbardziej zawziętej zemsty oraz najprzenikliwszego wiarołomstwa—a jednak nie potrzebuje nawet wybaczać, bowiem przebaczenie równa się niezupełnemu jeszcze rozumieniu. Patrzy ona, uznaje i kocha. Uznaje i kocha zarówno dobro jak zło, albowiem zło jest tylko zbląkanem dobrem. Uczy nas—nie za pomocą kaznodziejskich tyrad moralnych, ale w taki sam sposób, w jaki lata i ludzie głoszą wobec nas swoje prawdy, do których

przyjmowania jesteśmy zdolni rozumieć ostateczną bezsilność zła wobec życia ukojenie wszystkiego w obliczu natury i śmierci, będącej li tylko zwycięstwem, jakie odnosi życie nad jedną ze swoich poszczególnych postaci". Wskazuje nam bezcelowość najzręczniejszego, najbardziej pełnego siły i najgenialniejszego kłamstwa w obliczu najsłabszej i najmniej świadomej prawdy, roztacza obraz zawodów, spotykających nienawiść, która bezwiednie sieje szczęście i miłość, gdy zamiarem jej było zupełne zniweczenie przyszłości. Mówi nam, pierwsza może, o wielkiem prawie dziedziczności, aby nauczyć nas pobłażania; i kiedy, w końcu swej książki, prowadzi nas na wiejski cmentarz, aby zwiedzić wraz z nami miejsce wiecznego spoczynku swoich bohaterów, znajduje mogiły katów, okryte równie soczystą zielenią, jak mogiły ich ofiar; dziwi się więc, że ktoś mógłby sobie wyobrazić, jakoby zły sen był w stanie zakłócić spokój tych, co śpią snem wiecznym w głębi obojętnej i cichej ziemi.

CV.

Pojmuję dobrze, że idzie tu o istotę genialną, takie jednak osobniki nieco jaskrawiej tylko zaznaczają to, co może dotyczyć, co dotyczy wszystkich ludzi, o ile zamiast

geniuszu, nie wchodzi w grę obłąd lub dziwactwo. Im dłużej człowiek żyje, tembardziej się przekonywa, że rzeczy niezwykle nie są bynajmniej związane nieodłącznie z genialnością i że na istotną wyższość składają się pierwiastki, dostępne dnia każdego każdemu człowiekowi. Zresztą nie idzie w tej chwili o literaturę. Nie w swojej twórczości, ale w życiu swoim wewnętrznym, znajduje Emilia ukojenie, często najświetniejsza bowiem twórczość żadnego nie wywiera wpływu umoralniającego — Emilia byłaby milczała, dłoń jej nie byłaby nigdy ujęła pióra, chociażby tkwiła w niej nawet ta sama potęga, żywotność i bujność miłości; chociażby duszę jej opromieniał ten sam uśmiech wewnętrzny istoty, która zdaje się wiedzieć, dokąd dąży; chociażby cechowała ją ta sama równowaga i spokój, które umiały pogodzić się na wyżynach z wielkimi niepewnościami i wielkimi nędzami świata. Nie byłibyśmy o niej wprost nic wiedzieli.

To ciche, korne życie niejednego nas uczy. Nie znaczy to, aby należało stawiać je za wzór ludziom skłonnym do rezygnacyi, mogłoby wprowadzić je ono w błąd. Zdaje się, jakoby wyłączną jego treścią była oczekiwanie — a nie wszyscy mają prawo oczekiwać.

Emilja umarła, jako dziewica, mając lat 29 a dziedzictwo nie może być uważanem za rzecz słuszną. Czyż nie jest pierwszym każdej istoty obowiązkiem otworzenie swojemu przeznaczeniu wszystkich wrót, do jakich ludziom dozwolony jest przystęp? Wolę raczej dzieło niedokończone, aniżeli życie niezupełne. Słusznie lekceważyć należy bezowocne zadowolenia próżności: nie jest jednak rzeczą mądrą dobrowolne niemal odsuwanie od siebie zasadniczych zadatków prawdopodobnego największego szczęścia. Wolno jest duszy nieszczęśliwej żywić uczucie szlachetnego żalu. Szersze nieco zapatrywanie się na nędzę własnego bytu jest już niejako probowaniem w ukryciu siły swoich skrzydeł, które pozwolą nam kiedyś w przyszłości wnieść się wysoko po nad wszystkie te smutki.

W życiu Emilji brak może pewnych usiłowań. Duszy jej nie zbywało ani na gorących uczuciach, ani na niezależności; ale życie jej pełne było lęku, milczenia, bierności, ograniczeń, zaparcia się oraz wielu przesądów, jakimi gardziła jej myśl. Jest to nazbyt często udziałem dusz nadmiernie myślących. Trudno jest bardzo wydawać sąd o życiu pojedynczego osobnika samem w sobie, co się zaś specjalnie tyczy Emilii

Brontë, dużo dałoby się powiedzieć o poddaniu się, z jakim poświęciła ona najlepsze lata swojej młodości na pielęgnowanie niegodnego, ale nieszczęśliwego brata. Można więc mówić tylko bardzo ogólnikowo. Jakże długą jednak i ciasną jest droga, wiodąca u wszystkich prawie istot od duszy ich do ich życia! Z naszymi śmiałymi, sprawiedliwymi, prawymi i tchnącymi miłością myślami, dzieje się to samo, co z dębowymi żółędziami w lesie: tysiące i dziesiątki tysięcy giną i gniją w mchu, zanim jedno jedyne wyrośnie z nich drzewo.

„Posiadała ona—powiada, mówiąc o innej, kobieta, której słowa przytoczyłem przed chwilą—posiadała ona piękną duszę, bogaty umysł, czułe serce, ale wszystko to przedostawało się do życia przez długą ścieżkę ciasnego bardzo charakteru. Spostrzegam prawie zawsze ten sam brak trzeźwości, nade wszystko zaś ten sam brak wnikania w samego siebie. Każdy osobnik, chcąc pokazać nam swoje życie, zaczyna od zapoznawania nas ze swoimi poglądami, swoim sposobem pojmowania i odczuwania; widzimy wtedy szlachetny rodzaj duszy; potem, w miarę przenikania wraz z daną istotą istotą w jej życie, poznajemy jej czyny, cierpienia jej i radości—i we wszystkim tem niema już,

ani śladu duszy, która wyłoniła nam się na chwilę z wygłaszanych zasad i myśli. Z chwilą zapoczątkowania czynu odzywają się instynkty, charakter bierze górę, dusza zaś, czyli wyższa część istoty zdaje się unices-
twioną, niby księżniczka, która woli raczej żyć w nędzy, aniżeli unurzać swoje piesz-
czone dłonie przy dokonywaniu grubszej roboty“.

CVI.

Niestety! niczego nie dokonano, dopóki nie przywkleiliśmy nurzać rąk naszych, dopóki nie nauczyliśmy się przekuwać złota i srebra naszych myśli i pojęć na klucz, otwierający nietylko alabastrowe podwoje naszych marzeń, ale i wrota własnego domu naszego; na czarę zamykającą nietylko cudowne źródło naszych snów, ale niepozwalającą uciekać rzeczywistym kroplom, jakie spadają na nasz dach; na szalę, która niezadawalnia się niepewnem ważeniem tego, czego mamy dokonać w przyszłości, ale która wskazuje nam z całą ścisłością wartość czynów, spełnionych przez nas dnia dzisiejszego. Najwyższy ideał pozostaje tylko ideałem tymczasowym, dopóki nie przeniknie do głębi wszystkich naszych członków, dopóki nie uda mu się wślizgnąć niejako do

koniuszczków naszych palców. Są istoty, którym skupienie się w samych sobie przynosi tylko korzyść rozumową; są inne, na które toż samo zagłębianie się w odmienny wpływa sposób, kształci bowiem i urabia ich charakter. Pierwsze jasno widzą rzeczy, dopóki nie idzie o nie same, dopóki nie wchodzi w grę czyn; z oczu drugich spada bielmo wówczas właśnie, kiedy otwierają się przed nimi wrota rzeczywistości; kiedy przystąpić wypada do działania.

Rzec można, że istnieje rodzaj świadomości rozumowej, wiecznie rozpartej na nieruchomym tronie, i porozumiewającej się z wolą za pośrednictwem zdradzieckich lub opieszłych posłów — oraz inny rodzaj świadomości moralnej, stojącej zawsze na pogotowiu, zrywającej się na pierwsze skinienie do lotu. Ta ostatnia zależna jest może, co prawda, od pierwszej; jest może tylko dalszym ciągiem pierwszej, znużonej długotrwałej spoczynkiem, który nauczył ją wszystkiego, co mogła poznać; odważa się więc ona wreszcie wstać, zejść z bezczynnych stopni i wstąpić w życie. Bardzo byłoby to pięknie, o ile tylko nie zasiedziała się tak długo, że zeszywniałe członki odmówiły jej posłuszeństwa.

Któż w stanie jest nas oświecić, czy nie-

lepiej byłoby nieraz działać wbrew swoim pojęciom, niżeli nie mieć nigdy odwagi działania w myśl swoich idei? Błąd czynny rzadko bywa nie do naprawienia; rzeczy i ludzie wnet przyjmują na siebie obowiązek sprostowania go; cóż mogą jednak poradzić wobec błędu biernego, unikającego wszelkiego zetknięcia się z rzeczywistością? Nie znaczy to wszystko jednak, aby należało miarkować naszą świadomość rozumową i lękać się nadmiernego jej podsycaenia w przewidywaniu zbudzenia się świadomości moralnej. Nie lękajmy, się tworzenia ideałów zbyt pięknych, aby można było je zastosować w życiu.

Wprowadzenie w czyn najdrobniejszego choćby przejawu sprawiedliwości lub miłości całego wymaga potoku dobrych chęci. Pojęcia nasze muszą być dziesięć razy wyższe od naszych czynów, jeżeli chcemy, ażeby czyny nasze były przeciętnie uczciwe. Należy olbrzymio pragnąć dobra, aby mózdz uniknąć odrobinki zła. Niema ani jednej siły tego świata, która byłaby narażona na tak wielkie straty, jak idea, powołana do wcielenia się w życie powszednie; dla tego też trzeba być bohaterskim w myślach, aby mózdz być znośnym przynajmniej lub nieszkodliwym w czynach.

CVII.

Potrąćmy po raz ostatni o losy tragiczne. Są one dla nas wskazówką, że nawet wobec wielkich klęsk fizycznych nie może być mowy o złem, na które niema ratunku i że wyrzekanie na los równa się prawie zawsze oskarżaniu o pospolitość i ubóstwo własnej duszy swojej.

Historya Rzymu podaje między innymi dzieje pewnego senatora galijskiego, Juljusza Sabinusa, który wystąpił przeciwko cesarzowi Wespazyanowi i został pokonanym. Nie trudno byłoby mu uciec do Germanów, nie chciał jednak opuszczać modziutkiej swojej żony, Eponiny, której zabrać z sobą nie mógł.

Zdaje się, że w dniach niepokoju i nieszczęścia poznaje się nareszcie jedyną i prawdziwą wartość życia — to też nie wyrzekł się go Juljusz Sabinus. Posiadał on dom podmiejski, pod którym ciągnęły się na znacznym obszarze podziemia, znane tylko jemu oraz dwóm wyzwolencom. Kazał więc podpalić ów dom i postarał się, aby gruchnęła wieść, że on sam otruił się i że ciało jego stało się pastwą płomieni. Uwierzyła temu nawet Eponina—jak powiada Plutarch, z którego dzieł czerpię niniejszy opis w tej po-

staci, w jakiej uzupełnił go dziejopis Antoniuszów, hrabia de Champagny — i kiedy wyzwoleniec Martialis oznajmił jej o samobójczej śmierci małżonka, przeleżała ona trzy dni i trzy noce na ziemi, wszelkiego odmawiając posiłku. Sabinus, dowiedziawszy się o tem, ulitował się nad nią i kazał powiedzieć Eponinie, że żyje. Eponina nie zdjęła, rozumie się, szat wdowich, nie przestała ronić łez w ciągu dnia, wobec ludzi, ale odwiedzała męża nocą w jego kryjówce. W ciągu siedmiu miesięcy schodziła co noc do pieczar, gdzie czekał na nią stęskniony małżonek. Probowwała nawet oswobodzić go z dobrowolnego więzienia: ostrzygła mu brodę i włosy, okryła głowę jego przepaskami, przebrała go, ukryła pod stosem odzieży i zawiozła do swego miasta rodzinnego. Wkrótce jednak pobyt ten wydał się jej niebezpiecznym, sprowadziła więc męża na powrót do podziemi — a sama mieszkała przez czas jakiś na wsi, aby módz spędzać noce z małżonkiem, i znów wracała do miasta, ukazując się swoim przyjaciółkom i żyjąc wśród nich.

Po pewnym czasie zaszła w ciążę i dzięki maści jakiejś, którą smarowała sobie ciało, żadna z kobiet nie zauważyła — nawet pod-

czas branych wspólnie kąpieeli — ciężarnego jej stanu. Kiedy zbliżyła się chwila rozwiązania, zstąpiła do podziemi i sama, bez akuszeryjnej pomocy, jak lwica rodząca w swojej jamie, wydaje na świat dwoje bliźniąt.

Wykarmiła je swoim mlekiem, wychowywała i podtrzymywała męża swego w ciągu dziewięciu lat w ciemnej pieczarze, którą jednak wykryto — a Sabinusa sprowadzono do Rzymu. Zasłużył on zaiste na wyrozumiałość Wespazjana; Eponina, pokazując cesarzowi obu swoich, wychowanych pod ziemią, synów, zawołała: „Wydałam ich na świat i wychowałam, aby więcej ust mogło błagać cię, panie, o łaskę“. Obecni płakali; nie nie było jednak w stanie zmiękczyć gniewu cesarza — i śmiałej Galijce nie pozostało nic innego, jak tylko prośba, aby wolno jej było umrzeć wraz z małżonkiem. „Żyłam z nim — były ostatnie jej słowa — szczęśliwsza w mrokach podziemia, niż byłś nim kiedykolwiek ty, o wielki Cezarze, skąpany w jasnych blaskach słonecznych, otoczony całą wspaniałością i przepychem twojego tronu“.

CVII.

Któż śmiałby wątpić o tem, czyje serce zawahałoby się ukochać mroki, ozłoczone

promieniami takiej miłości? Niejedna niewątpliwie straszna i nędzna upłynęła im w głębi ich kryjówki godzina; któż jednak z pośród tych nawet, którzy o najmarniejsze dbają rokosze życia, nie wolałby kochać podobnie płomienną miłością w głębi rodzaju grobu, aniżeli być zdolnym tylko do miłości zimnej w blaskach i promieniach słonecznych? Cudowne słowa Eponiny są okrzykiem serca tych, co znali miłość i głosem tych, których duszę umiało życie zainteresować, tchnąć w nią nadzieję i wskazać jej drogę obowiązku. Płomień, przyświecający jej w głębi mroków jest tym samym płomieniem, który ożywił mędrca podczas jednostajnych, szarych jego godzin. Miłość jest bezwiednem słońcem naszej duszy, najczystsze zaś, najgorętsze, najstalsze promienie tego słońca zadziwiająco podobne są do ogni, jakie istota, milująca sprawiedliwość, wielkość, piękno i prawdę stara się całą siłą w niej rozpalać. Czy szczęścia, jakie za gościło trafem w sercu Eponiny, nie mogłoby zaznać każde serce pełne dobrych chęci? Czy wszystkiego, co było najbardziej kojącem w jej miłości: zaparcia się siebie; przeistaczania żalów w uśmiechy a ucich jakich się wyrzekamy—w szczęście, które dzięki sercu staje się wiecznie trwałem; przywiązywania

wagi do najsłabszych, pospolitych błysków rzucających światło na przedmiot naszego awielbienia a nawet zatapiania się w świetle i radości, które możemy przedłużać dowolnie, ponieważ wystarczy w tym celu więcej tylko kochać i wielbić;—czy wszystkiego tego, oraz tysiąca jeszcze sił równie słodkich, równie kojących, nie może obejmować gorętsze życie naszego serca, duszy naszej i naszej myśli? Czyż miłość Eponiny nie była li tylko rodzajem mimowolnego, niespodziewanego, niezasłużonego błysku takiego życia? Miłość nie zawsze się zastanawia; częstokroć zbytęzną jest dla niej wszelka refleksya, wszelkie zagłębianie się w samej sobie—i bez tego bowiem korzysta ona z najdoskonalszych wyników myślenia. Eponina dostrzegała tylko promienną stronę swoich cierpień, właśnie dlatego, że kochała; czy jednak: rozmyślać, zastanawiać się, wybiegać okiem duszy po za zakres swego cierpienia — i działać z bardziej rozjaśnionem obliczem, aniżeli wymagałby tego rzekomy nakaz losu—czy nie równa się to dobrowolnemu i uświadomionemu czynieniu tego, czego miłość dokonywa bezwiednie dzięki szczęśliwemu trafowi?

Każde z cierpień Eponiny rozniecało pochodnię we wnętrzu pieczary podziemnej—

a czyż nie dzieje się to samo z każdą duszą, przywykłą szukać w sobie samej najpewniejszej ucieczki? Czy każdy ból, który zmusza ją do skupienia się w samej sobie, nie roznieca dla niej jasnych promieni ukojenia? A ponieważ pamięć szlachetnej Eponiny przenosi nas w czasy prześladowań, czy rzecz nie można, iż cierpienie takie podobne jest do kata, poganina, który, tknięty zachwytem czy łaską, nagle, wśród mąk, jakie zadaje, pada na kolana u stóp swojej ofiary, czule wlewa w serce jej otuchę, chce cierpieć wraz z nią i wreszcie, całując ją, błaga o wskazanie mu drogi do jej rajów?

CIX.

W którąkolwiek zwrócimy się w stronę, wszędzie dostrzegamy bystry prąd potoku życia, płynącego pod sklepieniem niebios. Przedostaje się on zarówno po za mury więzienia, chociaż słońce nie złoci tam jego fale i przepływa u stóp pałacu sławy i szczęścia. Nie tyle ma dla nas znaczenia rozmiar, głębia lub wartkość strumienia, należącego do wszystkich i wiecznie płynącego, ile czystość i rodzaj czary, jaką w nim pograżamy. Wszystko, cokolwiek możemy zaczerpnąć z życia, przyjmuje z konieczności kształt tej czary, która znów ulepioną została na mo-

dłę uczuć naszych i myśli — słowem na wzór łona przeznaczenia naszej duszy, podobnie jak snycerze dawni toczyli swoje puchary na wzór łona bogini. Taką mamy czarę, jaką ulepiliśmy sobie, prawie zawsze taką jakiej nauczyliśmy się pragnąć. Pod jednym tylko względem moglibyśmy żalić się na los; pod tym mianowicie, że nie podszepnął on nam idei czy pragnienia czary większej i doskonalszej? Tak, jedyna różnica dotyczy tutaj pożądania, różnicę tę jednak odczuwamy wówczas właśnie, kiedy zaczyna się ona zacierać. Czy zauważył że pożądanie nasze mogłoby wyżej sięgnąć — nie jest już zarazem upiększaniem go? czy widzieć, że nie jest ono dostatecznie pięknem, nie znaczy -- tchnąć nowe siły w łono naszego przeznaczenia—a tem samem pogłębić dno oraz rozszerzyć ściany idealnej i giętkiej czary, której metal krzepnie ostatecznie dopiero w zimną, nieubłaganą godzinę śmierci?

Niema prawa do użalania się ten, kto czeka na narodziny gorętszego i szlachetniejszego uczucia. I nie może żalić się ten, kto jutro będzie pożądał większego jeszcze szczęścia, doskonalszego piękna i głębszej sprawiedliwości. Powtarza się tutaj historia szczęścia wybranych. Każdego z nich zdoła

szata wesela, skrojona na miarę każdego z pojedynczych osobników. Nie może on pożądać większej szczęśliwości, niż ta, jaka jest jego udziałem; posiadłby ją bowiem już przez to samo, że pożądałby jej. Jeśli odczuwam szlachetną zazdrość na widok szczęścia tych, co czerpią z najbardziej świetlanego miejsca wielkiego strumienia, pograżając w nim czarę świetniejszą i głębszą niż moja—już wskutek tej mojej zazdrości staję się — nieświadomie—posiadaczem przemożnej części ich zdobyczy — a wargi moje dotykać będą obok ich warg brzegu puharu.

CX.

„Kogoż mogłabyś pokochać?“ zapytano, (zanim zboczyliśmy od tego przedmiotu) kobietę, którą może sobie przypominacie. To samo pytanie zadać by można Emilii Brontë, zarówno jak wielu innym—a po całym świecie rozproszonych jest mnóstwo dusz pełnych najlepszych chęci, dusz, które marnują najlepsze lata miłości na stawianiu sobie podobnego rodzaju pytań w sprawie przyszłości swoich uczuć.

Kiedy jednak prawdziwie jesteśmy czyści, bezinteresowni i szczerzy, kiedy myśli nasze przywykły stale do ulatywania po nad pe-

ziom próżności czy bezwiednego egoizmu, daleko mniej czuli jesteśmy na to, czy będziemy zrozumiani przez nasze otoczenie, czy zyskamy z ich strony uwielbienie i poklask. Epiktet, Marek Aureljusz, Antonjusz-Pius nigdy nie narzekali, że nie są rozumiani. Nie myśleli wcale, aby mogło być w nich coś niezwykłego, coś niezrozumiałego. Przeciwnie, przekonani byli, że najlepsza część ich cnoty tkwi w tem właśnie, co wszyscy bez wysiłku mogą naśladować. Zapoznawane zaś bywają, nie bez słuszności — ogólna bowiem bezwładność uczucia ma zawsze wyższą jakąś rację — otóż zapoznawane bywają chorobliwie wybujałe cnoty, którym zbyt wielkie przypisujemy znaczenie, każda zaś zbyt wysoko ceniona cnota, dla której nadmiar zbyt wielkich wymagamy hołdów, jest chorobliwie wybujała. Cnota taka bardziej bywa nieraz zgubną niż zdrowy występki, dalszą jest w każdym razie niż on od prawdy — a od rzeczy niezgodnej z prawdą niewiele czego można się spodziewać. W miarę jak doskonali się nasz ideał, uznaje on coraz liczniejszy zastęp rzeczy ziemskich, realnych; w miarę jak dusza nasza wzrasta coraz bardziej, przestaje ona lękać się, że nie znajdzie duszy sobie równej; wzrastająca bowiem dusza coraz bliższą sta

je się prawdy, której wielkość znosi wszelkie pomiędzy ludźmi różnice.

Dante, doszedłszy do trzeciego kręgu, gdzie znalazł się w otoczeniu jarzących światel niebieskich, nużąco nieledwie jednostajnych w olśniewającym swoim blasku — nie widzi żadnego ruchu dokoła, zadaje więc sobie nagle pytanie, czy stoi nieporuszenie czyli też zbliża się do tronu Boga? Spogląda wówczas na Beatrycze—a ponieważ wydaje mu się ona bardziej jeszcze piękną, wnioskuje ztąd, że stał się bliższym swego celu.

Tak samo i my mierzyć możemy kroki, jakie stawiamy na drodze do poznania prawdy, miarą spotęgowania się naszego zaciekawienia, miłości, szacunku i zapału dla wszystkiego, co towarzyszy nam na ścieżkach życia.

CXI.

Zazwyczaj człowiek, wychodzący z domu na poszukiwanie roskoszy, piękna, prawdy i miłości, wówczas tylko wraca zadowolony, kiedy może powiedzieć swoim dzieciom, że nic nie znalazł na swej drodze. Pochlebia niemało dumie naszej, jeśli możemy uważać się za niezadowolonych—a większość ludzi dla tego tylko uskarża się na życie i miłość, że wyobraża sobie, iż ma prawo

wymagać od życia i miłości więcej, aniżeli sami udzielić im mogą. Zresztą dla miłości—zarówno jak i dla wszystkiego innego — niezbędny jest, co prawda, możliwie wzniosły ideał; każdy jednak ideał, nieodpowiadając zasadniczej, wewnętrznej, rzeczywistości, jest tylko niepotrzebnem, jałowem, niskiem kłamstwem. Dwa lub trzy niedościgłe ideały wystarczą do sparaliżowania życia. Błędem jest mniemanie, że wzniosłość duszy mierzy się miarą dążeń jej lub marzeń.

Słabi snują zazwyczaj nie marzeń piękniejszych, liczniejszych—niż silni, cała bowiem ich energja, cała ich działalność pierzcha wraz z ich snami. Szczytność zwykłego marzenia o tyle tylko braną być może w rachubę, gdy idzie o ocenę naszych wyżyn moralnych, o ile marzenie to niejako jest wynikiem i dalszym ciągiem naszego dotychczasowego życia i naszej woli, bardzo już ustalonych, bogatych w doświadczenie i bardzo ludzkich. Wtedy tylko wolno będzie postawić je na chwilę w pośrodku płaszczyzny, skąpanej w słońcu zewnętrznych faktów rzeczywistych, podobnie jak wbijamy w ziemię kij obok dzwonnicy, jeśli chcemy zmierzyć jej wysokość za pomocą określenia stosunku długości cieniów, rzuconych

przez oba przedmioty, które jednakowo opromienia wieczna kula ognista.

CXII.

Rzeczą zda się naturalną, że szlachetne serce na wielką czeka miłość; bardziej jest jednak zrozumiałe, że kocha ono w oczekiwaniu tej miłości i że, kochając, zapomina o tem, że czeka. Oczekiwanie jest zawsze prawie równie bezowocnem w życiu jak w miłości; kochając, uczymy się kochać, a rzekome rozczarowania drobnych miłości podsycają najskuteczniej niezachwiany płomień miłości wielkiej, która ozłoci może resztę naszego żywota.

Bywamy często niesprawiedliwi względem rozczarowań. Nadajemy im w wyobraźni naszej smutne, blade, zniechęcone oblicze, jakkolwiek są one w rzeczywistości pierwszymi przeblyskami prawdy. Jesteś człowiekiem dobrej woli, pragniesz być sprawiedliwym, pożytecznym, mądrym i szczęśliwym;— jeżeli więc zasmuca cię doznane rozczarowanie, znaczy to, że żałujesz kłamstwa, w jakim żyłeś dotychczas. Czy wolisz przebywać w dalszym ciągu w świecie twoich pomyłek i marzeń ułudnych, czy też dostać się pragniesz do królestwa rzeczywistości? Najlepsze godziny najlepszych

chęci uchodzą nazbyt często na walce pięknego snu z nieuniknionem prawem, którego piękno spostrzegają one zazwyczaj wówczas dopiero, kiedy piękny sen wyczerpał ich siły. Jeżeli zawiodła cię np. miłość, czy sądzisz że zbawienną byłaby dla ciebie wiara, żywiona przez całe życie, iż miłość, jest czemś nadzwyczajnem, czemś takim, czem wcale być nie może? Czy sądzisz, że utłuda podobna nie okryłaby płaszczem fałszu najważniejszych twoich czynów, że nie rzuciłaby na długo nieprzeniknionej zasłony na część prawdy, do której osiągnięcia dążysz? A jeśli nawet żyłeś w nadziei dokonania wielkich czynów, doznane zaś rozczarowanie wskazało ci właściwe twoje miejsce w drugim rządzie, czy słusznie postąpisz, złorzeczając do końca dni twoich posłowi prawdy? Czy mrzonka twoja, o ile tylko była ona szczerą, nie była w gruncie rzeczy jedynie drogą do zdobycia tej prawdy właśnie?

Uczmy się przeistaczać doznane rozczarowania na legjon tajemniczych i szczerych przyjaciół, na zastęp nieskazitelnych naszych doradców. Jeżeli jeden z nich, okrutniejszy od innych, posieje na chwilę zwątpienie w duszy naszej, nie wołajmy ze łkaniem: życie nie jest tak pięknem jak nasze marze-

nia; ale powiedzmy: marzeniom naszym musiało czegoś niedostawać, skoro nie zyskały one sankcyi życia. Cała tak zachwalona siła dusz wielkich polega w gruncie rzeczy na mądrze przyjętych przez nie rozczarowaniach. Każdy doznany zawód, każda miłość zapoznana, wszelka utracona nadzieja dorzuca pewną wagę do wagi naszej prawdy — a czem więcej rozczarowań sypie się na twoją głowę, tem szlachetnej, tem niezawodniej objawia się wielka rzeczywiistość, podobnie jak przez ogołoczone konary drzew zimowego lasu jaśniej i wyraźniej przeziera tarcza słoneczna.

CXIII.

Jeśli jesteś w poszukiwaniu wielkiej miłości, czy sądzisz, że możliwą jest rzeczą znalezienie duszy równie pięknej jak twoje marzenia, o ile w pogoń za nią wysyłasz same tylko marzenia? Czy sprawiedliwie jest w zamian za ofiarowane chęci, życzenia i sny niesformułowane żądać słów ścisłych i czynów rozstrzygających?

A jednak wszyscy błąd ten popełniamy. I jeśli traf, tak szczęśliwy, że niepodobna się go nawet spodziewać, zbliżył nas narzeczcie do istoty, które odpowiadałaby najzupełniej naszemu ideałowi, czy mielibyś-

my prawo wyobrażać sobie, że bierne i mgliste nasze dążenia pozostawałyby długo w zgodzie z czynną i ujętą w ścisłą formę rzeczywistością?

O tyle tylko możemy mieć nadzieję znalezienia swego ideału na zewnątrz siebie, o ile możliwie wydoskonaliliśmy go w duszy własnej. Czy możesz liczyć na to, że poznasz i zdołasz trwale utrzymać w swojej bliskości duszę prawą, głęboką, kochającą, wierną, niewyczerpaną, obejmującą szerokie widnokreśli, żywą, własnym tylko szlachetnym i przyjaznym ulegającą popędowi, o ile nie jest ci równie dobrze, jak jej, znaną: prawość, miłość, wierność, myśl, życie, szlachetny, samodzielny popęd, życzliwość i wspaniałomyślność? A w jakież masz je poznać sposób, jeżeli nie kochałeś tych cnót jak ona i nie żyłeś w ich atmosferze równie jak ona długo?

Niemasz nic bardziej wymagającego, nic niezręczniejszego ani bardziej zaślepionego, nad dążenie do dobroci, piękna i doskonałości moralnej. Jeśli chcesz znaleźć duszę idealną, zacznij przede wszystkim od zbliżenia siebie samego do ideału, jakiego szukasz. Niema innego sposobu osiągnięcia go. W miarę jak staniesz się coraz bliższym urzeczywistnienia owego ideału, przekonasz

się, że słusznie będzie i szczęśliwie, aby różnił się on do pewnego stopnia od mglistego pojęcia, jakie utworzyła sobie o niem twoja wyobraźnia. W miarę, jak ideał twój urzeczywistniać się będzie w zetknięciu z życiem, pogłębi się on, złagodzi, wydoskonali i nabierze giętkości. Dostrzeżesz wtedy z łatwością w tem, co kochasz—rzeczywiste jego i trwałe piękno, w sobie samym zaś wiekuistą prawdę, nie bowiem równie skutecznie nie zwraca naszej uwagi na dobro, znajdujące się dokoła nas, jak dobre, jakie we własnym naszym wyhodowaliśmy sercu. Wtedy nareszcie nauczysz się mniejszą przywiązywać wagę do braków, które nie będą już raziły twojej próżności, egoizmu lub zaślepienia, czyli braków, jakie nie będą już podobne do własnych twoich niedoskonałości, nie bowiem nie zachowuje się mniej wyrozumiałe względem zła, dostrzeganego w innych, aniżeli zło, tkwiące w nas samych.

CXIV.

Ufajmy miłości tak samo jak ufamy życiu, stworzeni bowiem jesteśmy do ufności, najzgubniej zaś oddziaływa w każdej dziedzinie idea, dążąca do nieufania rzeczywistości. Niejedno widziałem życie, złamane

przez miłość; gdyby nie była tego jednak miłość dokonała, złamałaby je prawdopodobnie przyjaźń, zobojętnienie, niepewność, wahanie, sięgniechęcenie lub bezczynność. Miłość złamać jest w stanie krusze tylko skarby serca, jeśli zaś druzgocze ona je doszczętnie, znaczy, że cała jego zawartość nazbyt była krusza. Niema istoty, która nie uważałaby niejednokrotnie życia swego za złamane, ci jednak, co naprawdę nieszczęściu takiemu ulegli, zawdzięczają je częstokroć dziwnemu jakiemuś upodobaniu do ruin.

W miłości zdarzają się bezwątpienia równie często szczęśliwe lub nieszczęśliwe trafy, jak w całym naszym przeznaczeniu. Bardzo jest możliwe, że przy pierwszym swoim kroku, postawionym w życiu, istota o sercu pełnem energii, uczuć, najlepszych ludzkich dążeń, spotka bez żadnych w tym kierunku poszukiwań, duszę, która urzeczywistni w upojeniu trwałego szczęścia wszystkie pragnienia miłości, zarówno najwyższe jak najskromniejsze, najszersze i najsubtelniejsze, najtrwalsze i najbardziej znikome, najpotężniejsze i najbardziej łagodne. Stać się może, że znajdzie ona niezwłocznie serce, któremu będzie mogła ofiarować i które będzie od niej stale przyjmowało to,

co jest najlepszego w niej samej. Może się zdarzyć, że zdobędzie ona odrazu jedyną duszę, zawsze pełną pożądań, która będzie umiała aż do grobu przyjmować tysiąc razy więcej, aniżeli wszystko, cokolwiek jej ofiarowują i która oddawać będzie tysiąc razy więcej, niż wszystko co otrzyma. Miłość bowiem, urągająca czasowi, pełna jest takich cudownie nierównych wymian: dając, zdobywamy, gdy zaś zdobyliśmy, mamy się z kim zdobyczą podzielić

CXV.

Zdarzają się przeznaczenia równie doskonale szczęśliwe; jeśli jednak każdy człowiek ma nawet mniej lub więcej prawo do marzenia o osiągnięciu takiej pełni szczęścia, postąpiłby on mimo to niesłusznie, gdyby wciął całe swoje życie w ramach podobnych mrzonek. Może on tylko przygotowywać się do godnego przyjęcia takiej miłości, w miarę zaś jak będzie się do aktu tego przygotowywał, coraz cierpliwiej zacznie nań wyczekiwać.

Mogłoby się również zdarzyć, że istota, o której mówiliśmy przed chwilą, strawiłaby całe swoje życie na chodzeniu tam i napowrót wzdłuż muru, oddzielającego od niej szczęście, które czeka na nią w zbyt głąbo-

kiem milczeniu. Czy z tego jednak, że szczęście ukryte jest po za murem, wynika, iż na zewnątrz jego musi znajdować się tylko nieszczęście?

Czy nie należy uważać już za szczęście zdobycie prawa kroczenia w ten sposób obok szczęścia? Czy nie lepiej jest czuć, że się jest oddzielonym od wielkiej miłości tylko rodzajem przejrzystego niejako i kruchego może trafu, aniżeli być od niej nazawsze odsuniętym przez nieprzybytą przeszkodą, zbudowaną ze wszystkiego niegodnego, niepotrzebnego i nieludzkiego w nas samych? Szczęśliwy ten, komu dano zerwać i unieść z sobą kwiat, nietyle jednak — niżby przypuszczać było można — pożałowania godzien los tego, kto stąpa aż do wieczora wśród szlachetnej woni kwiatu niewidzialnego.

Czy życie, które nie jest tak szczęśliwem, jakby niem być mogło, utraciło już przez to samo całą swoją wartość i cały swój cel? Najlepszą część miłości, opłakiwanej przez ciebie, byłbyś ty sam może wniósł do niej; o ile zaś — jak to już powiedzieliśmy — dusza posiąść może to tylko, co sama dać jest w stanie, czy nieustanne czychanie na okazyję dawania nie jest już do pewnego stopnia posiadaniem?

Zaiste, niema, sądzę, na ziemi bardziej

upragnionego szczęścia, niż cudowna i stała miłość; jeśli jednak nie znajdziesz takiej miłości, wszystko cokolwiek uczyniłeś, aby stać się jej godnym, nie będzie stracone dla doskonalszego, ufniejszego spokoju reszty dni twoich.

CXVI.

A wreszcie, kochać można w każdym razie. Kochajcie miłością cudowną—a doznacie wszystkich prawie roskoszy, jakie daje cudowna miłość. W najdoskonalszej nawet miłości uczucie dwojga najbardziej zespolonych kochanków nie jest ściśle jednakie i zawsze istota doskonalsza doskonalej kochać potrafi; ten zaś jest najszczęśliwszym, kto kocha najlepiej. Powinniście stać się godnymi miłości, nietyle dla szczęścia innych, ile dla waszego własnego szczęścia. Nie wiercie w to, aby najsprawiedliwszy, najmędrzy i najwspaniałomyślniejszy, najszlachetniej czujący najbardziej miał cierpieć w smutnej godzinie nierównej miłości. Najlepszy nie jest nigdy prawie godną liłości ofiarą, los nasz wtedy bowiem może być pożałowania godnym, kiedy jesteśmy ofiarami własnych naszych pomyłek, błędów i niesprawiedliwości. Chociaż byłbyś najbar-

dziej niedoskonałym, możesz stanowić przedmiot miłości istoty najdoskonalszej, ale istota najdoskonalsza nie wystarczy twojej miłości, jeżeli ty sam nie jesteś doskonałym. Można ci życzyć, aby los wprowadził kiedyś w progi twojego domu zdobną we wszystkie skarby serca i umysłu kobietę, którą miałeś okazję zachwycać się w przelocie, słuchając dziejów wielkich bohaterek sławy, szczęścia i miłości; nic ci jednak z tego nie przyjdzie, jeśli nie umiałeś dostrzegać i kochać tych darów w życiu rzeczywistym. Cóż stanowi jednak dla każdego człowieka życie rzeczywiste, jeżeli nie żywot jego własny? Uczciwość twojej kochanki będzie tylko wykwittem własnej twojej uczciwości; w prawości jej znajdzie ukojenie własna twoja prawość—i tylko siła własnego twojego charakteru odczuwać będzie siłę, tkwiącą w jej charakterze. Natomiast cnota istoty ukochanej, nie spotykającej na progu naszego serca podobnej sobie cnoty, nie wie, w czyje ma złożyć ręce roskosz, jakiej jest wysłanką.

CXVII.

Jakikolwiek los spotkałby uczucia wasze, nie traćcie otuchy. Nadewszystko, nie sądźcie, iż, nie zaznawszy szczęścia miłości, nie

poznacie tem samem do końca dni waszych największego szczęścia bytu ludzkiego. Niezależnie od postaci strumienia, rzeki podziemnej, potoku lub jeziora, jaką przyjmuje na siebie szczęście, zawsze jedno i to samo rodzi je źródło, którego siedliskiem są ukryte zakątki naszego serca—a najnieszcześniejszy z ludzi jest w stanie wytworzyć sobie pojęcie o największem szczęściu.

Nie zazna on, co prawda upojenia, jakie daje miłość, upojenie to jednak pozostawiłoby na dnie szczerego i poważnie odczuwającego serca jedynie uczucie wielkiego smętku, gdyby miłość prawdziwa nie dażyła niczem więcej po nad chwilowy szal tylko. Najpewniejsza, najgłębsza, najbardziej niezachwiana strona miłości jest zarazem najpewniejszą, najgłębszą i najbardziej niezachwianą stroną wszelkiego szlachetnego życia.

Nie każdemu dano jest być bohaterskim, cudownym, zwyczajnym, genialnym, lub wprost szczęśliwym w rzeczach zewnętrznych; ale człowiek, najmniej nawet pieszczony przez los może być sprawiedliwym, uczciwym, łagodnym, braterskim i wspaniałomyślnym. Najmniej obsypywany darami fortuny może nauczyć się spoglądania dokoła siebie bez zawiści, żalu, nieżyczliwości, bez niepotrze-

bnego smutku. Najbardziej wydziedziczony może przyjmować pewien cichy udział — który niezawsze jest najgorszym — w radości swego otoczenia. Najmniej przewidujący może wiedzieć jednak, do jakiego stopnia mógłby wybaczać urazy, tłumaczyć pomyłki, zachwycać się słowami i czynami ludzkimi; najmniej kochany może kochać i szanować miłość.

Postępując w ten sposób zwraca się on do źródła, do którego—częściej niżby się tego spodziewać było można zwracają się w chwilach najwyższego szczęścia ludzie szczęśliwi, aby się przekonać, czy są nimi w istocie. Jedyną rzeczą niezamaconą i stałą—zarówno na dnie rozkoszy miłości, jak na dnie cichego życia istoty sprawiedliwej która nie zaznała uśmiechu fortuny — jest ufność, dobroć, szczerowość wspaniałomyślność i sprawiedliwość. Miłość nadaje tylko więcej nieco blasku świetlanym tym ponętom—i dla tego właśnie należy szukać miłości. Otwieranie nam oczu na pewne słodkie i ciche prawdy największą jest korzyścią, jaką zapewnia ludziom miłość. Największą jej przewagą jest dawanie nam okazji kochania i wielbienia w jednym przedmiocie tego, czego nie mielibyśmy ani siły ani sposobności pokochać w tysiącu różnych przedmio-

tów — zasługą jej jest rozszerzanie granic serca naszego na przyszłość. Na dnie najczarowniejszej jednak miłości nie można doszukać się niczego więcej po nad zwykłe bardzo szczęście, zrozumiałą bardzo tkliwość i uwielbienie, po nad ufność; spokój i szczerłość łatwo bardzo dostępne; cześć i oddanie się bardzo ludzkie — słowem po nad rozkosze, jakich zaznać mógłby człowiek, który przeciwstawia dobrą wolę spotykającym go nieszczęśliwym trafom, byleby tylko w smutnem jego życiu mniej nieco było goryczy i zniecierpliwienia, więcej zaś natomiast siły charakteru i przedsiębiorczości.



K O N I E C.

Mr. Ls. wpt. 5096









Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A | 6716 |

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki